

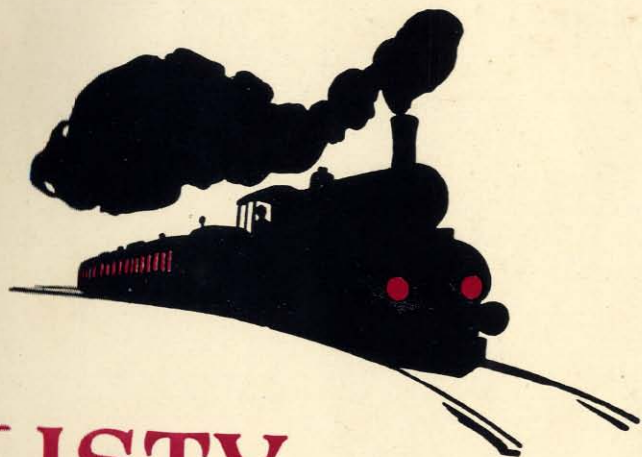
J. OLSZEWSKI

LISTY  
Z PODRÓŻY

Księgarnia „OSSOLINEUM”

WARSZAWA

JÓZEF OLSZEWSKI



LISTY  
z PODRÓŻY

LWÓW 1914

KSIĘGARNIA H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE  
I SKA :: WARSZAWA: KSIĘGARNIA E. WENDE I SKA



LISTY Z PODRÓŻY

JÓZEF OLSZEWSKI



# LISTY Z PODRÓŻY

LWÓW 1914

KSIEGARNIA H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE i Ska  
WARSZAWA: KSIEGARNIA E. WENDE i Ska



obserwatorów życia i ludzi w podróży, umiejącego pisać niezwykle interesująco.

Sądzymy, że wydając te listy zbiorowo w formie książki — spełnimy obowiązek rozszerzania pożytności interesującej i pożytecznej literatury podróżniczej.

*Wydawcy.*

## Z pokładu Kleopatry.

*Tryest-Brindisi.*

Wielki okręt — to jak gruba, ciężka dancierka. — Nie może ruszyć z miejsca do tańca „wśród bałwanów“ — bez dobrej przyprzążki.

Tak też i naszą Kleopatę wydobywa z portu na pełne morze brzydki, czarny, ale mocny statek holowniczy Pluto. Pomoc ta zresztą nie trwa długo, wydobywszy się z gwałtaniny statków, — łodzi parowych i barek, nasza wspaniała salonowa morską landara puszcza swego adonisa kantem i pruje dalej na własną odpowiedzialność śmiało fale Adryatyku w potokach promieni południowego słońca.

Kilkanaście krzykliwych mew towarzyszy okrętowi, jak twierdzi ściągający flagę majtek, — polecą za nami aż do połowy drogi do Aleksandryi, — aby wrócić do Tryestu za drugim tygodniowym okrętem Lloyd'a. — Te stada mew należą prawie



do inwentarza poszczególnych okrętów. — Lecą górą, więc jest nadzieja na pogodę, przynajmniej do Brindisi.

Na pokładzie poobiednia siesta, typowe *dolce far niente* — morskiej podróży. — Lenistwo słodkie, przymusowe, ogarniające ciało i umysł, — niezrównany wypoczynek dla ducha zmęczonego pracą a choćby tylko — życiem.

Towarzystwo stereotypowe, — wojażerskie. Trochę włóczęgów zawodowych, — kupców, agentów — większa część uciekających z Europy przed marcową pogodą do kraju wiecznego słońca.

Co robić dla zabicia nudów?

Pierwszego dnia zajmują jeszcze dzienniki kupione w Tryeście, ostatnie wiadomości przed, conajmniej dwutygodniowym postem nowiniarskim. — Trochę rozrywki dostarcza zbiór czasopism w salonie, — trochę gawędy z sąsiadami przy stole, a resztą wakacje dla myśli bujającej po najprzeróżniejszych tematach, — jak student po polach za murami szkoły i miasta. — Czasem delfiny skaczące do słońca robią sensację, — okręt dymiący w oddali budzi na chwilę z zadumy i skierowuje uwagę w jeden punkt.

Chłód i wieczór spędza nas z pokładu do kajuty.

Wstaje ranek pochmurny ale ciepły, morze

mieni się w barwach seledynowych i popielatych — fale silniej biją o bok okrętu, ciągnąc się potem za nim wstęgą rozoranej toni. — Mewy te same bujają niezmordowanie za okrętem. Nie widać już brzegów Dalmacyi, — naokół bezbrzeżny zda się łań wód i fal.

Po obiedzie ukazują się wreszcie brudno szare mury ośmiu fortyfikacyi morskich Brindisi. Za chwilę widać już starą kolumnę rzymską. Przybijamy do przystani, stanowiącej końcowy cypel Europy w drodze do Afryki i Azji.

Miasteczko portowe ponure i smutne ożywia się jedynie w chwilach takich, jak ta właśnie. — Pociąg ekspresowy z Londynu wzdłuż całych Włoch przywozi tu podróżnych, chcących skrócić jak najbardziej podróż morzem do Egiptu, obok nich całe góry worków z listami *London to Cairo* i kilka wagonów pakietów pocztowych.

Nasza Kleopatra wchłania to wszystko w siebie z wielorybim apetytem. — Czeka ją jednak wnet jeszcze niestrawniejsza uczta. Trzysta beczek oliwy, leżących na *molo*, ma jej służyć na podwieczorek. — Z bajeczną zwinnością zsuwają obdarci portowi nosiciele po cztery beczki, wiążą je sznurami i w tej chwili kran parowy Kleopatry porywa je i spuszcza do czarnej otchłani pod pokładem. — Patrzymy wszyscy na tę robotę i skracamy sobie



czas rozmyślaniami na temat pochodzenia, przeznaczenia tej olbrzymiej ilości oliwy. — Ktoś dowcipny robi uwagę, że Kleopatra widać cierpiąca, jak grzeczne dziecko zażywa bez opozycji odpowiednią jej wielkości porcję oleju.

Mniej odważni podróżni pocieszają się, że w czasie burzy będzie czem uspokajać bałwany.

Robota skończona, — przygrywa do niej na pokładzie ojciec z córką; mandolina i duety bardzo włoskie, ale bardzo miłe; pamiętam tę parę z przed lat kilku. — Marica urosła z miłego bambino na urodziwą signorinę.

Odzywa się dzwonek — para śpiewaków zbiera pospiesznie *soldi* rzucając do kapelusza i opuszcza pokład. Odbijamy od brzegów Europy, ślemy ostatnie pożegnanie staruszce, — płyniemy do starszej od niej wiekiem, ale młodszej uczuciem, krainy słońca, ciepła, — do odwiecznej kolebki ludów.

Czuć w całym gospodarstwie okrętu, że czeka nas dwudniowa podróż bez przybijania do portu. Służba robi przygotowania do tej podróży. Wszystko się szczelnie nakrywa, wiąże, zamyka. — Z tyłu okrętu przywiązują *log*, przyrząd mierzący w czasie długiej drogi przebytą odległość, rzucona w morze linka zaczyna się coraz szybciej obracać, w miarę rozpędzania się naszej Kleopatry — a uderzająca dzwonek za każdym setnym obrotem przyrządu w fa-

lach wskazówka, odzywa się miarowo. — Wśród wieczorów lub nocy sennych, spędzanych na pokładzie, dzwonek ten ma urok jakiegoś smętnego akompaniamentu do szumu roztrzączanych fal, turkołu śruby okrętowej i tej usypiającej muzyki morskich podróży nocy.

Na zachodzie czerwieni się resztki zorzy wieczornej, zapowiedź: *se rossa la sera mal tempo si spera*.

Z tem starem marynarskiem przysłowiem na ustach i z nadzieją silniejszych wrażeń w razie spełnienia się przepowiedni schodzimy z pokładu, idąc na spoczynek do naszych ciasnych apartamentów w objęciach Kleopatry.

### *Brindisi-Aleksandrya.*

Monotonny, czasem aż nieznośnie miarowy i nużący turkoł śruby okrętowej działał wreszcie swoje, przychodzi sen, jakiś nie codzienny, — kołyszący.

Ma się wrażenie, jakby się wróciło po bardzo wesołej uczcie, śnią się same kołyszące obrazy, wszystko się chwieje dookoła, w normalnym stanie takie uczucie nazywa się całkiem wulgarnie, — na



okręcie to się nazywa przyzwoicie, początek burzy, — po niemiecku *bewegter See*.

Tymczasem to już nie sen, ale okręt zaczyna z nami tańczyć na jawie, zrazu bardzo łagodnie, miękko, powolnego menueta, o krokach posuwistych, długich, rozplywających się w ukłonie salonowym. W miarę jak posadzka balowa pod wpływem idącego gdzieś od Malty powiewu wichru zaczyna się bardziej marszczyć, falować, kroki i ukłony Kleopatry stają się coraz głębsze, coraz bardziej dworskie; danserka nasza, w której łonie spoczywam w tej chwili na ciasnym łóżku mojej kajuty, kołysze się coraz wdzięczniej w tym nocnym tańcu na falach ciepłego południowego morza.

Usiłuję zasnąć na złość burzy, — na chwilę mi się to udaje, — opanowuję niemiłe uczucie nieśmiałości i chwiejności mego posłania, uczucie kłębowienia się myśli w huśtanej w prawo i w lewo głowie. — Sen ten trwa nie długo, bo naraz budzi mnie łoskot jakiegoś spadającego w kajucie przedmiotu i akompaniament gwaru za ścianą. — Kołyszymy się już nie salonowo, ale karczemnie. Kleopatra już widać dobrze sobie dodała tymczasem, bo przeszła z menueta w *cake walk'a*, już nie pieści posadzki fal miękkimi posuwistymi ukłonami, ale podskakuje, jak źle wychowana małomiasteczkowa

panna na prężniku, w objęciach najniezdarniejszego z alumnów lub wchodzących w świat maturzystów.

Na pokładzie słychać przyspieszone kroki majtków porządkujących przed burzą resztę dotąd niepowiązanych przedmiotów, — czasem jakiś silniejszy głos rozkazów; — turkot śruby stracił zupełnie swój miarowy spokojny takt, odgłos jej doznaje dziwnych przerw, zdaje się, że chwilami śruba przestaje się obracać, aby wnet potem z tą samą co przedtem siłą i warkotem krajać morską toń. — Coraz głośniejszy plusk fal i wody spływającej z pokładu w morze łączy się z jakimiś podejrzanymi szmerami w głębi, — jakimiś odgłosami ludzkimi, które się słyszy w bardzo rzadkich wypadkach na ładzie, a często bardzo w podróży morskiej. — Jakieś głuche, przytłumione głosy żalu i cierpienia, potęgujące się w miarę silniejszych poruszeń naszej kołataney falami nawy okrętowej.

Rozumiem niespać w takim *milieu* godzinę, dwie, słuchać tych nieartykułowanych symfonii cierpiącej na morzu ludzkości — trzy, cztery godziny, — to można nazwać urozmaiceniem wrażeń podróży, — odmianą po filisterskich wożaczach w bezpiecznych slipingach lub krótkich przejazdach z Abazyi do Lovrany lub Rjeki, — ale wytrzymać całą noc w tej mieszaninie tragikomicznych jęków ludzkich, wycia i świstu dmącego z nieustającą siłą wichru, w sta-



nie beznadziejnej chwiejności tego elementu, któremu powierzyło się wszystko, ciało, myśl, spokój nocny i nadzieje oczekiwanych rozkoszy podróży na południe, to za wiele. — Zaczyna się burzyć we mnie cierpliwość, postanawiam na złość burzy i wichrom wstać, ubrać się i wyjść na pokład, aby spojrzeć oko w oko tytanom morskich potęg i zmierzyć się z nimi siłą niezłomnej woli, — lecz w tej samej niemal chwili przepłacam bluźniercze myśli i niewczesną odwagę ubytkiem resztek równowagi i... przyłączam się kornie do coraz liczniejszych szeregów pokonanych przez żywioły, bezbronnych ofiar burzliwego morza.

Wielkiej widać Neptun odemnie żądał ofiary, — bo w tym beznadziejnie rozpaczliwym stanie musieliśmy pozostać całą noc pierwszą i większą część dnia następnego. — Niczem nam myśl, że z każdą chwilą zbliżamy się do rozkosznych brzegów afrykańskiej rywiery, — że wnet będziemy grzać zreumatyzmowane w europejskich śnieżcach kości w życiodajnych promieniach podzwrotnikowego słońca, na nic wołanie kiedyindziej tak miłego okrętowego dzwonka na wzorowe jadłowanie loydowskich kuchmistrzów, jeść nie chcemy, pić nie chcemy, — żyć nie chcemy; — mówię w liczbie mnogiej za siebie i za moich towarzyszy, bo przez ściany kajuty

słyszę, czuję ich jednozgodne objawy morskiej desperacji.

Wreszcie po całonocnym i całodziennym borykaniu się z niemiłosiernymi siłami przyrody — zasypiam.

Przez większą część drugiej nocy trwała burza, którą w marcu przebyć musi na tej drodze niemal każdy okręt płynący z Europy do Aleksandryi. — Nad samem ranem ustało szamotanie się nasze z pijanym Boreaszem, zasnęliśmy — aby obudzić się na „odgłos“ dawno „niesłyszanej“ ciszy. — Tak jest, na odgłos ciszy, bo tak, jak młynarza budzi stające w ruchu koło, tak podróżnego budzi na morzu brak turkotu śruby okrętowej. — Cisza. — Stoimy; rzut oka w okno kajuty wystarcza, aby odczuć całą rozkosz zmienionej dekoracji.

Ani śladu burzy, fal, bałwanów, okręt kołysze się lekko, jak kolebka zasypiającego niemowlęcia, na lazuruwej toni, błyszczącej w złotych promieniach słońca.

### *Aleksandrya.*

Oko odwykłe od spokojnego krajobrazu spoczywa z lubością na łagodnie falującej toni, srebrzącej się pod podmuchem łagodnego zefiru.



W jednej chwili ubieramy się, aby wybiedz na pokład. — Zastajemy już tutaj większą część podróżnych, żądnych jak my wrażeń powitania afrykańskiego lądu.

Mamy go już przed sobą w oprawie złotawo różowego blasku i w obramowaniu bielejących murów, gmachów portowych, masztów i żagli.

Jakże niezwykle pierwsze wrażenie tego widoku, w przepysznej atmosferze łagodnego klimatu.

Jakieś uczucie miękkości, ciepła, aksamitnego dotyku falującego powietrza; — ląd bez gór, nawet bez wzniesień, płaski, po za gmatwaniną portowych budowli i statków, żelaznych szkieletów olbrzymich magazynów portowych, — zda się pozbawiony wszelkiej roślinności, drzew, aż na samym horyzoncie dostrzegam kontury palm, — jak z pudełka zabawek dzieciennych ustawionych w szeregu,

Nie mam czasu na rozglądanie się po widnokręgu, bo w tej chwili wołają nas do salonu.

Stajemy rzędem w demokratycznej harmonii — pasażerowie obu klas, kucharz i *steward*, panny kajutowe, pokojowe i *picolo*, marynarz, aby poddać się rewizji sanitarnej. — Zabawna ta ceremonia polega na podaniu ręki poważnemu jegomościowi w okularach, który dotyka się jej przez ćwierć sekundy — robiąc przy tem arcyuczona minę. — Takim przyspieszonym procederem jesteśmy w pół

godziny wszyscy zbadani, uznani za zdrowych i gotowi do wylądowania.

Czeka nas jeszcze jednak nie mała próba cierpliwości. — Stoimy w zewnętrznym basenie portu, o trzy mile morskie od przystani i nie ruszymy z miejsca, zanim starszy jegomość w fezie i okularach, stojący w tej chwili podemną nad czeluściami towarowej otchłani okrętu, nie zliczy i nie skontroluje całego łańcucha gór i stosów worków listowych przeznaczonych dla trzech części świata. — Cała poczta europejska dla Afryki, Azji i Australii idąca przez Aleksandryę, Port Said, Bombay i Kalkuttę — przechodzi zdaje się przez ten alembik angielsko-egipski.

Nareszcie ostatni worek rzucony do dużego galaru pocztowego, — ruszamy i lawirując zgrabnie wśród lasu masztów, obok setek żaglowych barek nilowych t. zw. *dahabieh* — obok potężnych kolośców oceanowych, stojących na kotwicy, lub wypływających z portu, — zbliżamy się coraz bardziej do brzegu.

Zdaleka uderza już obraz tego afrykańskiego *mola* zupełnie odmienny od przystani europejskich. Barwa i ruch, a za zbliżeniem się dalszym pstrygwar, oto definicyja tych wrażeń. Cały brzeg mieni się mozaiką ludzką, polichromią barw, skóry, rąk, nóg, obnażonych ramion, fezów, turbanów, arabskich



chałatów, wyszywanych złotem strojów służby wsze-  
dobyłskiego biura podróży T. Cooka, dragomanów  
konsularnych, uniformów pstrych armii kedywa, i pa-  
ryskich kostyumów elegantek, oczekujących nad  
brzegiem, gości z Europy.

Cała ta mozaika ludzka rusza się, biega  
a przytem gestykułuje sposobem wschodnim i w do-  
datku robi gwar, jakiego nie słyszy się pod chłod-  
nym niebem.

Zaledwie okręt dotknął się pomostu przystani,  
cały rój najniemożliwszych obdartusów, indywiduów  
zda się z pod najciemniejszych gwiazd, wdziera się  
na pokład, rzuca się z wschodnią bezceremonialno-  
ścią na nasze bagaże i porywa je w mgnieniu oka,  
znikając w tłumie; powstaje zamęt, gwar, nawoły-  
wanie w siedmiu językach świata, hotelowi komisyo-  
nerzy łapią za jedną, — obdartusy, woźnice doro-  
żek za drugą połę, chwilami najflegmatyczniejszy  
wojazer może stracić zimną krew, tembardziej, że  
na tę zgraję nie oddziaływa żadna uwaga, żaden  
rozkaz, chyba w ostateczności podniesiony całą  
siłą głos lub podsunięty pod oblicze mocny kułak.

W rzeczywistości w całym tem opadaniu po-  
dróżnych nie ma cienia złej woli, jest to pojęta po-  
tutejszemu usługowość, no i pewna walka konkuren-  
cyjna żyjącego z podróżnych — tłumy.

Próbuję bronić się, lecz nauczony dawnem

doświadczeniem podróży po Wschodzie, oddaję się  
z rezygnacją losowi, starając się nie stracić w tłumie  
z oczu moich pakunków.

Następuje długa nużąca ceremonia rewizyi cło-  
wej, którą skraca wsunięty zgrabnie pierwszy na tej  
ziemi bakczysz. — Za chwilę siedzimy już na wy-  
sokiej jednokonnej dryndzie, trzęsącej jak pytel w ku-  
likowskim młynie i jedziemy na dworzec główny,  
aby złożyć tam bagaż i rozpytać się o rozkład po-  
ciągów w stronę Kairu i górnego Egiptu.

Z dorożkarzem rozmawiamy na migi, bo po  
angielsku i francusku umie tylko po dwa wyrazy:  
*merci, yess, pourboir* i *shilling*. Tragarzowi kła-  
dzie nowicysz podróżny pieniądze na dłoń, aby  
sobie odliczył i pobrał stosowną kwotę, bo się tak  
najlepiej jeszcze ochroni od przepłacenia z powodu  
nieznajomości pieniędzy.

Przejeżdżamy ulicami o europejskim wyglądzie,  
obok wspaniałych magazynów, hoteli, przez plac  
obszerny, na którym stoi wspaniała pomnik Muha-  
med Alego na koniu, dłuta Francuza Jaquemar'ła  
przez piękną ulicę Szeryfa Daszy, na dworzec.

Z dworca idziemy w ulice starego miasta.



## Z nad Adryatyku.

*Lovrana, 27. lipca 1910.*

Szukając długo w myśli, czem wybrzeże Adryatyku przypomina Lwów i jego okolice, znalazłem jeden moment styczny, potem drugi — trzeci — aż wreszcie zaczynam przychodzić do przekonania, że właściwie nie potrzeba ruszać się ze Lwowa, aby mieć wrażenie Lovrany, Iki, Medwei lub innego uroczego zakątka nad wybrzeżem modrego Adryatyku.

Słońce grzeje, o ile naturalnie deszcz nie pada, tak dobrze w Brzuchowicach jak tutaj, błękit polski w bezchmurne dni lata, jest w stanie rozmarzyć — skłonny do marzeń — równie dobrze jak tutejszy przekoloryzowany przez malarzy lazur, — kurz na drodze z Abazy do Lovrany nie ustępuje w niczem lwowskim prochom na ulicy Kochanowskiego — syreny podmiejskich cegielni na Zielo-

nem przypominają sygnały statków ungaro-chorwackiej flotyli spacerowej.

Jedno stanowi przepaść w porównaniu: — morze, ale i na ten brak znajdzie się z czasem rada. Jak zbudujemy kanały galicyjskie — urządzimy sobie po prostu kawałek morza za rogatką zamarynowską — nazwiemy je n. p. „Bocche di ponte d' oro“ dla lepszego brzmienia i ze względu na sąsiedztwo „złotego mostu“ i nie będziemy potrzebowali jeździć na Quarnero i wydawać pieniędzy całkiem niepotrzebnie.

Na razie jeździ tu mnóstwo rodaków naszych ze wszystkich zaborów, o czym jednak nie wielu z nas wie — sądząc bowiem z nazwisk wpisywanych przez tutejsze zarządy klimatyczne i hotelowe do Kurlisty lub na tablicy hotelowej, można rodzono go brata wziąć za Serba, rodzoną siostrę za Chorwatkę lub Czarnogórkę — tak przedziwne otrzymujemy konstrukcje nazwisk i końcówek.

Zupełnie inaczej urządzają się Węgrzy — jest ich na wybrzeżu adryatyckim niewiele więcej od nas, ale dzięki energii i solidarności opanowali całe życie tutejsze w sposób wprost dominujący.

Kto jeździ parę lat z rządu tutaj, — ten zauważyć musi, jak z roku na rok Abazy, Lovrana, madyaryzują się, zwłaszcza w sezonie letnim.

Służba w restauracjach i kawiarniach prawie





wyłącznie węgierska, — mówiąca z konieczności po niemiecku; kelnera Polaka ani na lekarstwo. Do co, skoro każdy z naszych, a szczególnie nasze panie — sadzą się na kulikowsko przemyską niemczyznę.

Dzienników polskich szukać trzeba, jak czterolistnej koniczyny; gdzieniegdzie zabłąka się któreś z pism lwowskich, natomiast węgierskich, czeskich, dla garstki Czechów, która niknie wobec kilku tysięcy Polaków, leżą stopy na stolikach kawiarnianych.

Zawsze to samo; w domu, w życiu wewnętrznym energia, czasem bufa, między obcymi potulność, przesadna ustępliwość i skromność w domaganiu się praw za pieniądze od nas brane.

Gdybyśmy umieli postępować inaczej, mielibyśmy dla 10.000 Polaków jeżdżących rocznie z konieczności nad Adryatyk, nie jeden pensjonat w Lovranie, a dwa małe w Abazyi, ale kilka dużych, prawdziwie europejskich hoteli; trzy czwarte pieniędzy wywożonych z kraju, wpływałoby do kieszeni polskich i wracałoby w znacznej części do kraju.

Przyszłość ma to wybrzeże urocze i ożywcze olbrzymią, połapali się już tutejsi obywatele Chorwaci i zaczynają wykupywać na rzecz gmin i spółek złożonych z krajowców, kosmopolityczne dotąd przedsiębiorstwa hotelowe i tereny budowlane.

Gmina Voloska kupiła hotel Towarzystwa wa-

gonów sypialnych i olbrzymie tereny budowlane w Lovranie. Tworzy się spółka akcyjna, która już w jesieni przystępuje do budowy tramwaju elektrycznego i w dalszej części kolei zębnicowej na szczyt „Monte maggiore”. Kolejka ta pójdzie z uroczej i dużą przyszłość mającej zatoki Medwei za Lovraną.

Jeszcze jedna nowina. Automobil towarzystwa „Riviere” kursujący w zeszłym roku między Polą a Abazyą na przestrzeni 160 kilometrów cudownej drogi wśród południowej Kampanii, lub nad szczytami nadmorskich skał, przestał jeździć. Spadł parę razy do morza, zawsze szczęśliwie, bez ofiar w ludziach; zaczęto się bać tej karkołomnej podróży i zwinęto przedsiębiorstwo z wielką szkodą dla szukających silniejszych wrażeń.

Życie polskie w Lovranie ześrodkowuje się w pensjonacie „Hotelu centralnego” prowadzonego bardzo starannie przez panią R. Bawią tu chętnie goście z Polski a stałym mieszkańcem jest Stanisław Witkiewicz, pielęgnowany z całą troskliwością przez otaczającą go kolonię tutejszej Polonii.

W tej chwili błyska latarnia morska w Rjece, zmrok nie pozwala pisać na werandzie, a więc reszta kiedyś indziej.



## Z wycieczki po wybrzeżach austriackich.

Austriacka Rywiera dopiero od niedawna bywa odwiedzana przez podróżnych, którzy dla rozrywki lub studyów, dla zdrowia lub odpoczynku a nie dla interesów handlowych lub zawodowych udają się w odległe strony monarchii. Prawda, że dopiero od niedawna z zaprowadzeniem komunikacji Tryestu i Fiume z miastami wybrzeża dalmatyńskiego, za pomocą pospiesznych parowców towarzystwa Lloyd lub towarzystwa węgiersko-kroackiego, nabrała podróż wzdłuż wybrzeży Adryatyku wiele stron dodatnich. Ale zawsze główną siłą atrakcyjną i urok wycieczki w tamte strony stanowił i stanowić będzie właściwy wybrzeżom Dalmacyi charakter krajobrazów, tak odmienny od wyśpiewanych już na wszelkie tony i melodye widoków nieba i morza włoskiego i wybrzeży francuskiej Rywiery.

To też Rywiera dalmatyńska zaczyna już konkurować silnie ze swoją francuską rywalką; podczas kiedy ta ostatnia zwolna wychodzi z mody, wybrzeża dalmatyńskie poczynają się roić co raz więcej cudzoziemcami, żądnymi nowych wrażeń i widoków.

Do niedawna i ja mylnie wyobrażałem sobie Dalmacyę jako kraj dziki, pusty, bezludny, nie budzący żadnego interesu ani dla turysty, ani dla uprawiającego sztuki piękne włóczęgi światowego. Tymczasem jest to kraj piękny, malowniczy i w swoim rodzaju bogaty w materiały do studyów historycznych i estetycznych.

Jakkolwiek tych kilka miejscowości, na których zwiedzenie pozwala rozkład jazdy parowców pospiesznych, kursujących z Rieki do Kotaru, nie może wystarczyć do wyrobienia sobie zupełnego wyobrażenia o piękności dalmatyńskich wybrzeży, ale pobieżne choćby obejrzenie ich pozostawia bardzo dodatnie wrażenie i pozwala wnioskować o zaletach całego kraju.

Wyplłynąwszy w noc spokojną z Fiume na pokładzie „Hungaryi“, pierwszorzędnego parowca towarzystwa węgiersko-kroackiego, które zmonopolizowało w ostatnich czasach żeglugę na Adryatyku, umieściłem się w wygodnym krześle na górnym pokładzie i ukołysany monotonnym odgłosem maszyny



okrętowej i cichym pluskiem fal, byłbym z półsen-nych marzeń wpadł w całkiem zwykły ludzkiemu stworzeniu sen, gdyby nie myśl o wygodniejszym znaczenie od krzesła okrętowego łóżku w kajucie, do której też zapędziła mnie wnet prozaiczna chęć wypoczęcia po całodziennej wędrówce po okolicy Rjeki.

Mimo nieznośnego łoskotu pracującej w bliskim mojem sąsiedztwie śruby okrętowej, przemo-gło zmęczenie i obudziłem się już nad ranem nie-daleko Zary. O pięknościach przebytej dotych-czas drogi dowiedzieć się mogłem jedynie z opo-wiadania grzecznego kapitana „Hungaryi“, rodowi-tego Dalmatyńca, który łamaną niemczyzną starał się opisać mi, jak umiał najlepiej, przejechał przez nas dotychczas drogę i jej okolice.

Płynęliśmy więc obok nowej węgierskiej stacyi klimatycznej Crkwenicy założonej przez Węgrów z wielką forsą i nakładem na złość i na konku-rencyę sąsiedniej austriackiej Abazyi.

Przeptywaliśmy dalej kanał Maltempo, jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w żegludze na wy-brzeżach dalmatyńskich, minęliśmy Zengg — starą korsarską osadę.

Wyspy Cherso, Lussina, Arbe i Tago zostały po obu stronach przebytej przez nas drogi a szczyty Velebitu, pasma gór pełnego romantycznych u Dal-

matyńców postaci mitologicznych — widniały już tylko jak we mgle na dalekim horyzoncie.

Ranek był prześliczny, świeży, powietrze chło-dne jeszcze z nocy, słońce wynurzyło się właśnie z po za skalistych brzegów i kapało odmłodzoną i wyspaną swoją fizys w zmarszczonem lekkim wia-trem zwierciadle morza.

Z poetycznego nastroju, w jaki mimo odzywa-jącego się głodu wprowadził mnie ten uroczy kraj-obraz, zbudził mnie greczny ale stanowczy głos okrętowego „frotera“ uzbrojonego w miejsce kija z woskiem i szczotek, w długą miotłę i gumowego węża. Głos ten radził usunąć się na czas mycia pokładu. Szczęście, że głosu tego usłuchałem w czas, bo w tej chwili z wylotu węża gumowego trysnął silny prąd wody — dobroczynny dla higieny okrętowej, ale mniej przyjemny dla napotkanej przypadkowo po drodze toalety pasażera okrę-towego.

Do ukończeniu porządków na pokładzie, które trzeba przyznać spełnia tutejsza służba z precyzją, mimo, że pochodzenie jej włoskie kazałoby przy-puszczać mniej amatorstwa dla czystości, wróciłem na pokład i kontynuowałem podziwianie niezwy-klęgo w swoim rodzaju widoku.

Parowiec płynie wciąż w pewnej jednostajnej odległości od wybrzeży, pozwalającej na odróżnie-



nie niezwykłego, choć trochę dzikiego krajobrazu. Nagie na pozór brzegi, okazują przy bliższem przyjrzeniu się przez szkła dobre bujną wegetację, tylko, że roślinność cała karłowata, drzewa ledwie od ziemi odrosłe, wyglądają z daleka na nikle krzaki i kępy ostów, a oliwne i laurowe gaje na garście mchów, skały porastających.

Gdzie porowiec bliżej wybrzeża przepływa, można odróżnić pracowite ślady rąk ludzkich, drogi w skale wykute i starannie podmurowane od morza, ogrodzenia z kamieni na mile długie, przez pokolenia całe uzbierane i chroniące winnice i ogrody więcej od wiatrów niszczących, niżeli od ewentualnej napaści ludzkiej.

Słuchając opowiadania kapitana „Hungaryi“ o przechodzącej wyobrażenie cierpliwości i mitrędze, z jaką przychodzi tutejszym krajowcom praca około uprawy winnic i ogrodów, ich jedynej gałęzi zarobku i utrzymania, mimowolnie wspomniałem w duchu na arcyodmienne położenie ekonomiczne naszych galicyjskich „dalmatyńców“ — którzy także co prawda biedni, ale nie dlatego, że im na skale słońce wypali i „bora“ lub „sirocco“ zwieje plony, ale dlatego, że wyszedłszy o 10-tej rano w pole jeszcze wyciągają się rozkosznie, że aż kości trzeszczą i jakby „od niechcenia“ hojniejszą stokroć swoją ziemię rodzicielską łopatą lub pługiem „trącają“.

Nawóz z uzbieranych nad morzem mchów i porostów nosić muszą tutaj nieraz mile całe w głąb wybrzeża, aby uzyskać bodaj lichey zbiór ze skalistych i palonych wiatrami gruntów.

Z rozmyślań tych wyrwał mnie ruch większy na parowcu i przygotowanie do lądowania w Zatoce Zadaru, którego port widniał już z daleka. Na pierwszy rzut oka położenie Zary przypomina mocno Wenecję. Półwysep o zupełnie płaskim wybrzeżu, wchodzący daleko w głąb morza, nie zdradza połączenia z lądem; dużo wież kościelnych i gmachów monumentalnych, jakby pływających po powierzchni wody, robi bardzo malownicze przy zbliżaniu się do portu wrażenie.

Samo miasto, pełne wojska i urzędników, nabiera więcej malowniczego wyglądu dopiero w święta i niedziele, kiedy ludność okoliczna w barwnych, nieraz mimo istotnej nędzy lokalnej dość bogatych strojach dalmatyńskich zapełni ciasne ulice i place miasta.

Sklepy dość porządne, ciekawe doбором towarów. Obok jedwabiów i złotem haftowanych strojów narodowych, widać w oknie sklepowem pudełka czernidla do butów, śledzie, buciki damskie i flaszki sławnej Maraschino di Zara, wszystko za jedną szybą wystawową.

Ulice ciasne i niewygodne niemożliwie, ale



chronią mieszkańców od spiek i szalonych wichrów, jakie tutaj panują.

Z architektonicznych zabytków miasta prześlizczne są bramy „Porta Marina“, „Porta terra ferma“ rodzimego tutejszego architektury Samichell'iego dzieło. Kościołów kilka bardzo starożytnych i zawierających dość dużo pamiątek przechowywanych starannie i z pietyzmem wrodzonym tutejszej ludności. Najstarszy kościół z IX. wieku S. Donato przerobiony z dawnej świątyni Junony, zamieniony od dawna na skład wina.

Wyplłynąwszy z portu zadarskiego przy dość burzliwym morzu, choć pogodnym zupełnie niebie, skierowaliśmy się wzdłuż malowniczych, choć miejscami charakterystycznie dzikich i bezludnych wybrzeży w drogę do Splitu. Po drodze spotykaliśmy co chwilę barki i łodzie pełne mieszkańców okolicznych wysp, wracających z niedzielnego nabożeństwa z kościołów o kilka mil nieraz oddalonych.

Najbardziej wzburzone morze nie odstrasza podobno tutejszej ludności od podróży w niedziele i święta do parafialnych kościołów. Nie dziw też, że co krok widzi się na wybrzeżu sterczący na skałach krzyż kamienny lub figurę, te milczące pamiątki nieszczęść i katastrof, jakim ulegają tutaj często odważne dzieci morza.

W kilka godzin zbliżyliśmy się do Spalato. Wjazd do zatoki robi bardzo malownicze wrażenie; na tle ciemnego skalistego pasma gór odbijają barwnie monumentalne budowle starożytnego tego miasta.

Na pierwszy zaraz rzut oka uderza za zbliżeniem się do zatoki wspaniałe wybrzeże, szeroka bardzo „Riva“, na której wre życie portowe a oko widza odróżnia zaraz podział miasta na starożytną dzielnicę, objętą prawie całkowicie murami pałacu Dyoklecjana, dźwigającego czternaście wieków na swych zczerniałych barkach, i na nowe miasto o szerokich ulicach i wspaniałych nowożytnych budynkach. Spalato to najwięcej historyczne a zarazem najbardziej cywilizowane i postępowe miasto Dalmacyi.

Najgodniejszym widzenia przedmiotem jest oczywiście pałac Dyoklecjana, jako jedna z najstarszych i najlepiej stosunkowo zachowanych pamiątek bogatej historycznej przeszłości tego kraju.

Imponujące jeszcze wrażenie robi gigantyczna ta budowla, składająca się z czworobocznego korpusu murów granitowych, ozdobionych prześlizcznej roboty kolumnami, krużgankami, portykami i t. d. noszącymi mimo upływu półtora tysiąca lat ślady niezwykle bogactwa architektonicznego.

Od strony morza wznosiła się wśród tych murów kiedyś wspaniała, na pięćdziesięciu doryckich



kolumnach wsparta wieża, z której ząb czasu nie wiele już pozostawił.

W części północnej znajduje się jedna z czterech bram pałacu „porta aurea“ prześliczna w swoim dzisiejszym, nawet znacznie wyszczerbionym wiekami stanie. Bogata ornamentyka fryzów, konsol, kolumn, mistrzowskiej roboty, okryta dziś rdzą wieków, przykuwa wzrok i woła myśl do rozmyślań nad znikomością granitowych nawet arcydzieł ludzkiej ręki.

Dawniejszy podwórzec pałacowy „Peristyl“ stanowi dzisiejszy plac katedralny, na którym wznosi się monumentalna świątynia pałacowa, dzisiejsza katedra, prawdziwy skarbiec zabytków architektonicznych.

Prócz samej ośmiokątnej świątyni pozostała jeszcze część wspaniałej kolumnady a u wejścia Sfinx z czarnego granitu, obdarzony przez twórcę rękami ludzkimi, co oryginalny tej rzeźbie nadaje wygląd.

Prócz samej świątyni i mieszczącej się obok chrzcielnicy, dawnego mauzoleum Dyoklecjana, zasługuje na obejrzenie Muzeum starożytności, położone tuż obok pałacu i mieszczące okazały zbiór zabytków i wykopalisk historycznych, wśród których wyróżnia się Sfinks egipski, liczący 35 wieków.

Określony ściśle plan podróży mojej nie pozwalał mi na zrobienie nęcącej bardzo wycieczki

do ruin Salony, odległych dwie i pół godzin od Spalato. Starożytne to miasto, którego dzieje sięgają mitycznych czasów, ulegało kilkakrotnemu zniszczeniu przez Gotów i Awarów a ruiny wspaniałych budowli historycznych dopiero w tym wieku wykopano i wydobyto z ziemi.

Ponieważ do odejścia parowca pozostawał mi jeszcze jakiś czas, przebiegłem jeszcze raz miasto w towarzystwie poznanego w drodze i życzliwego pobratymca Kroaty i na zakończenie zwiedzania miasta skierowałem się do parku miejskiego. Tutaj mogłem robić na prędce studia etnograficzne, bo przy świącie park roił się od publiki miejskiej, reprezentującej całą ludność od high lif'u do najniższych sfer. W toaletach kobiet, należących, jak można było wnioskować z ubrania, do sfer uboższych, zwraca uwagę mnóstwo kosztowności, pereł, broszek, kolczyków, któremi obwieszają się tutaj kobiety. Niektóre brosze złote i mozaikowe, imponujące wprost rozmiarami — a widać na tych kosztownościach pochodzenie nie dzisiejsze. W pierwszej chwili myślałem, że to fałszywe „precioza“ lecz Kroat mój wyprowadził mnie z błędu, zapewniając, że to, com widział, to część jedynie bogactwa obywaterek tułtejszych — a garnitury kompletne ubierają jedynie na wielkie święta. Od ust odejmują sobie najuboższe dziewczęta, aby nie pozbyć się kosztowności fa-



milijnych, przechodzących z matki na córkę i przechowywanych z pietyzmem i nabożeństwem w najuboższych rodzinach.

Port w Spalato opuściliśmy już późno wieczorem.

Przed odpłynięciem parowca poświęciłem pół godziny na dotrzymanie towarzystwa naszemu kapitanowi w ulubionej jego rozrywce, której oddaje się w czasie wypoczywania „Hungaryi“ w portach na kotwicy, to jest łapaniu ryb na wędkę. Zdziwiony byłem w pierwszej chwili, widząc go zapuszczającego wędkę w stronę najbardziej hałaśliwej i ruchliwej części zatoki, gdzie przy ładowaniu okrętu, ciągłym ruchem wody, trudnoby przypuścić obecność ryb. Niedowierzanie moje musiało jednak prędko ustąpić, bo mój kapitan raz po raz ciągnął jakąś wcale przyzwoitych rozmiarów rybę. Jako przynęty używał specjalnie w kuchni okrętowej przyrządzanego ciasta surowego, które urabiał w gałki i zawijał w nie dokładnie zdradliwy haczyk.

W czasie kolacji tego dnia mieliśmy sposobność poznać, że kapitan nasz trofea swoje rybackie umie też należycie przyrządzać; podano nam kilka gatunków ryb, przyrządzonych pod okiem kapitana w oryginalny sposób, dla nieprzyzwyczajonego podniebienia może nieco za oryginalny, po-

legający na tajemnicach kuchni włosko-dalmatyńskiej.

Z brzaskiem drugiego dnia byliśmy już daleko od Spalato, minawszy w nocy wyspy Brazzę — Soltę — Lesinę — Lissę — Curzolę i półwysp Sabioncello.

Krajobraz nadbrzeżny, bardzo malowniczy, wynagrodził nam trud wczesnego opuszczenia kajuty — zrobił na mnie wrażenie jakby kombinacji Tatr naszych z morzem i przepysznym błękitem południowego nieba.

O siódmej rano wpłynęliśmy do portu w Grawozie.

Miejscowość ta stanowi port dla miasta Raguzy — położonego po drugiej stronie, rozdzielającego te dwie miejscowości półwyspu Lapad.

Jeżeli mowa o pięknościach Dalmacyi, to okolica Grawozy — Raguzy zasługuje istotnie na miano perły tego kraju. Na tle prześlicznego błękitu nieba i błękitu prawdziwie już południowego tutaj morza — odbijają urocze wybrzeża, pełne gajów cyprysowych i wawrzynowych, wśród których bieleją w Grawozie skromne domy rybaków, w Raguzie wspaniałe budowle starożytne i nowoczesne — opasane potężnymi murami morskiej fortecy, jaką stanowi Raguzza dla obrony wybrzeża dalmatyńskiego.



Po nad tem tłem bieleją na widnokregu nagie skały gór — stanowiąc tem bardziej malowniczy kontrast z kolorytem nieba i morza.

W kwadrans po wylądowaniu w Grawozie można dostać się wygodnym powozem do bramy Porta Pilli, stanowiącej dziś już jedynie wspomnieniami przeszłości bogaty, dawniej obronny wjazd do miasta. Samo miasto przedstawia dla chciwego romantycznych wrażeń podróżnika najwięcej interesu z wszystkich miast wybrzeża dalmatyńskiego, — a to dzięki, bogatej bardzo przeszłości historycznej, uwydatniającej się dziś jeszcze resztkami dawnej potęgi, przed którą drżały ościenne narody, a z którą rachowała się nawet tak silna konkurentka, jak Rzeczpospolita wenecka. Początek miasta sięga V. wieku przed Chr. i pierwotna przez greckich kolonistów założona osada zwała się Epidaurus. Od bujnych gajów dębowych otrzymała osada po zajęciu jej przez szczepy chorwackie nazwę Dubrownik (Dub—dąb). — Od VI. wieku po Chr. rządziło się miasto jako rzeczpospolita — z początku pod protektoratem wschodniego cesarstwa, później rzeczypospolitej weneckiej, a przez dwa wieki pod opieką Węgier. Okres potęgi i samodzielności przypada na połowę XV. wieku i z tego czasu pochodzą najwspanialsze budowle i pamiątki historyczne.

Znaczenie tej małej rzeczypospolitej było czy-

sto arystokratyczne. — Ludność miasta dzieliła się na szlachtę (nobili) — mieszczan (cittadini), rzemieślników i rolników (contadini).

Między tymi kastami panował silny rozdział a nawet antagonizm. Sama szlachta miała dwa stopnie dostojęstwa — i dzieliła się na „Salamanchesi“ i „Sorbonnesi“ od akademii przez młodzież tutejszą odwiedzanych.

Główna ulica miasta „Stradone“, szeroka jak żadna inna w miastach dalmatyńskich, zabudowana po obydwu stronach szeregiem pałaców dawnych „principe“, „conti“ i „pregati“ i innych dostojników miasta.

Godne widzenia budowle i architektonicznie skończone arcydzieła stylu gotyckiego i weneckiego odrodzenia spotyka się tutaj na każdym kroku. W ulicy Stradone uderza w oko prześliczna studnia, zasilana wodą dawnych jeszcze wodociągów. U wyjścia ze Stradone wznosi się większych rozmiarów budynek dawnej reprezentacji kupiectwa, tak zwana „Dogana“ — o bardzo bogato sztukateryami i arkadami ozdobionym froncie. Wśród okien frontowych widnieje w niszy statua patrona miasta Sł. Biagio.

Obok tego budynku stoi najwspanialsza budowla Raguzy, pałac Rektorów — najwyższych dostojników rzeczypospolitej. Zbudowany w XIV-tym



wieku miał dawniej dwa piętra — w czasie trzęsienia ziemi, które tutaj często się powtarza, stracił jedno.

Frontowa fasada ozdobiona pięknymi arkadami, szerokie schody i bogata ornamentyka renesansowa nadaje całości korzystny wygląd.

Raguza ma stosunkowo bardzo dużo kościołów, a niektóre z nich mają w skarbach swoich prawdziwe bogactwo pamiątek, — obrazów i ksiąg, na obejrzenie ich jednak trzebaby znacznie więcej czasu poświęcić, aniżeli pozwala przelotne zwiedzenie miasta.

Dawny klasztor Jezuitów, duży i fundamentalny budynek zamieniono na szpital wojskowy. Z innych klasztorów zasługuje na wzmiankę klasztor Dominikanów, gotycko romańska budowla, mająca bardzo ładną drogę krzyżową, prowadzącą w arkadach o niezwykłych formach.

Otoczenie Raguzy równie piękne, jak same miasto. Do ładniejszych wycieczek, jakie można zrobić w kilku godzinach, należy San Giacomo, miejscowość obdarzona wspaniałą, prawie podzwrotnikową roślinnością — ogromne agawy i palmy nadają krajobrazowi charakter greckich widoków.

Jeszcze piękniejsze położenie i roślinność ma mała, godzinę drogi od Raguzy położona wysepka Lacroma, na której znajdował się niegdyś klasztor,

fundowany przez Ryszarda Lwie serce na podstawie ślubu, podczas burzy morskiej uczynionego. Dziś Lacroma stanowi siedzibę czasową członków domu cesarskiego — w pałacyku wznoszącym się na wzgórzu wyspy.

Raguza i okolica jej stanowią dziś bardzo licznie uczęszczaną stację klimatyczną zimową — dla skazanych na uciekanie się pod łagodne niebo południowe.

W ostatnich czasach wybudowała spółka przedsiębiorców wiedeńskich wspaniałą, z niezwykłym komfortem urządzonego hotel Imperial, położony w najwyższym punkcie miasta, w ogrodzie bardzo starannie założonym i utrzymanym. Z terasy hotelu rozciąga się uroczy widok na wybrzeża i część zatoki.

W drodze z Raguzy ku południowej kończy nie monarchii — zmienia się znacznie krajobraz nadbrzeżny. O ile północna część Dalmacyi ma zaludnienie bardzo słabe i tylko miasta większe nadbrzeżne przerywają jednostajność bezludnych wybrzeży — o tyle brzegi w tej części Dalmacyi zasiane są miasteczkami, wsiami i osadami rybackimi. Co kilkaset kroków prawie wystrzela z pośród domków rybackich wieżyczka kościoła lub kapliczki, jedne tuż przy brzegu, inne dalej w górach na skale. Równie gęsto jak kościoły, spotyka wzrok regularne



linie wykutych w skale fortów, spozierających otworami okien i paszczami armat.

Na murach widać liczne budki szyldwachów, pojedyncze forty, połączone siecią słupów i drutów telegraficznych. Widać, że to miejsce ważne ze względów strategicznych — najbardziej na południe wysunięty posterunek, broniący długiej linii wybrzeża azyatyckiego.

Minąwszy wysepki Punta d' Ostro i Punta d' Arca — najeżone fortami i stanowiące bramę zatoki Cattaro, zbliża się parowiec do portu w Castelnuovo, małego, starego, w murach twierdzy i cytadeli zamkniętego miasteczka, niegdyś stolicy księstwa Saba, założonego przez pierwszego króla Bośni Twardka Kotromanovića. Wegetacja tej okolicy prześliczna, klimat nadzwyczaj łagodny.

Z Castelnuovo płynie okręt przez kanał Kombur, obok zatoki Teodo, będący stacją wojennej floty austriackiej — i po niejakiś czasie, minąwszy wąski przesmyk morski Catene, zwany od łańcuchów, którymi przesmyk ten, stanowiący bramę zatoki, był dawniej zamykany, dostaje się do właściwej Bocche di Cattaro.

Wybrzeże tej zatoki bardzo malownicze i ożywione. Osady rybackie, wsie z błyszczącymi co krok krzyżami kościołów, rozsiane na skałach nadbrzeżnych, fortyfikacje a po nad tem wszystkiem niebo-

tyczne, skaliste pasmo szczytów Czarnogóry, tworzy istotnie piękną całość. Na wysepkach San Giorgio i Maria dello Scarpello kościoły tego samego imienia, zdają się strzedz zatoki i mieszkańców jej od wybryków zdraдлиwego żywiołu, jakim jest najczęściej najeżone skałami morze tutejsze. Minąwszy jeszcze miejscowości Perazto i Perraguo i górującą nad pierwszą z tych miejscowości groźną twierdzą górską Santa Croce, zawija parowiec do portu Cattaro.

Sama zatoka Cattaro budzi dużo zajęcia, jako najdalej na południe wysunięta miejscowość monarchii — a sukces ten zwiększa się jeszcze za zbliżeniem się do portu, w którym pulsuje barwne i ruchliwe życie pograniczne. Na pierwsze zaraz wejrzenie — uderza wojskowy charakter miejscowości.

Nad zabudowaniem zresztą dość skromnie miasteczkiem, wznoszą się potężne mury fortyfikacyjne, wijące się wężem po olbrzymim grzbiecie skalistego pasma gór.

Wskutek rozlicznych zmian historycznych — jakim ulegała miejscowość ta od wieków i przechodzenia w posiadanie z rąk do rąk — wytworzył się w charakterze ludności konglomerat narodowościowy. Jest więc ludność tutaj częścią słowiańska, częścią włoska, częścią niemiecka — ponieważ zaś najbliższe połączenie Czarnogóry i Albanii, z światem cywilizowanym, drogą morską do Cattaro a stąd drogą



ładową do Cetynii prowadzi, przeto chwilami robi Caffaro wrażenie czarnogórskiej miejscowości, szczególnie, kiedy na placu przed bramą zwaną portą Fiumana w dni targowe ściągnie się więcej Czarnogórców.

Najgodniejszą widzenia rzeczą jest w tej okolicy — droga prowadząca z Caffaro do Cetynii — a to tak z uwagi na niezwykle teren i wykonanie tego prawdziwego chef d'oeuvre, sztuki inżynierskiej, jak i z powodu prześlicznych widoków, jakie następuje podróż tą drogą.

Ponieważ jednak droga ta wkrótce po opuszczeniu Caffaro wkracza w granice posiadłości lipuciego królestwa „najgrubszego“ z panujących króla Nikity — przeto zostawiam opis tej drogi i dalszych wrażeń do osobnego szkicu z podróży.

## Listy z Wiednia.

*Wiedeń, 20. kwietnia 1911.*

Wiosnę czuć w powietrzu. Na rogach ulic obok piecyka tyrolskiego i kroackiego maroniarza — stanął już wózek z wodą sodową; — gorące marony i pieczone jabłka schodzą na drugi plan; wiedeńczyk sięga ręką po garść kwiatów, które mu na każdym kroku ofiaruje leciwa „Blumenmädchen“, a tych kwiatów już na ulicach moc.

Wiosnę czuć na Kärntnerstrasse, na Graben — jeszcze tu i ówdzie zabłąka się futro „provinciera“, zimowy paltocik i grubszy kostium damski — ale co dzień więcej w południe jasnych wiosennych strojów: modne coraz bardziej kolory różnych odcieni fiołków i poziomek zdobywają swoje panowanie. Wiedeń lubi jasne barwy, lubi słońce, kwiaty, więc cieszy się pierwszym podmuchem wiosny, która tu przychodzi na świat trochę prędzej



niż u nas — niemal bezpośrednio po zimowym karnawale.

Takie samo nagłe przejście objawia się w życiu towarzyskim i kulturalnym. Z powodzi balów, re-  
duł, rozmaitych „wianuszków“ („Kränzchen“) wpada Wiedeń w istny szal odczytów, konferencyi, prele-  
kcyi, których tu taka codziennie moc, jakby ludzie naprawdę chcieli zapomnieć o troskach cielesnych, droż-  
żynie, ciasnym mieszkaniu, coraz lichszych a droż-  
szych sługach, oddając się obcowaniu z duchami  
mniej lub bardziej uczonych mężów i pić czysty ab-  
strakt, połykać idee, sentencye i inne duchowe sma-  
kołyki na deser po karnawałowym przesyce, albo  
na czczy, naturalnie z powodu ciężkich warunków  
życiowych — żołądek.

Polonia wiedeńska rozpoczyna także swój kar-  
nawał odczytowy i to odrazu od pierwszorzędnego  
„gwoźdźca“ — od konferencyi Ant. Potockiego, który  
mówić będzie „O stanie duszy kobiecej w literatu-  
rze polskiej“. Odczyt będzie francuski a że wiedeń-  
czycy pozują chętnie na Francuzów naddunajskich —  
więc na odczycie tym będzie „toute Vienne“.

Wczorajsze śniadanie u księżnej Maryi Lubo-  
mirskiej, która w pałacu swoim na Zedwitzgasse ze-  
środkowuje z talentem i miłością dla kraju życie  
towarzyskie wybitnej Polonii — było rodzajem prze-  
glądu sił i projektów na dalszy sezon odczytowy.

Odczyt profesora Zeemana o emigracyi, odczyt  
radcy Dr. J. Twardowskiego o rozwoju przemysło-  
wym Galicyi w ubiegłych dziesięciu latach — i je-  
szcze inne ważne i wdzięczne tematy znajdują wyraz  
w programie duchowych rozrywek. — Niemcy za-  
czynają chodzić coraz chętniej na polskie, po nie-  
miecku lub francusku podawane tematy.

Dobrze że tak jest — bo dowiadują się o nas  
od nas — a są usiłowania, aby dowiadawali się  
o nas z innych mniej wiarogodnych źródeł.

Resztę wiadomości innym razem.

### *Wiedeń, 11. sierpnia.*

Tylko niektóre dzienniki niemieckie podały  
krótką, ale charakterystyczną notatkę o pewnym wy-  
padku kryminalnym, jaki miał miejsce w Budape-  
szcie, względnie w sławnym z wyścigów węgierskim  
mieście Alag.

Z wyścigowcem, stanowiącym własność pewnego  
wielkiego monarchy, zaprzyjaźnionego z Austryą pań-  
stwa, noszącym miano *Stosvogel* (koń, nie monar-  
cha) przyjechał na wyścigi do Alag dżokej ze sta-  
jen wyścigowych owego potentata, nazwiskiem Jo-  
hann Wittner.

Po skończeniu „derby“ dżokej noszący liberye



swego wielkiego pana, pojechał na odpoczynek do Budapesztu i tutaj zamieszkał u pewnego kupca, Karola Schrödera, uszczęśliwionego, że może w zamian za skromną zapłatę, gościć dworaka tak wielkiej i zaszczytnej barwy.

Aliści po wyprowadzeniu się miłego gościa, spostrzegł właściciel mieszkania brak drogocennego futra i boa swej żony, a po bliższym zbadaniu okazało się, że dzokej skradłszy futra wartości 400 koron i zastawiwszy je za 50 koron, powiedział sobie w myśl hasła swojego pana: *Es ist erreicht* i... chciał czmychnąć do ojczyzny. — Niestety, sędzia węgierski zaprosił go dla odmiany w bezpłatną dwumiesięczną — przymusową gościnę — tak przynajmniej podaje *Budapester Tagblatt* w notatce p. n. *Ein diebischer Jockey*.

W sferach wiedeńskich, interesujących się wielkimi ułatwieniami w dziedzinie komunikacji pocztowej, podniesiono ciekawą myśl zbierania listów z różnych okolic miasta do skrzynek umieszczonych w wozach tramwajowych i przewożenia tych skrzynek do dworców kolejowych.

W ten sposób umożliwionem byłoby użycie do szybszej komunikacji pocztowej rozmaitych pociągów, odchodzących w różne strony — i oszczędzone mogłyby być koszty zbierania skrzynek listowych wózkami po mieście.

Proceder taki istnieje już podobno w Lincu i funkcjonuje bez zarzutu.

U nas we Lwowie na długiej linii Łyczaków-Dworzec, albo Ulica św. Zofii-Dworzec, system taki dałby się doskonale zastosować. Lecz czy pozwoli na to prawidło pocztowo-fizykalne o nieprzenikliwości zmysłu praktycznego i bezwładności austriackiego „siwosza“ pocztowego?

Na wszelki sposób, jeżeli się uda przełamać zasadnicze trudności, to Wiedeń dostanie takie ułatwienie prędzej od Lwowa.

Oprócz spraw listów, telefonów, umysły wiedeńczyków zajęte są obecnie gorąco sprawą rozszerzania opieki nad bezdomnymi. — Parę tragicznych wypadków, wyszłych na jaw w czasie kanikuly, jedna śmierć dziecka w objęciach matki, włóczącej bezdomną rodzinę po ulicach stolicy, rozgrzały skłonne do czułości serca poczciwych wiedeńskich „bürgerów“. Jak w wielu podobnych sprawach, myśli się jednak więcej o paliatywach, o chwilowem usunięciu symptomów o „schowaniu“ bezdomnych w schroniskach, azylach i t. p., aniżeli o radykalnem leczeniu choroby stołecznego pauperyzmu.

Dostarczenie pracy szukającym jej na prawdę, a zmuszenie do niej wstydzących się lub leniwych do pracy, bo z takich rekrutują się najwięcej w wiel-



kich miastach bezdomni, byłoby daleko skuteczniejszym, aniżeli rozkliwianie się nad nędzą, bez szczerzej chęci jej usunięcia.

Inny dowód szlachetnej tkliwości i wrażliwości serc wiedeńczyków, to owa wielka radość mieszkańców na wieść o wpuszczeniu do parków miejskich trzydziestu słowików chińskich — sprowadzonych na ten cel przez wiedeńskie towarzystwo zoologiczne.

Rozleciało się to ptactwo śpiewacze po całym Wiedniu i codziennie raportują dzienniki, w której części miasta uścieliły sobie gniazdka.

*Wo du singen hörst, setz dich nieder...* mówią sobie obywatele od Florisdorfu, aż po Hietzing — i cieszą się, że mają nowych bezpłatnych śpiewaków.

Gorsze melodye śpiewają różne związki i korporacje przemysłowo-kupieckie i gospodarcze panu ministrowi handlu, za niezrozumiałe u tego wytrawnego polityka lekkomyślne wydanie nowych przepisów telefonicznych — z zupełnem zlekceważeniem opinii sfer interesowanych i najprostszych zasad nowoczesnego postępu w dziedzinie komunikacji.

Jak zwykle, nie można znaleźć winnego. Pan Weiskirchner zrzuca winę na ministra skarbu i ministra wojny (?) — a tamci dygnitarze z pewnością zepchną odpowiedzialność na... parlament i na względy militarne.

Nie wiele nam, obywatelom, nauczonym znosić różne niespodzianki telefoniczne, przyjdzie z tej gry w *boule de neige*, bo jeden i drugi czynnik, na którym utkwilo oskarżenie... nietykalny.

Bądźmy szczęśliwi, że mamy nowe przepisy.

My mamy wogóle w tem państwie różne zbawienne reformy... na papierze.

Nowym takim papierowym postępowaniem jest rozporządzenie, którem Rada szkolna krajowa Dolnej Austrii poleciła podzielić młodzież szkół ludowych i wydziałowych od roku szkolnego 1910/11 według jej zdolności intelektualnej i postępu w naukach w każdej poszczególnej klasie na grupy, albo na kilka równorzędnych klas (paralelek). Ma to mieć na celu ułatwienie intensywniejszej pracy dydaktycznej i pedagogicznej nad dziećmi, z różnych powodów zostającymi w tyle za swymi rówieśnikami.

Klasy paralelne utworzone z uczniów i uczennic lepszych — lepiej postępujących w naukach, będą silniej zapełniane liczebnie, klasy z uczniami słabszymi będą ich liczyć mniej.

Tym sposobem łatwym ma się uniknąć potrzeby budowania większej ilości szkół — przyjmowania większej liczby nauczycieli i innych kosztownych zarządzeń, o które z powodu przepełnienia szkół wolażą rodzice. Coraz słabsze wyniki nowoczesnego szkolnictwa?



Czy ten środek pomoże?

Pomódz nie pomoże wiele, ale zaszkodzić nie zaszkodzi. Oto dewiza różnych eksperymentatorów pedagogii, liczącej się bardziej z fiskalizmem i... deficytem, aniżeli z potrzebami życia i kultury.

## Szkice z wystawy łowieckiej.

*Wiedeń, 21. lipca.*

I. Nowoczesne wystawy mają prawie wszystkie to do siebie, że pokazują dużo więcej, aniżeli mieści ich nazwa.

Ten sam rys charakteru ma łowiecka wystawa wiedeńska.

Łowiectwo stanowi tło — powiedzmy otwarcie: pretekst — do urzędzenia czegoś, coby ściągnęło uwagę ludzi, zwabionych dużą reklamą z całego świata, na to, aby im obok łowiectwa dać sposobność, jak najwięcej sposobności, do zostawienia jak najwięcej pieniędzy w kieszeni aranżerów wystawy, a pośrednio na korzyść miasta.

Wiedeń umie wybornie urządzać takie wystawy. Samo łowiectwo — dziedzina bezsprzecznie bardzo bogata, interesująca, szlachetna i rycerska, bez różnych dodatków, urzędzeń atrakcyjnych, byłaby



czemś zanadto specjalnem, zanadto monotonnem. dla wielu wprost nudnem, gdyby nie przeróżne dodatki, jak: jarmark przemysłowy w rotundzie, menażerya, bitwa morska w panoramie: t. zw. „Rutschbahn“ w Lunaparku i inne atrakcje, mniej lub więcej naiwne, dziecinne nieraz, ale ściągające tłumy i co najważniejsza, robiące kasę.

Nad tą stroną nowoczesnych wystaw nie powinno się przechodzić do porządku dziennego, jako nad czemś płytkiem i poziomem; w rzeczy tej tkwi duża doza społecznej psychologii tłumów.

Chcąc tłumowi, myślącemu płytko, pokazać coś mądrego, zmusić go do zajęcia się rzeczą poważniejszą, n. p. sztuką, nauką, ideami społecznymi, i t. d., trzeba koniecznie ten tłum wciągnąć sztucznie w obręb działania tych idei.

Takie zabawy, atrakcje, choćby to były karuzele, cyrki, małpy i cieleńta dwugłowe, stanowią środek zwabiania tłumów na teren wystawy, gdzie mu można — dostawszy go w swoje ręce — zadawać jak dziecku lekarstwo w konfiturze, różne wiadomości i pojęcia z dziedziny poważnego zakresu myślenia i działania.

Ten system zastosowała wiedeńska wystawa łowiecka, ściągająca setki tysięcy widzów, którzy nie przyszliby tam dla samego łowiectwa nigdy w świe-

cie, a przecież przychodzą i uczą się wielu rzeczy poważnych i cennych.

U nas w kraju ten system łączenia miłego, zabawnego z pożytecznym, lekceważy się stale.

Urządza się n. p. bardzo piękną, poważną wystawę sztuki, wyznacza się drogie opłaty wstępu i nie daje się tłumowi nic po za sztuką, interesującą prawdziwie dotąd niestety tylko wyższych 10.000 — i na tem koniec.

Do tego tematu powrócę jeszcze wkrótce; na teraz wracam do wystawy łowieckiej.

Każdy z nas szuka na niej rzeczy naszych, polskich, przynajmniej krajowych. Jest ich trochę, ledwie tyle, aby się nazywało, że jesteście my.

W t. zw. Reichshauzie, mieszczącym wszystkie kraje koronne, jest nieduża salka, w poważnym stylu skromnie dekorowana, mieszcząca nieco trofeów myśliwskich „krajowych“.

Galicja mogła w tym dziale dać dużo więcej, mogła dać ogrom okazów, więcej, aniżeli Węgry, którzy dali bardzo wiele. Naród myśliwski od dołu do góry, od chłopów kłusowników do magnatów z rodu i magnatów nafty, polujących na jelenie, żubry i niedźwiedzie, mógł wystąpić z dumą w dziale trofeów. Podobno duży stosunkowo koszt udziału i brak agitacji dobrze urządzonej, zwichnęły nasz współudział.



Jak urządzać wystawę łowiecką, aby była pouczającą i praktyczną, pokazali Węgrzy w swym ciężkim co do stylu, ale bogatym w treści pawilonie. Znakomicie przeprowadzone zestawienia plastyczne kultury zwierząt łowczych, ich trybu życia — zaczawszy od żywienia się, aż do higieny, terapii, dalej całokształt interesującego nie tylko myśliwego, ale prawodawcę, społecznego polityka i ekonomistę — działu kłusownictwa, tysiące systemów „łapania“ zwierząt łowczych dozwolonego i niedozwolonego, bogate zbiory muzealne, a przytem sporo okazów przemysłu zastosowanego do łowiectwa, wszystko to podali Węgrzy zgrabnie fachowo i bogato.

Czuć, że chcieli pokazać swoją wystawę, jako całość — skończoną, „wyodrębnioną“ dla siebie i dopięli celu.

W pawilonach innych narodów czuć albo dorywczność, pewne lekceważenie w obesłaniu wystawy, albo wysunięcie narodowej specjalności na pierwszy plan.

Anglia pod łowiectwem rozumie w pierwszym rzędzie swoje sławne „steeple chase“, więc czci w swym pawilonie pamięć najświetniejszych królewskich wyścigowców, bohaterów różnych „derby“ w Epsom, swoją drogą narażając kościotrupy tych swego rodzaju nieśmiertelnych — na uciążliwą wędrówkę w skrzyniach do Wiednia i z Wiednia.

Francya dała w ładnym stylowym, barokowym pawilonie... trochę guzików ze strojów „par force“ jakiejś zapalanej kolekcjonerki hrabiny M. i parę kopii mebli, brązów i gobelinów z Louvru, doskonałe akwarelki zwierząt malarza Merite i... strzelbę roboty własnoręcznej Ludwika XVI, darowaną marszałkowi Bertier.

*Wiedeń, 28. lipca.*

II. W pawilonie królestwa włoskiego uderzają na pierwszym planie portrety obojga królestwa, a ujmująca piękność królowej Heleny ożywia nieco ponure tło ściany, obwieszanej trofeami myśliwskimi z gór apenińskich.

Włoskie towarzystwa myśliwskie dały interesujące sprawozdania i plastycznie zestawione systemy polowań na błotne ptactwo. — Ogólne zainteresowanie budzi olbrzymia rusznica o lufie dwumetrowej, — przypominająca stare polskie garłacze wojenne, sypiące kwartami półkulek na głowy wrogów. — We Włoszech używają tej kolubryny do polowań na dzikie kaczkę.

Pawilonik perski, — w jaskrawym stylu małej świątyni, przeladowanej tanią mozaiką, mieści obok kilku interierów założonych miernej piękności dywa-



nową „perszczyzną“ — wewnątrz pokoju młodziutkiego władcy Persyi, — patrzącego smutnie z wiszącego w głębi portretu. Przypomina się mimowoli owa chwila tragikomiczna objęcia rządów przez przymuszonego do tej ceremonii rozbawionego dzieciaka. — Bywały na Zachodzie stare dzieci na tronie, — bywają na Wschodzie władcami małe, ledwie z piełuch wyszłe dzieciaki.

Niezwykłe interesującym i godnym dokładnego, starannego obejrzenia jest pawilon, raczej duży piękny gmach, obejmujący wystawę przemysłu rękodzielniczego, urządzoną przez Instytut poparcia rękodzieł niższo-austriackiego Wydziału krajowego. — Mogą sobie liberały wiedeńskie jak chcą dworować z osobistości kierujących polityką krajową i gminną Niższej Austrii z ramienia obozu chrześcijańsko-społecznego, — muszą im jednak przyznać że robią bardzo wiele dla podniesienia przemysłu średniego i rękodziela stolicy państwa i kraju. — Urządzili przed paru laty doskonale zorganizowaną stałą wystawę eksportową rękodzielniczą w sercu Wiednia przy ulicy Gizeli, tuż obok Kärntnerstrasse, opery i *Naschmarktu*. — Pawilon „der niederösterr. Landesgewerbeförderung“, bo tak się nazywa oficjalnie, zbudowany ze smakiem, otoczony estetyczną dekoracją rzeźb i kwiatów, — mieści w doskonale poglądowo przeprowadzonym i artystycznie po-

danem zestawieniu — całe mnóstwo wyrobów rzemiosł i sztuki stosowanej — z gałęzi, mających jakikolwiek związek z łowiectwem.

Jedno wrażenie dominujące odbieram, zwiedzając tę wystawę; — oto uczucie zazdrości i wstydu, że istnieje w stolicy państwa, do którego należymy, takie mnóstwo gałęzi rękodzieł, — rozwijających się wspaniale na przekór różnym doktrynom socyalnej teorii gospodarczej i polityki, — gałęzi i rodzajów zajęć, o których u nas mało nawet kto wie, jakie bogactwo myśli artystycznej i treści produkcyjnej w sobie obejmują.

Te setki zakładów konfekcyi ubrań i kostyumów sportowych, myśliwskich, wykonywanych w zakresie zwyczajnego rzemiosła, te rozliczne rodzaje pracowni preparatorskich, stwarzających ze znawstwem anatomii i fizjologii zwierząt, artystyczne pozy i grupy czworonogów, ptaków drapieżnych i egzotycznych dla myśliwych państwa i zagranicy, — najprzeróżniejsze gałęzie konfekcyi piór do strojów damskich, przeróbki rogów, perłowej masy, galanteryi ze skóry, — metalu, szkła i drzewa, — pracownie szmuklerskie, wyrabiające zaczawszy od ozdób do mebli, skończywszy na najsubtelniejszych złotem i srebrem tkanych potrzebach uniformowych i borchach, systemem lyońskim dzierganych.

Przeglądając taką wystawę widzi się dopiero,



jak olbrzymie pole leży u nas jeszcze odłogiem, pole do którego nie potrzeba zaraz olbrzymich fabryk — niebotycznych kominów i stukonnych maszyn, ale pracowitej i umiejętnej ręki inteligentnego robotnika i robotnicy; ile to jeszcze pracy dla Ligi Pomocy przemysłowej, dla przyszłych szkół przemysłowych w rozlicznych brakujących dziedzinach nauki zawodowej.

Aby skierować myśli na inny temat, zdążam do leżącego na wzgórku, odbijającego od reszty budowli wystawowych, zameczku myśliwskiego cesarza Franciszka Józefa w Mürzsteg, — skopiowanego z dokładną wiernością z oryginału, upamiętnionego zjazdem naszego monarchy z carem Mikołajem II. przed laty dziewięcioma.

Zewnątrz budynek skromny, — gontami dach i częścią ściany kryte, — wewnątrz całe urządzenie przeniesione z Mürzsteg i mnóstwo trofeów myśliwskich cesarza od lat młodzieńczych do ostatnich czasów.

Na jednej ze ścian kurytarza wisi cały szereg obrazków rodzajowych, myśliwskich, rzeźbionych zgrabnie w drzewie. Na jednym z nich wierszyk głoszący sentencję i prorocstwo znane także i naszym nemrodom — opiewa w styryjskim dyalekcie pod stosowną ilustracją:

*„Kimmst dir a Junge  
Wannst gehst auf die Pürsch  
Hundert mal eher  
Kimmst dir dan der Hirsch*

*„Kimmst dir an Oltö, na!  
Da kehrt nur g'schwind um  
Wannst a zum Schuss kamst  
So fällt dir nix um!*

Dla zaspokojenia ciekawości tych, którzy chcieliby wiedzieć, jak nasz sędziwy monarcha spędza czas na polowaniu na gemzy w swoich licznych i bogatych rewirach alpejskich, — jest na wystawie w dużym pałacu całkiem modern „Kino“ teatru do zobaczenia serya zdjęć z natury takiego polowania cesarskiego w okolicy Ischlu.

Ujmująca dobrocią i prostotą postać monarchy, jego ruchy jeszcze rzeźkie mimo ośmdziesiątki, — występują w tym obrazie z całą plastycznością. — Samo udzielenie pozwolenia na to zdjęcie, pozwalające między innymi obserwować nawet popełnione przez monarchę t. zw. myśliwskie „pudła“, świadczy o różnicy w traktowaniu pojęcia godności monarszej przez słynącego z rozumu władcę austriackiego w odróżnieniu od różnych półpanków na tronach Europy.



*Wiedeń, 11. marca 1913.*

Szare mgły ranne spowiły Kahlenberg i okoliczne wzgórza, dymy fabryczne przesłaniają do reszty widnokrąg miasta, które wstaje do pracy wcześniej od wszystkich znanych mi stolic Europy.

W innych miastach o szóstej rano jeszcze pusto i głucho; ruch robią jedynie zamiatacze i rozwoziciele wiktuałów. Nad modrym Dunajem tętni o tej godzinie na ulicach życie w całej pełni, choć szata zewnętrzna tego życia bardziej szara, ale za to jędrniejsza i zdrowsza od wieczornego i nocnego życia motyli.

Wiedeń w tym czasie budzi się z podwójnego snu, ze snu zimowego i z martwoży spowodowanej przesileniem przedwojennem. Przeszedł kraj nasz tej zimy przez czyściec niezawinionych kar i klęsk gospodarczych, ale i stolica państwa nie lepsze miała życie w okresie kilku ostatnich miesięcy. Rozpytywałem się w tutejszych sferach kupieckich i przemysłowych o stan interesów. Jest on może jeszcze gorszy, niż u nas. — Sklepy puste, co trzeci sklep wywiesił napis: „Liquidation“ lub „Ausverkauf“. Fabryki pracują z ograniczeniem dni i godzin pracy w tygodniu i zmniejszoną znacznie ilością robotników.

To też nie z mniejszem jak my upragnieniem, wyczekuje stolica państwa wypogodzenia się horyzontu politycznego, pokoju na Bałkanach, doprowadzenia do skutku planów finansowych, a między innymi także i załatwienia naszej ściśle krajowej miszery politycznej, od której zależy w tej chwili dalsze funkcjonowanie parlamentarnego... karuzelu. To ostatnie określenie obrazowe roli ludowej Izby posłów należy jeszcze do delikatniejszych w słowniku kawiarnianego polityka wiedeńskiego. Częściej można słyszeć nazwy: „Narrenhaus“ „griechisches Circus“ i t. p. Smutny to objaw upadku powagi przedstawicielstwa ludu w czasach, kiedy idea demokracji i parlamentaryzmu zwycięża nawet w pałacach tyranii i carowładztwa.

Zanim słońce wiosenne stopi resztki lodów ostatniego przesilenia i normalne życie gospodarcze usunie objawy dzisiejszej nędzy, ludzie dobrych serc starają się przez urządzenie różnorodnych towarzysko-humanitarnych przedsięwzięć wypróżnić jak największą ilość kieszeni, w których „jeszcze“ coś zostało, aby dorobkiem ze szlachetnej karoty zapełnić kieszenie całkiem puste i złagodzić głód tych, co cierpią wskutek braku pracy.

Po oryginalnych w pomyśle i udałych co do efektu finansowego „dniach przemysłu domowego w pałacu prezydium Rady ministrów“, a które, mó-



wiąc nawiasem, umożliwiły na jakiś czas dalsze zatrudnianie także i naszych galicyjskich koronkarni wiejskich, — nastąpiły od wczoraj „Monstre-Tee“ czyli po naszymu „Tłumne herbatki“, które urządza niestrudzona księżna Paula Metternich, jak ją Wiedeńczycy nazywają: „die unverwüstliche Paula“, w salach towarzystwa ogrodniczego naprzeciw Stadtparku.

Recepta na takie przedsiębiorstwo prosta i łatwa: Bierze się popularną damę z najwyższej arystokracji, koło niej zbiera się sto pięćdziesiąt pań ile możnaści „Frau Kaiserlicher“, lub jeszcze lepiej „Frau Komerzialrat“, najmuje się wielki lokal, ubiera się go bezpłatnie dywanami ze składu pana X. Y., który za to kiedyś dostanie coś w rodzaju... rat... Kreuz lub t. p. Stawia się dwieście stoliczków, koło każdego kilka wygodnych foteli koszykowych — a na nich — i tutaj leży zagadka i „clou“ powodzenia, sadza się najładniejsze córki Ewy od ośmnastu lat w górę... aż do wieku... bezpiecznego.

Na stoliczkach stoją w doniczkach przepyszne żywe hyacenty, tulipany, lilie i narcyzy, dostarczone także bezpłatnie z ogrodów tutejszego najbogatszego amatora kwieciarza, br. Rothschilda; — w kątach lokaje kilkunastu magnackich domów, zniżywszy się na wzór swoich pań na ten dzień do pracy dla tłumu, dmuchają w stylowe samowary — z sitek

filizanek snuje się para i woń mniej lub bardziej szlachetnej marki, w miarę tego, czy herbatą darowana, czy kupiona w porządnym składzie, i sztafaż gotowy. Na tem tle schodzi się tysiąc osób — z tego pięćset przyjeżdża własnym auto; w garderobie kładzie się w idealnej zgodzie sobolowe futro, reprezentujące wartość pensyi rocznej radcy sądowego, obok skromnych, przenoszonych płaszczyków „der bürgerlichen Familie“; w tłumie gości przesuwa się wysoka postać popularnego na bruku wiedeńskim archeologa i estety hr. Lanckorońskiego obok typowego wiedeńskiego goga Amerykanina z Mariahilferstrasse. Panie podają herbatę, słodząc ją cukrem i zalotnym (na cel dobroczynny!) uśmiechem, na ścianach wisi ze dwieście szkiców i obrazków w takiej samej demokratycznej harmonii, w jakiej bawi się tłum obecnych. Kaulbach i Klimt obok jakiegoś anonimowego amatora, główka profesora Mehofera obok miłosierdzia wzywającego knoła domorostłej malarki, dyletantki.

Za wszystko bierze się naturalnie pieniądze; za herbatę, za ciastka, za szkice — nawet za zalotne (na dobroczynny cel!) uśmiechy różowych ust i perłowych „własnych“ ząbków. Koniec, jak zawsze, dzieło chwali, — biedni otrzymują wsparcie; — that is the question!

W teatrach nie znać przesilenia gospodarczego



przynajmniej w tych, którym poświęcić mogłem dwa wieczory. W Niemieckim teatrze ludowym bajecznie idzie ciągle „Zarin“ z panią Roland w doskonale ujętej roli Katarzyny II. Rolą tą stanęła do niedawna mało znana aktorka od razu na szczyblu wysokiej kariery artystycznej. Rozrywają ją też sobie dyrektorowie wiedeńskiego Volksteatru i berlińskich teatrów; jeździ podobno co parę dni do Berlina i gra z rekordową wytrzymałością tu i tam po pięć razy w tygodniu ciężką bądź co bądź rolę — kochliwej carowej.

Oplakuje Wiedeń od wczoraj śmierć jednego z najlepszych „Volkssängerów“, znanego dobrze każdemu, kto lubi ten rodzaj pieśni: „Pepi Anzinger“. Dawniej, kiedy nie było jeszcze w Wiedniu tylu nocnych modnych kabaretów, pielęgnujących sztukę... wyciągania naiwnym pieniędzy za liche wino, lichą muzykę i podszminkowaną silnie muzę, chodzili słuchać pieśni Anzingera także i ci dzisiejsi sztamgaści drogich kabaretów. Pieśń ludowa została już dziś tylko na przedmieściu; w mieście zdystansowały ją „Salome“, „danse du ventre“ i importowane inne gatunki niemniej pieśni przy akompaniamencie muzyki Heidsick'a, Röderera, Pommery lub Cliquot.

### *Zakopane, 14. sierpnia.*

Ciągła niepogoda — przegradzana rzadkim dniem o wiszącym na włosku deszczu, usposabia do kontemplacji na tematy bardziej poziome od czarów hal i ziejących śmiercią turni.

Zakopane, letnia stolica Polski; — Zakopane, źródło zdrowia dla schorzałych płuc i zmęczonych dusz; — Zakopane, przyszłość polskiego taternictwa i polskiej turystyki; wreszcie Zakopane, — to studium tradycji wolnego ludu i idei góralstwa — oto najczęstsze tytuły myśli i prac społecznych w Zakopanem lub dla Zakopanego.

Te tematy żyją — mają swoich wyznawców, swoje szkoły, swoje stowarzyszenia, związki, — nawet swoje wydawnictwa peryodyczne i nieperyodyczne.

Temat, który dziś wybrałem do omówienia, leży w dużej części odłogiem; a jeżeli tu i ówdzie ktoś coś mówi o tem, pisze, albo i robi na ten temat, to los jego nie wart zazdrości. Chodzi o znaczenie Zakopanego dla polskiego przemysłu. — Zakopane jako środowisko, — jako rynek przemysłu podtatrzańskiego, albo i szerzej biorąc, przemysłu Podhala, to wielka, — dla wielu zagadkowa, — dla wielu bezwartościowa księga, o nierozciętych



kartach. Leży przed nami pełna treści, pełna poezji — subtelnych ustępów, w które czarodziejska siła polskiej myśli twórczej, wplotła całe bogactwo — cały skarb... prawdziwie zakopany. Księga to pisana przez setki lat, przez dziesiątki pokoleń ludu, wsłuchanego w życie halnych wichrów po nieboficznych turniach — ludu skupionego w sobie przy pracy około tlejącego w chacie, lub w kolebie ogniska. Kozikiem, siekierą, młotem, lub igłą nawleczoną barwną nicią, stwarzał ten lud pierwociny polskiej rzeźby, polskiego snycerstwa, stolarstwa, polskiej sztuki stosowanej, haftu, polskiego cyzelerstwa, graverstwa, tkactwa i t. d.

W tradycji przemysłu ludowego, raczej sztuki ludowej podtatrzańskiej, której ledwie nikłe szczątki uratowali od zupełnej zagłady najszlachetniejsi mecenasowie tej wspaniałej spuścizny: Gnatowski, Matlachowski, Chałubiński, Witkiewicz i t. d., tkwi trzy czwarte historii polskiego zmysłu artystycznego — polskiej sztuki zamierzchłych czasów.

Wiemy o tem, — powtarzamy to sobie, jak się nadarzy ku temu sposobność, rano, w południe i wieczorem i czcimy zasługi tych, co opisali i zebrali resztki muzealne podtatrzańskiej sztuki, ale na tem koniec.

Wystarcza nam marzenie o dawności, o piękności sztuki góralskiej, wystarcza wiara, że prze-

cież ten styl zakopański, to prawdziwie nasza własna spuścizna starej kultury artystycznej, to źródło twórczości samodzielnej, rodzimej, odrębnej, dającej nam prawo do wysokiej rangi w hierarchii artystycznej produkcji całego cywilizowanego świata.

O tem, aby mnożyć ten dorobek na chlubę narodu, na pomyślność dziedziców tego twórczego ludu, zmuszonych z braku zarobku imać się spekulowania na kieszenie „ceptów“, zwiedzających Tatry, albo emigrować za morze, o tem, aby stwarzać podwaliny pod trwałe gmachy artystycznej produkcji przemysłowej — myśli mało kto — myśli garstka ludzi zacnych, niestrudzonych pionierów sztuki podhalańskiej.

Niech im tych parę słów szczerego podziwu dla ich cierpliwości, wytrwałości i szlachetnego zapалу będzie skromną zachętą do dalszej pracy w obranym kierunku.

Na dziś chciałbym z pośród tej nielicznej plejady opiekunów racjonalnej produkcji artystycznego przemysłu podtatrzańskiego — wskazać na zasługi cichego, a niezmordowanego pioniera górala-artysty, Wojciecha Brzegi.

Mając zaledwie cztery godziny czasu na zatrzymanie się tym razem w Zakopanem, zaszedłem najpierw na Skibówkę do siedziby i warsztatu prac p. Brzegi. Miałem zamiar zabawić pół godziny, zo-



stałem trzy razy dłużej, musiałem z żalem skrócić wizytę, bo pociąg już syczał na stacyi.

W zeszłym roku urządziło młode Towarzystwo „Sztuka podhalańska” doskonałą wystawę, bogatą i zakrojoną na większy rozmiar. W tym roku, nie wiedzieć czemu, nie powtórzono tej próby; domyślałem się, że nie dość dopisało powodzenie to poziome, materialne, ale niestety często decydujące. Brzega nie chce dopuścić do przerw i urządził w tym roku u siebie w swojej skromnej chacie wystawę.

Obok sztuki malarskiej, którą reprezentuje kilkadziesiąt obrazków Rembowskiego, Gałka, Stanisława Witkiewicza (syna), Ćwiklińskiego i t. d. — a których ocenę zostawiam bardziej odemnie powołanym — mieści wystawa przedewszystkiem arcydzieła stolarstwa Brzegi sposobem zakopańskim. Smak subtelny i rysunek, obok doskonale dobrego materiału i skończenie precyzyjnej roboty — oto ich znamię.

— Czemu tak mało? — pytam p. Brzegę.

— To resztki; dużo rozkupiono i zabrano już.

— Czemuż produkcji nie zwiększa się w miarę popytu?

— Dużoby o tem mówić — odpowiada mi Brzega. — Robimy starania, ja sam powiększam swoją pracownię, buduję drugi dom obok, dobuduję

osobno pracownię rzeźbiarską. Trzebaby już dziś przyrządzać materiał maszynami, trzebaby poparcia, samemu ciężko zdobyć się na siły większe.

Czy pan już korzystał kiedy z poparcia czynników miarodajnych, kraju, rządu? Dołąd nie. Chciałem iść o własnych siłach. Teraz sam czuję, że trzeba było zrzucić pychę z serca i starać się o pomoc, bo jest gmach wielki roboty!

Wierzę, odpowiedziałem. Wiem, że Królewiaczy chcąc kupić w Galicyi stylowe, porządne meble zakopańskie, czekają na wykonanie zamówienia po roku i dłużej — wiem, że sklepy nie tylko krakowskie, lwowskie, ale i zakopańskie zalane są rzeźbą zakopańską z Szwajcaryi — co poznać łatwo po napisach „Zacopane” z szwajcarska polskich. Wiem, że w całym kraju nie ma na składzie gotowych dziesięciu biurek — pięciu szaf lub trzech tuzinów krzesel zakopańskich, że trzeba być amatorem arcycierpliwym, aby urządzić sobie polskie „home” sposobem szlacheśnych linii zakopańskich.

To wszystko wiem i tembardziej podziwiam pana, panie Brzega, żeś nie opuścił rąk, że dźwigasz coraz wyżej racjonalną, zdrową przemysłową produkcję swego fachu, mimo braku sił i poparcia.

A skąd te śliczne kilimy? te świeże śmiałe w rysunku, a kojące oko harmonią barw polskie dywany? Częścią próby moje własne, stworzone rę-



kami moich krewnych góralek, a przeważnie to produkcja nowego Towarzystwa udziałowego „Kilim“, w Zakopanem, niedawno zawiązanego. — Radzę panu zwiedzić pracownię tej spółki.

Postanawiam w duszy zrobić to — choćbym miał spóźnić się na pociąg — i idę do dalszych części wystawy. Widzę ceramikę — rzeczy technicznie jeszcze nie bez zarzutu — ale stylowo piękne, bujne, żywe i niebanalne. Widzi pan — mówi mój cicerone — to próby odgrzebane starej góralskiej ceramiki z zastosowaniem jej do nowoczesnych potrzeb. Tu by także trzeba pomódz — dać wskazówki techniczne, urządzenia wzorowe — a ręczę, że stworzylibyśmy duży przemysł nowy na Podhalu.

Z kolei rzucam okiem ku powale — widzę prześliczny świecznik z kutego żelaza surowego, rzecz niezwykle zastosowana do otoczenia — piękna, choć nie skończona, bo brak jeszcze szkła i ostatecznej montażu. Ile to ślicznych rzeczy możnaby stwarzać w zakresie metalowej ornamentyki rękami prawdziwie zgrabnych artystów górali — tymczasem my ciupagi zakopańskie sprowadzamy tysiącami z Berlina, a conajmniej z Wiednia.

Pożegnawszy serdecznie p. Brzege, pojechałem na Krupówki do pracowni spółki „Kilim“.

Duszy tej nowej — dzielnej organizacji, pana Dworskiego nie zastałem; — od pracownic, zaję-

tych z całym zapalem przy krosnach, a częścią od p. Brzezi dowiedziałem się genezy tego stowarzyszenia. — Jest ono dalszym ciągiem pracowni pani profesorowej Sikorskiej z Czernichowa — która ze względów rodzinnych musiała odstąpić i przenieść swoje warsztaty do Zakopanego.

Produkcja spółki „Kilim“ opiera się na tej skromnej idei — która przyświecała pani Sikorskiej: uszlachetnić twórczość kilimarską — jeden z najstarszych przemysłów artystycznych polskich przez dobro rysunku, barw i materiału.

Wyroby rozchwytyją z pod rąk — zamówienia sięgające już poza trzy miesiące naprzód.

Spółka ma nadzieję wykształcić wkrótce taki zastęp pracownic i urządzić produkcję systemem nakładczym, że sprostać potrafi i dużym wymogom, zwłaszcza wobec widoków na daleki wywóz. Już dziś wysyła Spółka kilimy do Ameryki. Ale i tu trzeba pomocy i poparcia — wzorowych krosien — funduszy na zakupno wełny z pierwszej ręki — większego kapitału obrotowego. Czy kraj liczy się ze znaczeniem pola, jakie przedstawia Zakopane i Podhale dla rozwoju przemysłu polskiego?

O tem w drugim liście.



*Kraków—Bogumin—Berlin.*

Opisów podróży nie zaczyna się zwyczajnie od miejscowości położonych w kraju, lub zaraz za jego granicami, — choć nie wiedzieć dlaczego, bo i u nas nie brak sposobności do wrażeń podróżniczych, — do spostrzeżeń zasługujących na wzmiankę w dzienniku nałogowego, lub zawodowego włóczęgi. Do tej drugiej gildy los przeznaczył mnie przed laty i nauczył mnie patrzeć w podróży na prawo i lewo — tak bliżej, jak i dalej kraju.

Właśnie w tej chwili z lewej strony wagonu na dworcu w Dziedzicach słyszę gwar, jak gdyby stada młodych gąsek i wychyliwszy się z okna spostrzegam rój kilkuset dziewcząt od dziesięciu do piętnastu lat, schludnie ubranych, hoźych i rumianych, każda w czapce typowego kroju pruskiej — wojskowej *Dienstkappe*. — Cała ta szczebiocząca, pruska armia pomnożycielek wielkiej Germanii, wraca pod wodzą rudych, rozkołysanych na szerokich nogach nauczycielek z jakiejś dłuższej wycieczki w Beskidy śląskie; a może i nasze urocze stoki i okolice Babiej Góry uszczęśliwione zostały jej odwiedzinami.

Brzydkie dziewczęta, ale o ile tęzsze, zdrowsze, silniejsze, do wszelkiej pracy i wysiłków od na-

szych i jak umiejętnie trenuje je naród do roli pomnożycielek, rodzicielek pangermańskiej siły. — Nasze pociechy w tej chwili prowadzone za rączkę, spacerują po zapyłonych ulicach i ogrodach miast, lub razem z matkami... leczą się na blednicę w Franzensbadzie, a w najlepszym razie w Krynicy, lub Rabce.

W Boguminie czekam godzinę na pociąg idący do Prus, idę drogą z dworca do miasta i czytam... afisze.

Zwyczajna ta lektura znudzonych podróżnych i najuboższego proletaryusza, ma swoją niezaprzeczoną wartość. — Z kilku plakatów można poznać nie tylko prawdziwie ostatnie aktualności dnia, ostatnie *nouvelles du jour*, kto umarł, co grają w teatrze, co ludzie gubią na ulicy, jakie porządki zaprowadza miejscowa autonomia, lub władza rządowa i t. d. — lecz co ważniejsza, ma się skrócony środek poznania objawów życia społecznego, umysłowego i kulturalnego danej miejscowości i okolicy.

Czytam na przykład z radością w tej chwili, że Polacy w Boguminie kupią się w licznych stowarzyszeniach, czytelnich, urządzają odczyty — zgromadzenia, bawią się na własnych festynach, wieczorkach i t. p. Ludzie zagadnieni na ulicy po polsku, jakoś śmieiej niż dawniej odpowiadają ojczystym językiem; — a niedawne to czasy, kiedy służba



kolejowa, tragarze bogumińscy obawiali się odezwać po polsku do podróżnego Polaka.

Wracam na dworzec w chwili, kiedy wpadł pociąg pospieszny wiedeński. Mignęły mi się twarze kilku znajomych osób, wracających prawdopodobnie z kąpiel i letnich wyczasów. — Za chwilę i mój *D* pociąg pędzi przez bujne ziemie śląskie w stronę Wrocławia i Berlina.

Odwracam się od okna, bo nie mogę znieść widoku tych spreparowanych po prusku napisów „Markowitz“, „Dzierganowitz“, „Kandrzin“, „Oppeln“ i t. p.

*Bitte Platzkarte* — przerwał mi rozmyślenia pan *Schaffner*, przypominając, że jadę do kraju, w którym każdy podróżny ma prawo do jednego, co prawda tylko, ale do swego własnego miejsca.

Wnet po tem przypomnieniu miałem możność stwierdzić dalej, że jestem już poza obrębem naszej sławnej na świat cały austriackiej drożyzny — O ile tu taniej żyją ludzie i jaka to niebezpieczna wyrabia się doktryna w psychologii ludu polskiego, który więcej od nas podróżuje po Prusach i stwierdza na każdym kroku, że „pod Prusakiem“ o tyle taniej, aniżeli „w Polsce galicyjskiej“! — Czy to nie zaważa na szali stosunków robotniczych i w rozwoju wychodźstwa?

Przedrzemałem Wrocław; nie wstępowałem tym

razem do tego coraz piękniejszego miasta, choć lubię tu wpaść czasem choć na parę godzin, aby zaspokoić wzrok widokiem przeszlicznej, nowoczesnej architektury ulic, zabudowania ogródkowego śródmieścia po barbarzyństwach, jakie my wyprawiamy w naszej technice budowniczej, miejskiej.

Plany zabudowania Wrocławia powinny wisieć w sali posiedzeń lwowskiego Magistratu z napisem: „Cudze chwalimy, bo swoje dobrze znamy, sami wiemy, co posiadamy“.

Przypominam sobie w tej chwili, jak to jeden z naszych wpływowych radnych lwowskich, narzekał raz na posiedzeniu w ratuszu: „że też panowie koledzy mają zwyczaj brzydki jeżdżenia w lecie gdzieś tam po miastach zagranicznych, a potem wracacie do kraju i chcielibyście przerabiać nasze ulice i place na modę zagraniczną, — to przecież tak nie idzie dalej! my nie — Berlin, nie Paryż — ino Lwów!“.

Kto wie, czy nie miał w duszy racji ten zacny mieszczanin lwowski. — Czy nie lepiej nie widzieć lepszego, aby nie czuć się pokrzywdzonym przez los i kaprysy fortuny, albo — co gorzej, iść później za hasłem starej, klasycznej maksymy: „video bona proboque, deteriora sequor!“

Dalszy list napiszę z Berlina.



*Kraków-Wrocław-Berlin, 14. sierpnia.*

Sympatyczni nasi sąsiedzi z nad Sprewy, tak się usadowili nam pod bokiem, że chcąc się od nas dostać najbliższą drogą do zachodnio-północnej Europy, trzeba koniecznie zawadzić o ojczyzną pikelhauby i rudych piękności z Friedrichstrasse.

Sprzeczne uczucia opanowują mnie zawsze, ilekroć przyjdzie mi jechać ku Berlinowi przez Śląsk lub Poznańskie. Cieszę się, że mogę głośnym i śmiałym odzywaniem się po polsku w wagonie, na stacjach, zbudzić w sercach nieszczęśliwych współbraci zahukanych, — tłumiących głos — wrażenie, że przecież wolno bezkarnie odezwać się nam na ziemi krwią spływającej, w ojczywiej mowie, a równocześnie smutkiem i łzą zachodzi oko na widok tych bogatych łąnów polskiej ziemi, opasanych łańcuchami wiekowej niewoli, na widok wykoszlawionych nazw miejscowości, brzmiących jak urągawisko w ustach butnych, ordynarnych „Schaffnerów“; „Kandrzin“, „Dombrau“, „Schwientochlowitz“ i t. d., to pomniki kultury pruskiej po wieczne czasy, — bo nawet jak Bóg da kiedyś przywrócić im z urzędu stare, uczciwe, polskie brzmienia, to winniśmy tablice i napisy z tych dworców kolejowych przecho-

wać w muzeach, jako dowody lingwistyczno-cyrkowych zdolności potomków Schillera i Goethego.

Dla przzerwania jazdy całodziennej, w czystych, co prawda, ale przepełnionych wagonach pruskich, mam zaledwie półtorej godziny odpoczynku w Wrocławiu. Nie znam jeszcze tego miasta, czas nagli, więc biorę się na sposób praktykowany w takich razach. Najmuję samochód, tańszy od lwowskiej doróżki i każę się obwieść w półgodziny po najważniejszych ulicach miasta. — Mogło stu Niemców zwiedzić niedawno w czterech godzinach Londyn ku uciesze prasy angielskiej, mogę ja zdystansować ich i zwiedzić Wrocław w pół godziny. Doprawdy, nie trzeba więcej, aby zobaczyć ogólny obraz, bardzo korzystny.

Ulice szerokie, bulwarowe, architektura domów zbyt kowna, barwna, wszystkie okna i balkony w bukiętach kwiatów. — Pędzimy z szybkością pociągu błyskawicznego po dłuższych, mniej interesujących ulicach; wszędzie asfalt bez zarzutu. Rzucam oczyma po wywieszkach sklepowych, czy też dużo jeszcze zostało nazwisk polskich. W całym mieście zauważyłem zaledwie kilka: Wicherkiewicz, Bochenek, Kępiński. Musi ich być więcej, ale ustąpiły pewnie w dalsze, podrzędniejsze ulice, w suteryny, na froncie panuje krzyżak i zniemczały żyd.

Szofer rzuca półgębkiem nazwy znamienitszych



„Sehenswürdigkeiten“; śliczny ratusz w stylu staroniemieckim, muzeum sztuki, no i stereotypowy szereg pomników, całej czwórki, powtarzającej się w każdym większym mieście niemieckim. Stary Wiluś, Bismark, Moltke i Fryderyk II. — Tutaj w Wrocławiu jeszcze dodano Blüchera w wojowniczej pozie.

Musi być jeszcze z tuzin innych, „mniejszych“ wielkości tych od pióra i nauki w ogrodach publicznych i w obrębie „Nicolai Stadtgraben“, którego zakończenie stanowi bardzo ładna fontanna w kształcie olbrzymiej amfory, spływającej kaskadą naokół zgrabnej marmurowej podstawy.

Wracamy na dworzec, ostatni czas, bo za parę minut później ruszamy ku równinom piaszczystym właściwych Prus, z których energiczna, pracowita dłoń pruska wydobywa skarby w rolnictwie i przemyśle.

Sagan, Sommerfeld, potem Guben i wzdłuż kanału, łączącego Odrę z dorzeczem Elby, zdążamy do Frankfurtu.

Na kanałach, wązkich, jak nasze lwowskie ulice, snują się galary, a między nimi prześlizgują się zgrabne parowczyki, utrzymujące ruch osobowy. Może i my tak kiedyś będziemy płynąć i powiewać chustkami przyjaciołom, znajomym i nieznanym z okręciku do pociągu między Dębicą i Tarnowem,

jak te jasnowłose Niemki nam dziś powiewały między Guben i Frankfurtem.

„Za dziesięć minut Berlin“ — grzmi koszarowy głos opasłego schaffnera — trzeba się przygotować do godnego przywitania stolicy, żyjącej sokami cesarstwa zjednoczonego w chwili porywu wojennego animuszu pod znakiem i hasłem: „siła — to prawo“.

Mijamy czarne, brudne dworce: śląski, plac Aleksandra i stajemy w sercu Berlina, na dworcu Friedrichstrasse. Istna orgia świateł elektrycznych, jednej z najruchliwszych ulic w Europie, wskazuje nam, żeśmy u celu.

Następny list napiszę z Hamburga.

*Berlin, 29. sierpnia 1908.*

Wiedeń wraca wcześniej z wakacji aniżeli Berlin; teatry wiedeńskie, korso na Ringach i Kärntnerstrasse cały ruch pierwszego sezonu jesiennego wraca wcześniej do normalnego stanu.

Berlin jeszcze pusty, teatry zamknięte, dwór bawi w Wilhelmshöhe; dopiero po pierwszym wrześniu zaczynają się wielkie parady wojskowe, na które ma przybyć wyleczony z ostatniego przeziębienia „Imperator“.



To ostatnie określenie daje się tu słyszeć coraz częściej. Nazwa „cesarz“ zaczyna nie wystarczać na określenie właściwego, subiektywnego poczucia władzy i stanowiska.

Kiedy książątko bułgarskie i wójt czarnogórski Nikita — rządzący w państwie mało co większem od dużej wsi galicyjskiej, zostali królami, czyż można się dziwić, że admirał dwóch na razie oceanów nie chce poprzestać na jednej zaledwie od nich randze wyżej.

Imperializm, duma i pycha państwowej potęgi — na podkładzie osobistych cech czynników rządzących i manier idących z dworu — oto charakterystyczne znamię, które napotyka się na każdym kroku w Berlinie. — Państwo, naród, stolica i jej postęp, służą zdaje się na to jedynie, aby na ich tle tem potężniej występował ów czynnik indywidualizmu w bizantyńskiej szacie.

Nie pomogą pozory wzrostu wolnomyślności w zbiorowej duszy Niemiec, rosnące polityczne wpływy i zastępy posłów socjalistycznych; — militarizm i równomierny z nim imperializm przygniatają całe życie państwa i jego stolicy.

Szerząca się w życiu dzisiejszych Niemiec mania wielkości pociągnęła za sobą naturalne następstwo — wzrost ciężarów podatkowych i w dalszej konsekwencji coraz większą drożyzną. — Przysło-

wiowa taniość życia miast niemieckich zaczyna należeć do historii. — Właśnie teraz odbywają się w różnych miastach Rzeszy burzliwe zgromadzenia w sprawie drożyzny mięsa. — Jesienna sesja reichstagu będzie widownią bardzo ostrych starć i ataków na rząd, idący na pasku agrarzystów pruskich, meklemburskich i saskich.

Nie wesołe stosunki gospodarcze, ani drożyzna nie przeszkadzają hakatystom prowadzić ciągle walkę przeciw polskości.

Rozglądając się po ulicach Berlina, widzę za każdym pobytym coraz więcej napisów z nazwiskami polskimi, ale coraz częściej nazwiska te ulegają wykoszlawieniu, dającemu dużo do myślenia. — Nie radzę też nikomu z rodaków powodować się łatwowicznie brzmieniem polskiem firm berlińskich. — Łatwo się narazić można na przykre niespodzianki.

Jest tu pewna duża restauracya pod starem polskiem nazwiskiem K. (nie chcę renegatowi robić reklamy), należąca do zatwardziałego prusaka, — jest duża rozgałęziona rodzina dawniej polskich żydów o bardzo pięknem, polskiem brzmieniu Dz., nie mająca nic wspólnego z polsnością i t. d.

Jak miło na odwrót odwiedzić w Berlinie dom z napisanem na filarze przeszlicznej willi we Friedenau nazwiskiem o brzmieniu na pozór niemieckiem i odkryć sympatyczną postać wybitnego przemy-



słowca Polaka, który umiał stworzyć sobie poważne stanowisko w tutejszym świecie finansowo-przemysłowym, a pozostać szczerym i dobrym Polakiem.

Jako takiego poznałem pana Karola Rosego, przedsiębiorcę w zakresie urządzeń sygnalizacyjnych kolejowych, posiadającego swoją klientelę zaczawszy od Francji, Anglii — skończywszy na Władystoku, Tientsinie i t. d. — Na żywej pogadance o stosunkach ekonomicznych naszej dzielnicy i śródkach, którychby trzeba użyć do ich podniesienia, spędziłem kilka miłych chwil w salonie państwa Rose, mówiąc nawiasem, mieszczącym prawdziwe skarby sztuki przywożone z dalekich podróży przez właściciela.

Mimo na godziny niemal policzonego pobytu w Berlinie, nie mogłem nie odwiedzić redakcji jedyne go pisma polskiego w stolicy Prus „Dziennika berlińskiego”. — Jak miło brzmią w uszach zmęczonych gardłowo-bełkotliwym dyalektem berlińskim czyste, jędrne wołania po korytarzach domu na Raupachgasse: „Józek, a gdzie korekta?“, „dawaj ostatnią kolumnę“, „nieś to zaraz do drukarni!“. Ostatnia kolumna, rewizja i t. p., to gorące chwile w każdej redakcji — więc uściskawszy silną dłoń zacnego redaktora p. Krysiaka, pożegnałem kuźnię myśli i pracy dla polskości na ciężkim posterunku,

dziękując za szereg cennych dla mnie wskazówek zawodowych. — Za chwilę jadę do Stuttgartu.

### *Stuttgart, 31. sierpnia 1912.*

Przejechałem szmat ziemi niemieckiej nocą, nic nie widząc, słyszałem przez sen tylko kilka stacy i gwar na dworcach wielkich w Lipsku, Norymbdze.

Jazda nocą, dobrym wozem sypialnym ma swoje dobre strony, ale kto podróżuje, aby dużo widzieć i uczyć się, niech zostawi „sleepingi“ opasłym filistrom i obojętnym na wszystko prócz wygody „Pod-filipskim“. — Z okien nowoczesnego „Dezugu“ na pozór i w dzień nie wiele się widzi, a jednak, kto umie patrzeć, skorzysta i z tych migawkowych, przelotnych obrazków przyrody, pracy ludzkiej, kultury, którą zdradza każde drzewo owocowe, każda bruzda w polu, każdy kontur domów, fabryk, kościołów i stacy kolejowych.

Dworzec główny w Sztutgardzie leży mało powiedzieć w sercu, raczej w środku serca miasta; wychodząc z dworca ma się wrażenie, jakby się wysiadło we Lwowie z hotelu Georgea, albo w Krakowie w pałacu spiskim z wagonu wprost w miasto.

Dwa kroki od wagonu ma się tu doskonałe



hotele — naprzeciw przez ulicę, główną pocztę i telefon, pozwalający rozmawiać za opłatą jednej marki z całymi Niemcami, a za marne parę groszy na odległość, która kosztuje u nas dwie, trzy korony.

Tuż obok dworca leży obszerny, doskonale założony i wspaniale utrzymany plac zamkowy; w środku conajmniej pięciomorgowy skwer — z jednej strony ulica królewska, coś w rodzaju lwowskiego korsa Karola Ludwika ze starym pałacem królewskim, zamieszkiwanym przez następcę tronu — a z drugiej z pałacem nowym króla i teatrami nadwornymi. — Pałac nowy, bardzo szeroko założony i w dobrym, lekkim stylu w półkołu postawiony, przypomina trochę Schönbrunski zamek. — Ma mieścić wspanialsze salony aniżeli zamek berliński. — Mniejsze i większe „Serenissimy“ Rzeszy flómaczą zapewne niezbyt szczodremu patryarsze stubarwnej swojej plejady, że ten przepych prowincjonalnych siedzib małych majestatów przeznaczony nie dla nich, nie dla ich próżności, lecz, aby godnie móżd gościć od czasu do czasu w odwiedzinach małych monarchów przybywającego wielkiego monarchę. — Imperator lubi podróżować, więc mali kuzynkowie utrzymują dlań wielkie dwory.

Przedpołudniem po załatwieniu zawodowego programu zwiedzania fabryk i śledzenia za nauczycielem dla naszych kursów przemysłowych, zostało

mi mało czasu; ledwie przelotnie zwiedzić mogłem wspaniałe, niedawno zbudowane Muzeum egzotycznej etnografii imienia Lindego. — Nie wiele jest w Europie muzeów mieszczących tak bogate zbiory z dziejów kultury i życia narodów egzotycznych. — Nie sztuka Niemcom wzbogacać takie muzea. — Każdy mały czy wielki kupiec czy agent, podróżujący za oceanami, przywozi lub przysyła dla muzeum swego rodzinnego miasta nieraz przebogate okazy i rzadkie unikaty.

Krótką koleżeńską wizytę złożyłem w sklepie pań wirtemberskich, stowarzyszenia „Nationale Industrie“, stojącego pod patronatem królowej. — Z przyjemnością stwierdziłem, że działalność naszej lwowskiej kobiecej „Pomocy przemysłowej“ i bogatsza i rozleglejsza, mimo szczupłych środków.

Za to dłużej zatrzymałem się w majestatycznie grobowo zimnym, choć stylowo wspaniałym gmachu Landesgewerbemuseum.

Pierwszorzędne miejsce zajmują w niem zbiory nowoczesnej ceramiki i robót cyzellerskich. Cały osobny oddział poświęcony ciekawemu, poraż pierwszemu tutaj w Sztutgardzie podjętemu studium. — Niemcy nazwali ten dział zbiorów i studyów „Geschmacksverirrungen in der Kunst“ — a ja nazwałbym je „Muzeum patologiczne w zakresie sztuki“.

Wrażeniom moim, jakie odniosłem, zwiedzając



ten dział muzeum tutejszego, poświęcę osobny artykuł; — przyrzekłem go już listownie przeznacnemu naszemu prezydentowi Dr. Rutowskiemu, założycielowi i redaktorowi lwowskiej „Sztuki”. — Tutaj nadmienię jedynie, że inicjatorem ruchu i walki przeciw zwyrodnieniom smaku w dziedzinie sztuki jest w Niemczech prof. Dr. Pazaurek, który piórem, słowem i czynem wojuje w obronie swojej idei. — Niczem — twierdzi Pazaurek — nie można łatwiej zwalczać zbrodni gustu i smaku w zakresie sztuki, jak przez zbieranie i wystawianie zbiorowo obok siebie wszelkich — *sit venia verbo* — paskudztw popełnianych w złej lub dobrej wierze na szkodę prawdziwego piękna w sztuce.

Dobrze z południa „wydzwoniono” mnie z muzeum, jako ostatniego opornego gościa. Mówiąc nawiasem — wydzwanianie to odbywa się za pomocą zmyślnego przyrządu, zegara alarmowego, stojącego w biurze Zarządu muzeum i sygnalizującego automatycznie na wszystkich salach naraz godzinę zamknięcia. — Z tym samym dzwonem alarmowym połączone są przewodami sygnalizującymi cenniejsze okazy muzeum. — Monna Liza pobudziła wynalazczość stróżów muzealnych do nowych, postępowych urządzeń ochronnych. — Sztuka i przemysł zaczynają iść coraz bliżej w parze.

Popołudniu, upragnione od dawna słońce i sli-

czne okolice Sztutgardu wywabiły mnie za miasto. Miałem mało czasu do rozporządzenia, ale za to wiele ochoty zobaczenia jak najwięcej rzeczy godnych widzenia. — Na takie sprzeczności życiowe chciwego wrażeń turysty istnieje tylko jedno lekarstwo; dobry samochód i wesoły szofer t. zw. w Niemczech „Kilometerfresser”. — Jedno i drugie znalazłem i za chwilę pędziłem z chyżością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę przez śliczną serpentyną idącą w górę za Sztutgart na Wilhelmshöhe, Degerloch po pod Weinberglehne. — W pięć minut byłem na wysokości naszego Wysokiego Zamku i miałem cudną panoramę Sztutgardu, na tle szmaragdowych łąk, pól i winnic, we wieńcu dalekich wsi i krasych w słońcu miasteczek pod sobą.

Pędzimy, płyniemy na doskonałych pneumatykach po jeszcze doskonalszych drogach, utrzymywanych z niemiecką pedanterią — mijają nam przed oczyma uprawne wzorowo pola, winnice, rosłe bydło pasące się w polu, lub ciągnące ku stodołom ładowne zbożem wozy; ledwie rozpoznać możemy grupki ludzi pracujących w polu. — Mój szofer okazuje się artystą, albo też trzyma sztamę z Belzebubem, z czartem, mającym pod sobą departament szalonych lotów na skrzydłach piekielnych mocy. — Prawie nie zwalniając przelatujemy kilka wsi, Möhringen, Vaihingen; — naraz szofer



zwalnia — może samochód się psuje, czyli, mówiąc technicznie złapaliśmy może „pannę“? (une panne) — nie, to pietyzm dla mistrza poezji niemieckiej nakazuje szoferowi zwolnić bieg przed pięknym pomnikiem Schillera, stojącym wśród skweru we wsi. — Niczem obawa przejechania przechodnia, rozbicia wozu i głowy lub przesiedzenia kilku dni za przekroczenie policyjnych przepisów wobec potęgi ducha i myśli wieszczej. — Szczyt techniki, wynalazczość mechanika i setka ujarzmionych w cylindrach stalowych H. P. skłaniają głowę przed natchnionem obliczem króla germańskiej poezji. — Oddawszy hołd przez zwolnienie szalonej gonitwy, pędzimy wnet dalej. Znow mijamy kilka miejscowości, skręcamy śmiałym łukiem na węższą nieco drogę i wnet ogarnia nas czar i chłód wspaniałych świerkowych lasów, przez które wije się wężem ulatująca zda się nam z pod nóg wstęga leśnego gościńca. — Jesteśmy wśród parków i królewskich zwierzyńców położonych o dwie godziny koleją od stolicy.

Dnie drzew, zieloność sosista gałęzi, linie przecięte tu i ówdzie — wszystko zlewa się w przelocie w obraz niemal jednolitej barwy; woń głębi leśnej wciska się w szalonym pędzie w płuca, czar atmosfery boru niemal zatyka oddech. — W takiej pogoni przez las nie dojrzy zwierza i najbystrzejsze

oko, a musi go tu być dość w tym żywym spichlerzu myśliwskim dla królewskich gości.

Wreszcie lasy rzadnieją — przelecieliśmy w nich kilkanaście kilometrów; drogi się krzyżują — zbaczamy na prawo i nie długo wychyla się z po za drzew sylweta pięknego ale opustoszałego zamku w stylu francuskiego starego baroka, stojącego na obszernej leśnej polanie. To zamek Solitude, dawniej siedziba letnia królów wirtemburskich, dziś miejsce wycieczkowe i gospoda samochodów, piechurów i powozowych turystów. — Obok zamku stajnie stadniny królewskiej i mieszkanie zarządu zwierzyńców i polowań dworskich. — Od Solitude zostaje nam jeszcze czternaście kilometrów do Sztutgardu, — Tej drogi nie zapomnę prędko — a będę ją nieraz z żalem wspominał, rozbijając koła i resory mojej skromnej podwoły na galicyjskich a zwłaszcza lwowskich brukach i wybojach. Tak szerokiej drogi jezdnej, o tak nieskalanej żadnym kamyczkiem, żadnym zagłębieniem jajowatej powierzchni, nie widuje się często na tym padole urmańskiej i niefurmańskiej niedoli.

Nam zwłaszcza, lwowianom może będzie kiedyś w nagrodę za zasługi i cierpienia drogowe i uliczne — danem w niebie, jeździć anielskimi samochodami na skrzydłach cherubinów po takich drogach niebiańskich.



Z tych rozmyślań zbudził mnie w tej chwili rzut oka na zegar taksametu mego ziemskiego samochodu. — Ze strachem odczytywałem cyfry, przekonany, że za półtorej godziny takiej szalonej gonitwy zapłacę co najmniej pięćdziesiąt marek. Ujechałem przecież sześćdziesiąt kilometrów! — *Sechzen Mark bitte* — wygłosił tymczasem mój wiadrośny woźnica. Prędko, ale tanio — oto dewiza niemieckiej komunikacji.

Wysiadłem z podwójnie miłym uczuciem doznanych nie wielkim kosztem bardzo miłych wrażeń.

Jutro pojedę za Sztutgart koleją, a może znów samochodem dla oszczędzenia czasu, na wystawę przemysłowo-rękodzielniczą do Feuerbach. — Napiszę o tej wystawie osobno.

## Wystawa przemysłowa w Feuerbach.

Dawno nie miałem takiego zawodowego zadowolenia, takiej jak Niemiec mówi *Berufsfreude*, jak kiedy wyczytałem w dzienniku sztutgardzkim, że w sąsiednim miasteczku, nie dużym, bo zaledwie tyle mieszkańców liczącem co nasza Wieliczka, Bochnia lub Ł. p. — odbywa się właśnie wystawa przemysłowo-rękodzielnicza, ograniczona na teren czysto lokalny.

Mając na sumieniu udział w zaprojektowaniu i urzędzeniu kilkunastu takich wystaw w naszej dzielnicy — rzetelnie byłem ciekaw na porównanie. Jak też wygląda taka akcja na gruncie bogatym w środki, w przemysł, w zmysł kupiecki i wolnym od tysiąca różnych czynników, które u nas moralnie i materialnie rzecz utrudniają.

Najpierw parę słów o samem miasteczku.



Feuerbach leży o pół godziny drogi tramwajem elektrycznym od Sztutgardu, wśród łąk i u kraju lasów, ciągnących się stąd dużym szmatem na północ.

Z małej wioski, mającej przed dwudziestu laty kamieniołom i parę skromnych warsztatów rękodzielniczych za całe bogactwo, wyrosło dziś dzięki energii ludności i jakiemuś duchowi zgody i ładu w myślach i projektach zbiorowych, — duże, fabryczne, a mimo to zdrowe pod względem higieny i kultury społecznej, czyste, ukwiecone, pachnące wonią kwiatów, ogrodów i nieuchwytną wonią jakiejś rzadkiej schludności; miasto-wieś, wieś-miasto w ogrodzie — słowem miasto — przyszłości.

Może te tylko miasta świeżo w polu z niczego powstające mogą mieć taki wygląd, taki rozwój prawidłowy jak to, które opisuję — albo też może tutaj mniej gadania teoretycznego i pisania mądrego na temat kultury życia miejskiego, a za to więcej czynu i dobrego przykładu.

Widziałem później na wystawie plan regulacji i zabudowania miasta, — już dojeżdżając rano samochodem, ze wzgórza zobaczyłem praktyczne rozwinięcie tego planu.

Teren miasta podzielono w promieniu kilku kilometrów na trzy obszary od siebie odrębne; obszar zabudowań mieszkalnych i sklepów, o ulicach

szerokich (wbrew teorii pewnego zacnego naszego architekta, radnego lwowskiego, który nie radzi stwarzać szerokich ulic ze względu na... duży koszt zamiatania!), zabudowanych willami. Ulice tego segmentu zbiegają się w obszerny plac-rynek, na którym równie w obramowaniu ogródków stoją gmachy publiczne: ratusz prześliczny, w zmodernizowanym stylu staroniemieckim, rozjaśnionym świeżymi tonami barw i ościoploną dekoracją lekkich architektonicznych ozdób i, co najważniejsze, bukietami żywych kwiatów w okiennych żardinierach, dalej poczta, sąd i inne urzędy, nie do wiary, także powiłe w pęki pnących się u okien szkarłatów, glicynii i dzwoneczków. — Z po za kwiatów trudno dopatrzeć się fascykułów, aktów i innych wewnętrznych dekoracji przeciętnej świątyni błogosławionego Biurokracyusza.

Drugi obszar miasta w rozległych ogrodach — o komunikacji ulic ograniczonej, względnie zamkniętej dla wozów ciężarowych, mieści budynki szkolne: szkołę żeńską, szkołę męską, fachową szkołę przemysłową i dopiero co postawiony, jeszcze pachnący świeżością farb i lakierów budynek szkoły realnej.

W tym ostatnim i w otaczającym go ogrodzie, odbywa się wystawa. Trzeci wreszcie obszar oddalony od pierwszych dwóch, ciągnie się od dworca kolejowego za miasto i stanowi dzielnicę fabryk,



dymu, stuku i pracy jędrnej, pozwalającej na stworzenie i utrzymanie dwóch pierwszych.

Z dworca prowadzi szereg torów dojazdowych do dzielnicy fabrycznej, każda z fabryk ma osobne połączenie do swoich magazynów.

Oto tło lokalne, na którym w odświeżonej gustownej dekoracji odbywa się wystawa.

Na pomieszczenie jej służy dwupiętrowy gmach szkoły realnej, zbudowany i urządzony według najwybredniejszych wymogów pedagoga, lekarza i architektki, ale też i bez narażenia ojców i obywateli opłacających podatek na stękanie i zgrzytanie zębami, bo budynek postawiono z prestacyi dobrowolnych rządu, miasta i obywateli bogatszych, zbieranych od dziesięciu lat na ten cel.

Część wystawy mieści się w osobno stojącej, dużej sali gimnastycznej, mogącej pomieścić naraz czterystu ćwiczących uczniów. Dokoła sali biegnie zewnątrz przestronna terasa do kąpieli słonecznych, obok duże boisko, doskonale urządzone place tenisowe i młody, ale dzięki wystawie z bajecznym przepychem i artyzmem wystawowym urządzone ogród spacerowy i owocowy.

Reszta wystawy mieści się jeszcze w obszer-nych, półkrytych pawilonach i w kioskach rozrzuconych po ogrodzie. Całe zaaranżowanie terenu

wystawowego, ogrodzenia, napisów, ustawienie i ugrupowanie okazów pełne smaku i przejrzyste.

W wystawie biorą udział wyłącznie fabryki i rzemieślnicy miejscowi. Tę wyłączność przeprowadzoną z całą ścisłością, tłumaczył mi urzędnik wystawy jej właściwym celem — uczczenia piętnastoletniego jubileuszu istnienia miasta. Chodziło o wykazanie postępu, jaki praca gospodarcza ludności tej młodzieżkiej komuny zrobiła w tak krótkim czasie.

Najsilniej reprezentowanym jest dział produkcji chemicznej, bo Feuerbach specjalizuje się szczególnie w wyrobie farb, barwików, garbników i najróżnorodniejszych produktów z dziedziny chemii organicznej i nieorganicznej. — Na zestawieniu i całości kształcie poszczególnych grup można obserwować, jak genetycznie rozgałęzia się produkcja przemysłowa pewnego terytorium — własną siłą rozpędową i jak jeden dział przemysłu daje samoczynnie impuls do stwarzania dalszych pochodnych działów i gałęzi,

Z chemicznego przemysłu wyrastają fabryki maszyn i urządzeń dla tej produkcji. Zakres maszynowych fabryk coraz bardziej się rozszerza, zagarnia już nie tylko produkcję półfabrykatów, odczynników, kwasów, barwików, ale obejmuje produkcję artykułów życia codziennego, maszyny dla piekarń, cukierni, do produkcji wód mineralnych i t. p.



Niemcy nie znoszą na długą metę przewagi konkurencyjnej cudzej produkcji w którymkolwiek ważnym dziale.

Do niedawna n. p. nie miały konkurencyi fotograficzne papiery i klisze francuzkie (Lumiére). — Teraz już na wystawie w Feuerbach można widzieć okazy i zdjęcia doskonałe, robione na preparatach tamtejszej fabryki.

Interesującą nowość wystawiła jedna z fabryk urządzeń maszynowych; koła trybowe do wszelkiego rodzaju maszyn fabrycznych, wyścielane masą specjalną, głośzącą stukot i hałas takich zębatych kół. Kto słyszał kiedy jakie piekielne hałas panują w wielkich fabrykach, pędzących dużo maszyn, ten z zadowoleniem powiła każdy postęp chroniący słuch i nerwy robotnika.

Elektrotechnika zajmuje na tej małej lokalnej wystawce także okazałe miejsce, zaczawszy od dywanów do buduaru pieszczącej się damy, ogrzewanych tkaniną nici elektrycznych, skończywszy na przemysłnych urządzeniach elektromagnetycznych, oczyszczających w młynach, piekarniach i wędliniarniach w czasie przerabiania surowca, materiały z zaślakanych przedmiotów i odpadków metalowych.

Sztukę stosowaną reprezentują bardzo bogato miejscowi artyści stolarze, tapicerzy i inni rzemieślnicy architektury wnętrz, kierowani przez kilku utra-

lentowanych, idących za postępem miejscowych architektów. Widziałem tu zespoły mieszkaniowe przepysznie zharmonizowane o ślicznych liniach i przedziwnie miękkich tonach.

Wyszedłem z tej wystawy z mimowolnem pytaniem w duszy, czy i kiedy tak będą wyglądały nasze wystawy lokalne i okręgowe n. p. w Żywcu, Wadowicach i t. p.

### *Berlin, 15. sierpnia.*

Do niedawna jeszcze porównywując Berlin z Wiedniem mówiło się, że stolica Prus robi po Wiedniu wrażenie ordynarnego dorobkiewicza, naśladowującego niezgrabnie magnata, dżentelmena z rodu.

Sąd ten ma i dziś rację, o ile chodzi o tę część Berlina, która powstała po wojnie francuskiej, względnie za miliardy francuskie otrzymała dekorację.

Ulica pod Lipami, ulica Fryderyka — partye koło zamku, olbrzymi, ciężki tum ewangelicki, a zwłaszcza parlament i część przed nim położona z pomnikami Bismarka i Moltkego, z kolumną zwycięstwa r. 1871 — aleją zapchaną pomnikami stu innych wielkości i t. d. — wszystko to w oczach Berlińczyka wielkie — wspaniałe, „grossartig“, „siegreich“ —



jest co prawda wielkie — ale z naszego poziomu patrzenia ciężkie, bez gustu i smaku.

Inaczej ma się rzecz z najnowszą częścią Berlina. Cała ulica Kurfürstendamm, Tauenzienstrasse i kilkadziesiąt nowych ulic powstałych w ostatnich kilku latach, przynosi chlubę komunalnej polityce stolicy Prus.

Zwłaszcza Kurfürstendamm zasługuje na miano wzorowej ulicy stołecznej dwudziestego wieku.

Żadnego szablonu, nic z pruskiej koszarowej dyscypliny form; lekkość i fantazyja w architekturze cztero- i pięciopiętrowych kamienic, ciągnących się szeregiem na przestrzeni pięciu kilometrów. Ulica szeroka, o czterech rzędach drzew alejowych, dwutorowa, robi wrażenie bardzo pięknego bulwaru. Wzdłuż całej ulicy bardzo gustowne portale i wystawy sklepowe, schowane prawie w bukietach kwiatów i ogródków, strojących każdy dom z frontu. Prześliczne loggie i erkery, tonące w kwiatach, dopełniają obrazu świeżości i barwności.

Tam, gdzie się kończy Kurfürstendamm, zaczyna się inna dzielnica, jeszcze bardziej „modern“ i jeszcze piękniejsza — o nazwie dziwnie kojarzącej pojęcia: „Grunewald“ jej na imię.

Wspaniała, swoją dzielnicę will milionerów, rozłożoną na przestrzeni 800 morgów, a obejmującą przeszło 600 prześlicznych pałacików, nazwali

Berlińczycy mianem, przypominającym najfatalniejszą datę w dziejach krzyżackiej buty.

Na przekór tej nazwie jest ten ich Grunewald dla odmiany zwycięstwem na innym polu, a to na polu budowania dzielnic zamiejskich. I tutaj urok właściwy pochodzi z niezmiernego bogactwa fantazyji w architekturze, z artyzmu w założeniu i staranności w utrzymaniu obszernych ogrodów między willami i pałacami. Rozmaitość otoczenia, zapewne i urządzenia tych idealnych wprost mieszkań tuż w sąsiedztwie olbrzymiego kotła wielkomiejskiego przedstawia obraz — jak będą wyglądały miasta za lat 30 lub 50 — jak wyglądają one już w części w krajach od naszego bogatszych i powiedzmy otwarcie — rozsądniejszych.

Berlińczycy nie potrzebują wyjeżdżać na wilegiatury, mają tuż za miastem całe duże dzielnice letnich mieszkań w lesie nad jeziorami, nad Hawelą, mają tam urządzenia do wszelkich sportów, zabaw, a przede wszystkim do wioślarstwa. Chłopak ledwie wyrośnie z niemowlęcych zabawek, już wiosłuje, oswaja się z wodą, z niebezpieczeństwem, jakie czyha na niej, przygotowuje się do zawodu zdobywcy wód, oceanów, kolonii tak, jak inni jego bracia ćwiczą się w przemyśle, handlu, w sztuce „pchania się na wschód“.

Kto chce wiedzieć jak Prusak umie organizo-



wać handel, niech, będąc w Berlinie, nie zaniedba obejrzeć domu towarowego Wertheimów przy ulicy Lipskiej.

Mniejsza o to, że olbrzymi ten bazar, zatrudniający w lecie 4000, a w zimie przed Bożem Narodzeniem 6000 osób personalu w gmachu, wychodzącym na trzy ulice, mającym 27 wind towarowych i osobowych, wziął już dawno rekord nad paryskim prototypem bazarów, opisanym mistrzowsko w romansie Zoli; to mniej w nim godne uwagi. Bardziej ciekawą jest znaczna wyższość pod względem różnorodności towarów ze wszystkich okolic świata.

Obok banalnych produktów fabryk — towaru bazarowego — powiedzmy krótko — tandety właściwej wszystkim takim „Waarenhausom“, umiał Wertheim zmyślnie umieścić wyroby kwalifikowane. Zrobił duży krok naprzód, zebrał w swym kolosie, sklepie, przemysł domowy i ludowy całego świata. Obok haftów malajskich, ceramiki węgierskiej, koronek dalmatyńskich, wyrobów koszykarskich z wyspy Kuby, są tam biżuterie holenderskie, zabawki japońskie, stroje ludowe i sztuka stosowana ludowa wszystkich okolic ziemi.

Nawet polski przemysł bierze choć minimalny udział w tym kalejdoskopie bazarowym kilkoma rodzajami zabawek z Jaworowa.

Podobno firma Wertheim radaby znacznie wię-

cej kupować towarów charakterystycznych naszych, naturalnie nie z miłości dla nas, ale dlatego, że jej ambycją jest mieć wszystko, co kula ziemską w tym zakresie dać może. O ile mogłem wynioskować z rozmowy z szefem firmy, hafty, wyroby tkackie i rzeźby z drzewa miałyby wartość w pierwszym rzędzie. Wertheim bierze towar na rachunek stały i płaci do 30 dni.

Nie wszystko nas zawodzi, tak samo nie wszystko Prusakom się udaje. Dowód tej prawdy miałem zwiedzając tutejszą trwającą właśnie „Messę“ meblową w gmachu wystawowym obok zoologicznego ogrodu. Miał to być rodzaj lipskich jarmarków, ograniczonych wyłącznie na meble i domowe urządzenia.

Dusłka wieje z tej całej „Messy“. Towaru mało i bardzo słaby ten, co jest, a gości, kupców, prawie że ani na lekarstwo.

Ręczę, że upartych Berlińczyków to nie zrazi; urządzą na drugi rok taką samą „Messę“ z lepszym, na trzeci rok z zupełnie dobrym wynikiem i za parę lat dowiemy się, że centrem handlu meblami dla całego świata stał się Berlin, tak jak Lipsk na futra, zabawki, książki i t. p. Trzeba tylko, tak jak oni, umieć chcieć.



### *Hamburg, 22. sierpnia.*

Są miasta na kuli ziemskiej, które mają szczęście do korzystania i wzbogacania się z wrodzonej człowiekowi pasji podróżowania, bądź dla swoich historycznych wartości, bądź tylko dzięki swojemu położeniu na liniach komunikacyjnych światowych. Jeszcze lepiej wiecie się takim miastom, które usadowiły się u bram wielkich rzek, otwierających wyjście na oceanowe szlaki.

Do takich należy Hamburg, olbrzymi przelyk, którym moloch niemiecki wyrzuca nadmiar swojej własnej wytwórczej siły na wielkich polach produkcji, zaczawszy od pucułowatych młodzieńców z fachu wojennego lub kupieckiego, idących w dalekie kraje na zdobycze, a skończywszy na różnych innych wyrobach „Made in Germany“. W niemniejszej mierze pomaga ta brama ujścia Łaby i innym krajom w wywozie najdroższego towaru, t. j. ludzi, w przywozie surowców i płodów zamorskich dla coraz głodniejszej środkowej Europy

Dziewięćdziesiątdziewięć procent jadących do Hamburga, ogląda to miasto z okien wagonu, z placu przed dworcem głównym, albo z portu św. Pawła zatrzymując się najwyżej przez noc dla niezbędnego odpoczynku przed podróżą za morza. Mało kto za-

trzymuje się dłużej, aby zwiedzić to największe emporium niemieckiego handlu, ten olbrzymi instrument polityki komunikacyjnej i handlowej cesarstwa niemieckiego, tę spizarnię i magazyn, chłonący w siebie i wydający ze swych wnętrzności za kilkanaście milionów marek towarów dziennie.

Największe z trzech niemieckich miast starej Hanzy, dotąd utrzymujących niezależność od rządu prowincjonalnego, Hamburg stara się zaznaczyć na zewnątrz swoją „Reichsunmittelbarkeit“. Czuć w życiu i zachowaniu się obywateli tego miasta, którego burmistrz zasiada wśród książąt i królów w radzie koronnej cesarstwa, dumę i poczucie pewnej wyższości nad innymi miastami i rodakami, rządzonymi koszarową dyscypliną.

Dla każdego, kto chce poznać życie gospodarcze współczesnych Niemiec, przedstawia pewien interes zwiedzenie Hamburga, jego urządzeń handlowych, a zwłaszcza olbrzymiego portu. W ostatnich pięciu latach poświęciło państwo i komuna Hamburga 300 milionów marek na rozszerzenie i ulepszenie urządzeń portowych. Pobudowano olbrzymie tamy z ciosowego kamienia, kilometrowej długości magazyny, 807 olbrzymich parowych kranów podnosi bez szelestu ładunki, ważące po 450 centnarów metr. i przenosi całe stopy beczek, skrzyń, zwojów szyn, bloków miedzi, cyny, olbrzymie bale



bawelny, surowych skór, tysiące beczek smalcu, kłocę sążniowej grubości drzewa cedrowego na olówki i t. p., z okrętu na ląd i odwrotnie.

Wśród labiryntu kanałów, utworzonych przez budowle portowe, wznoszą się dziesięciopiętrowe szkielety żelazne olbrzymich doków, czyli warsztatów okrętowych. Zdaleka podobne do misternych koronkowych zabawek z drucików, przy zbliżeniu się okazują swoje potężne konstrukcje z olbrzymich splotów żelaza, służące do podtrzymywania korpusów budowanych na nich kolosów okrętowych od chwili położenia pierwszej sztaby węgielnej aż do spuszczenia ich na wodę. Jeden taki dok — fabryka okrętów n. p. firmy Block & Voss — zatrudnia 4000 robotników, grożących właśnie w tej chwili strejkami, wywołanym sporem o długość dnia pracy.

Na małym parostatku przedsiębiorstwa, ułatwiającego zwiedzanie portu przez turystów, przesuwamy się wśród lasu masztów, wśród kłębow dymu z tysiąca kominów okrętowych, wśród jęku syren, zgrzytu łańcuchów i zgiełku całego mrowia robotników.

Natrafiamy tu na olbrzymi parowiec „Kaiser Friedrich“ — trzykominowy kolos — dowiadujemy się ze zdumieniem, że to więzień, spoczywający od 11 lat w porcie hamburskim z powodu procesu mię-

dzy fabryką okrętów, a przedsiębiorstwem żeglugi o dotrzymanie przy budowie tego olbrzyma warunków co do szybkości. Cena tego pływającego depozytu sądowego wynosi 12 milionów marek, kosztu procesu wskutek narastania procentów od bezużytecznie „pływającego kapitału“ wynoszą do dziś dnia drugie tyle. Bogaty naród, który może w ten sposób wyrzucać dziesiątki milionów w błoto. Hamburgczycy nazywają ten okręt ironicznie pomnikiem cesarza Fryderyka.

Przejeżdżamy obok olbrzymich zakładów i własnego portu potężnej kompanii okrętowej „Hamburg—Ameryka“. Kto obliczy, ile groszy polskiego ludu złożyło się na bogactwa tego miliardowego przedsiębiorstwa, którego gmach centralny nad Alsterą zdoła dumnie hasło dyrektora Balina: „Mein Feld ist die Welt“! Mijamy wielkie żaglowce szwedzkie, wyładowujące lód, przywożony z fiordów północnego wybrzeża Skandynawii, patrzymy na stosy saletry chilijskiej, której import do Europy ustanie pewnie wkrótce z rozwojem przemysłu, zużytkowującego azot powietrza atmosferycznego do produkcji sztucznych nawozów.

W jednym z bocznych kanałów portu stoją wypoczywające po trudach zimowych ciężkie, niezgrabne, a potężne parostatki do łamania lodów, ścinających mrozem nie znoszące przerwy życie



wielkiego portu handlowego. Całe szeregi spichlerzy, elewatorów zbożowych ze zwisającymi z ich szczytów olbrzymimi rurami do pneumatycznego ssania dziesiątek tysięcy hektolitrów zboża dziennie — stanowią groźne przypomnienie, że przeludnienie Europy i jej nie dość jeszcze intensywne rolnictwo skazuje ją na żywienie się chlebem zamorskich łanów.

Za pięć minut pierwsza. Wszyscy kapitanowie i sternicy mniejszych statków wyciągają zegarki; z uderzeniem godziny pierwszej na astronomicznym zegarze portowego obserwatorium spada na szczycie wieży wielkiego elewatora miejskiego czarna kula. Dokładność w mierzeniu czasu na oceanach ma podwójne znaczenie.

Zwiedzwszy port, poświęcam kilka godzin zostających mi do odjazdu na wyspę Helgoland i do Norderney, na zwiedzenie miasta i jego osobliwości.

Wicher dmie silny i, mimo lata w całej pełni, dobrze się dobiera do skóry; obydwa baseny, utworzone z wód przepływającej przez miasto Alstery, toczą fale spienione, jak na oceanie; setki łabędzi kołyszą się na nich majestatycznie, jakby czuły, że dzięki zapisowi miliona marek na ich utrzymanie przez jakiegoś rozmarzonego na starość bussines-

mana hamburskiego, mogą spokojnie patrzeć w przyszłość.

Całą jedną stronę wybrzeża większego basenu zajmuje na długość dwóch kilometrów jedna z najpiękniejszych ulic w Europie, słynna „Harwestehude“. Szereg stu pałaców we wspaniałych ogrodach, ciągnących się wzdłuż niej, świadczy o bogactwie hamburskiego kupiectwa. Cała ta dzielnica należy do nich. Drugą stronę ulicy zakupili właściciele tych pałaców, aby mieć widok otwarty na Alsterę.

Zwiedzam jeszcze jeden z największych okrętów oceanowych linii Hamburg—Ameryka „Kaiserin Victoria Augusta“, galerię obrazów wśród których „Czyciele ognia“ i „Marya Magdalena“ Böcklina, kilka obrazów Klingera, znakomite portrety Lenbacha wiodą prym. W muzeum przyrodniczym natrafiam na bogate zbiory etnograficzne w jednej z szaf. Ciekawy przyczynek do ilustracji dziejów kultury, plastyczne przedstawienie znęcania się żołdatów nad katorżnikami w Syberii; coś z ilustracji do słynnej książki Kennana.

Popołudnie poświęcę zwiedzeniu w okolicy Hamburga największego co do treści zwierzyńca, zarazem największego „sklepu z dzikimi zwierzętami“ na kuli ziemskiej, słynnego „Thierparku Hagenbe-



cka". Wrażenia z pobytu wśród zwierząt całego świata opiszę osobno.

*Hamburg, 23. sierpnia.*

*(Ludzie i dzikie zwierzęta; dręczenie zwierząt w menażeryach i apostoł reformy zwierzyńców; największy zwierzyńiec i sklep dzikich zwierząt).*

Przyjaźń ludzi z dzikimi zwierzętami jest tak starą, a może jeszcze starszą, aniżeli przyjaźń między ludźmi. Adam i Ewa chodzili podobno po raju, głaszcząc od czasu do czasu po bujnej grzywie srogiego lwa lub krwiożerczego tygrysa, a matka Ewa w nieszczęsne wchodziła konszachty z węzami. Z rozwojem cywilizacji ludzkiej odsuwały się zwierzęta coraz bardziej... przepraszam, chciałem powiedzieć, oddzielali się ludzie coraz bardziej od dzikich zwierząt, zamykając je w przesadnej obawie w zwierzyńcach i menażeryach, lub składając je w stanie muzealnej nieśmiertelności, mniej lub bardziej udatnie wypchane, w zbiorach naturozoficznych.

Polska cała była niegdyś dużym zwierzyńcem,

mieliśmy możliwość życia wśród zwierząt, mieliśmy i mamy czucie i zmysł dla wszystkiego, co dotyczy tajemnicy życia zwierząt. Z biegiem lat, z dzikich bestyi zostało nam niewiele; chudy, spłowiwały niedźwiedź poszedł w służbę na łańcuchu do wędrownego cygana, wilki, dziki wystrzelano, orły znikły i zostały przepiórki i płochliwe zajace.

Kto chce obudzić wspomnienia dawnych rajskich czasów i zobaczyć się w otoczeniu całego niemal towarzystwa, z którym w czasie potopu praojciec Noe dzielił losy, kto chce zobaczyć największy zwierzyńiec, a zarazem największy dom handlowy w dziale dzikich zwierząt, sprzedający lwy, tygrysy, słonie — tak, jak inny kupiec sprzedaje ubrania lub rękawiczki — ten, będąc w Hamburgu, niech nie zaniebda pojechać do Stellingen i zwiedzić jedyne w swoim rodzaju przedsiębiorstwo Hagenbecka.

Historia tego zwierzyńca sięga połowy ubiegłego wieku. Założycielem był ojciec dzisiejszego właściciela, Gottfried Hagenbeck, bardziej poeta, aniżeli kupiec. Zaczął od osławiania psów morskich, które przywoził z wypraw myśliwskich. Poczęto mu je kupować do rozmaitych zwierzyńców świata, płacąc dobrze. Zakupiwszy duży obszar trzystumorgowy, w odludnej okolicy Hamburga, obwiodł go wysokim murem i żelaznym parkanem i zwoził przez



dziesiątki lat z całego świata wszelką dzicz leśną i morską.

Ideą Hagenbecka było wprowadzić w system urządzania zwierzyńców modną i popieraną przez królów i cesarzy reformę, liczącą się bardziej z poczuciem ludzkości dla zwierząt. Zerwać z metodą dręczenia zwierząt w ciasnych klatkach, dać im możliwie największą swobodę ruchów, teren, roślinność, wodę, temperaturę i otoczenie możliwie jak najbardziej zbliżone do rodzimych stosunków każdego zwierzęcia — oto idea i program przedsięwzięcia Hagenbecka.

To, co się dało zrobić na gruncie przez stworzenie sztucznych gór, skał, strumieni, lodowców, gąszczy, przetkanych lianami amerykańskich preryi, bagnisk, przypominających brzegi Nilu, to zrobiono olbrzymim nakładem pracy i kapitału.

To też, idąc ścieżkami przez poszczególne działy zwierzyńca, doznaje się całkowitego złudzenia wycieczek w coraz dziksze i bardziej egzotyczne krainy świata; traci się z oczu schowane dyskretnie żelazne sztachety, osłonięte zielenią i skałami kolczaste parkany i druciane siatki.

Z mimowolnem uczuciem myśliwskiego dreszczyku zbliżam się do grupy nagich, różowawych skał, pomiędzy którymi ścielą się żółtkle trawy tajemniczej dżungli. Coś się w trawach poruszyło, —

robię krok naprzód i w tej chwili z gąszczy wysuwa się wspaniały łeb bengalskiego lwa; zwierzę błysnęło ku mnie swoim poważnym wzrokiem i jednym susem zniknęło w trawach. Idę dalej — u podnóża innej skały spoczywa para prześlicznych tygrysów; samica podnosi łeb, otwiera paszczę, pokazując nieposzlakowanej białości kły, których nie podjąłby się pewnie plombować najśmielszy dentyśta; ziewnęła, spojrzała ku mnie i spuściła łeb do dalszej poobiedniej drzemki.

Z kolei dostaję się w kraje podbiegunowe; mimo skwaru i słońca, stojącego wysoko, czuję chłód na widok olbrzymich skał lodowych, piętrzących się nad sztuczną zatoką. Zbliżam się — jakieś białe cielska skaczą po lodowcach, zanurzają się w wodę, by za chwilę ociężałym krokiem rozpocząć na nowo wędrówkę po skałach. Sześć przepysznych białych niedźwiedzi północnych spaceruje jakby o milę od tajemniczej północnej osi. Pod nimi, w ziębionej sztucznie wodzie, pluskają się fokki, niezgrabne pingwiny skaczą po brzegu.

W innej stronie zwierzyńca, na tle krajobrazu, wyjętego z okolic Konga, sterczą z brudnych, błotnistych oczeretów łby nieruchomego hipopotama; nosorożce grzeją się do słońca, krokodyl wynurza od czasu do czasu swój opryszczony łeb z wody, patrząc bezmyślnie, a może z ukrytym apetytem na



stąpające po brzegu z powagą profesorską czerwodziube flamingi, czubate czaple, ibisy i niezgrabne pelikany.

W innej znów części parku stąpają trwoźnie gazy, obok nich trą o pnie potężnych drzew swoje olbrzymie łby bizuny i żubry, skaczą śmiesznie na długich tylnych nogach, podpierając się małymi przednimi, kangury, uganają stada paskowanych koni zebra, a długoszyje żyrafy sięgają po liście wysokich drzew.

Dziwny, nastrajający poetycznie obraz. Jakieś niecodzienne wrażenie opanowuje umysł; człowiek czuje się zbliżonym towarzysko do dzikiego zwierza; czuć w założeniu tego przedsięwzięcia usiłowanie stworzenia nowych podstaw do współżycia człowieka ze zwierzęciem. Czy nie zapóźno? Czy mordercza namiętność tępienia kulą nielicznych już, wymierających pokoleń i gatunków, nie położy wnet tamy wszelkim takim poetycznym przedsięwzięciom? *La bête humaine* — jak nas nazwał Zola — nie ścierpi długo obok siebie na ziemi t. zw. dzikich towarzyszy.

Więc póki czas, kto chce widzieć życie resztki wspaniałej fauny wszystkich stron świata, niech zwiedzi przy sposobności zwierzyniec Hagenbecka. Obok poetycznej atmosfery, przedsięwzięcie to ma także duże znaczenie naukowe, a przedewszystkiem han-

dlowe. Wycieczki profesorów-badaczy fauny całego świata i młodzieży szkolnej są tu na porządku dziennym. Obrót handlowy zwierzętami do zwierzyńców publicznych i prywatnych, do muzeów historyi naturalnej, w żywym i preparowanym stanie, sięga rocznie kilkunastu milionów marek. Utrzymanie tego zwierzęcego raju kosztuje sumy bająnskie, ale wobec cen płaconych za poszczególne egzemplarze, a idących w setki tysięcy, interes widać się opłaca. Świadczy o tem rozwój, dokupywanie gruntów na rozszerzenie zwierzyńca, pewien przepych nawet w urzędzeniu technicznym.

Niemcy umieją handlować wszystkim, od maszyn i ołówków do — słoni i krwiożerczych panter.

### *Helgoland-Norderney, 26. sierpnia.*

Na pomoście św. Pawła, w porcie hamburskim, budzi się codziennie gorączkowe życie, spotęgowane dniem niedzielnym. Niemiec — tam, gdzie mu to wygodniej — trzyma z Bogiem, ze Stwórcą świata, pracuje sześć dni w pocie czoła, a siódmego dnia odpoczywa, jedzie, idzie lub płynie na wycieczkę. To też w przystani coraz większy ścisk. Płyną całe rzesze opasłych Hamburgczyków z żonami, dziećmi,



rukzakami, binoklami przewieszonemi na rzemykach i dobrze nastrojonem pragnieniem.

Okręt, duży kołowiec „Kaiser“, połyka w swoim wnętrzu coraz liczniejsze tłumy pasażerów. Z wycieczkowcami mieszają się przeróżne typy podróżnych z całego świata: chude Angielki z ogromnemi torbami, urągającemi nazwie: „reticule“, bezbarwni globtrotterzy, włóczęgi światowe w szerokich hawelokach i czapkach zapiętych na guziczek — wszystko to ciśnie się, rozpycha, potraça, zdobywając lepsze miejsca. Płyną w ścisku, dają się nieść na łokciach rozmaitej narodowości i... twardości.

Stąpam po deskach pomostu, po których tyle zachwianych lub zwichniętych całkiem indywiduów szło tędy krokiem nerwowym, oglądając się trwożliwie za siebie, lub w stronę niedużego budynku na pomoście, z napisem: „Hafenpolizeibehörde“. Jak łatwo paść można na tym pomoście ofiarą pomyłki, podobieństwa rysów do jakiejś sławnej „wielkości“ z fachu szybkoconogich bankierów, lub kasyerów! U wstępu na okręt kręci się w tej chwili dwóch umundurowanych specjalistów do takiej urzędowej fizyognomistyki.

Uderza godzina odjazdu, orkiestra na okręcie rozpoczyna koncert, syrena okrętowa jęknęła dwa razy w takt walca z „Wesołej wdówki“ i ruszamy. Stopięćdziesiąt Niemek na lądzie i trzysta ich zna-

jomych, czy nieznanym na okręcie, wyciąga chustki do nosa i zaczyna się typowe niemieckie powiewanie. „Auf Wiederschauen!“ brzmi naokoło. Za chwilę siedzą już trzy czwarte pasażerów na pokładzie, w salonach dolnych, gdzie tylko trochę miejsca, przy stolikach przed pniącymi kufkami piwa.

Płyniemy wartko z prądem brudnych jak noc fal Elby, mijamy Altonę, starą dzielnicę handlową i rybacką, mijamy bogate okolice, schludne miasteczka, żyjące z bogactw na obie strony: z rolnictwa żyznych ziem nadłabskich i z popłatnej żeglugi na jednej z najruchliwszych rzek w Europie. Koryto Łaby rozszerza się co raz bardziej, brzegi zniżają się, rozstępują, co raz silniejsze fale biją o ściany okrętu, traci się wrażenie podróży rzeką, czuć, że zbliża się teren delty, ujścia Łaby do głębin morza północnego.

W dwie godziny zawijamy do Cuxhaven. Mniejszego to znaczenia port handlowy, ale duży punkt dla ruchu pasażerskiego. Mgły, wiszące od Hamburga nad nami, zaczynają się rozstępować, wieje wicher coraz silniejszy, ale za to pokazuje się słońce, ozłacające żółte czuby i grzywy spienionych fal.

Płyniemy dalej. Brzegi oddalają się coraz bardziej, aż wreszcie znikają całkiem — jesteśmy na morzu. Gdzie się kończy Łaba, a gdzie zaczyna



morze, nie można poznać, chyba ryby czują różnicę w smaku wód, które się zlewają nieustannie, niewi-  
docznie na przestrzeni tysiąca kilometrów olbrzy-  
miej delty.

Śnieżne, lotne mewy ścigają się nad okrętem, przywabione odpadkami z kuchni, rzucanymi w mo-  
rze, muzyka zawodzi dla odmiany smętne tony ja-  
kiejś operowej symfonii, a tymczasem coraz silniej-  
sze kołysanie okrętu zmienia fizyognomię powierz-  
chni pokładu i... stolików. Coraz więcej pań znika  
z pokładu, chroniąc się chwiejnym krokiem przed  
okiem twardszych pod względem morskim towarzy-  
szek, na stolikach miejsce piwa zajmują filiżanki  
czarnej kawy, majtkowie kręcą się po pokładzie, za-  
glądając ku bardziej schowanym zakątkom, gotowi  
każdej chwili podać usłudze okolicznościowe jakieś  
naczynie, lub wesprzeć silnem ramieniem chwiejące  
się postacie.

Milkną rozmowy i cichnie gwar, im silniej  
brzęczą spadające ze stołów naczynia i im bardziej  
szumią bijące w okręt fale. Statek wykonuje coraz  
szersze gesty i mimo dużych rozmiarów swoich,  
kołysze się porządnie. Znak to, że zbliżamy się do  
Helgolandu, uroczej wyspy, rzuconej daleko od lądu.  
Wyteżam wzrok i za chwilę spostrzegam coś jakby  
tort czekoladowy, położony na horyzoncie fal,  
w blasku południowego słońca. Tort ten rośnie na

grubość w miarę zbliżania się, jaśniej, na szczycie  
jego pokazują się białe punkciki: domki, wieżyczki,  
u spodu także coś jakby lukier wielkanocny, —  
nie, to także szereg białych budowli, domów, ka-  
mienic wyłania się z morza. Za chwilę jesteśmy  
otoczeni rojem barek, małych parowczyków i moto-  
rówek, którymi część pasażerów ląduje na wyspę.

Helgoland obchodzi właśnie dziś urzędową,  
z góry nakazaną uroczystość dwudziestolecia od  
czasu dostania się pod panowanie pruskie. Zna-  
komiły ten punkt strategiczny, bardzo ważną stacją  
węglową, wyszachrowały Niemcy pod wpływem pa-  
nicznej anglofobii. Na razie kąpią się na niej rudo-  
włose, grubokościste, Greta i Marty.

Do godziny postoju na kotwicy, wśród uroczej  
pogody, odpływamy w dalszą drogę, przesiadłszy się  
na inny parowiec, płynący do Norderney.

Mimo pogodnego nieba, wiatr nie ustaje, nio-  
sąc nam nieustannie niezrównany, ożywczy zapach  
morza i zbawienną dla schorzałych nerwów, płuc  
i gardła mgłę z rozbitych szczytów fal. Czuć ten  
słony pył na twarzy, na ustach, jesteśmy w najwspa-  
nialszem inhalatoryum, jakie sobie można wymarzyć.

Do czterogodzinnej podróży okazują się żół-  
tawe brzegi fryzyjskich wysp; zbliżamy się do naj-  
bardziej na wschód i na północ wysuniętej Norder-  
ney. Żółty pas lądu rozwija się, w miarę zbliżania



się, w prześliczną plażę piaszczystą, rojącą się mrowiem ludzkim, upstrzoną tysiącami koszów kąpielowych, strojną różnobarwnymi chorągiewkami, drgającymi malowniczo w świetle zachodzącego słońca. Opływamy prawie naokoło całą wyspę, aby dostać się do portu i wylądować dla kilkudniowego odpoczynku przed dalszą podróżą.

### *Norderney — Delfzyl, w sierpniu.*

Plaża morska w Norderney i cała miejscowość kąpielowa robi niezwykle sympatyczne wrażenie i wyróżnia się dodatnio od innych niemieckich, czy belgijskich, lub nawet francuskich większych nadbrzeżnych badów. Przepyszny klimat, duże fale, mimo zupełnego braku wiatrów, czystość, schludność, pewna patryarchalność budynków, mieszkań i życia, obok dużej kultury urzędzeń, dają warunki idealne prawdziwego odpoczynku.

Ludność tubylczą, sympatyczną, tworzy konglomerat fryzyjsko-niemiecki; nie ma w nim nic pruskiego. Przy tem wszystkim Norderney należy do najtańszych miejscowości kąpielowych morza Północnego.

Zostałbym tu chętnie parę dni dłużej, ale czas nagli, trzeba zmierzać co rychlej ku właściwym ce-

lom podróży — ku uroczej i bogatej w materiały naukowy Holandyi i ku wspaniałościom wystawy brukselskiej.

Odbijamy od idealnie czystych, ciosowym kamieniem i ceglami wyłożonych brzegów przystani w Norderney i płyniemy, bujając wesoło na tańczącej fali, pomiędzy szeregiem ochronnych boi i ostrzegawczych znaków. Morze tu płytkie, pełne mielizn piaszczystych; tylko takie małe, zwinne, ale zato huśtające statki, jak nasz „Hunze XX“, mogą związać bezkarnie po tych zdradliwych wodach. Opływamy mimo to naokoło, nakładamy drogi, widzimy jeszcze dwa razy Norderney, przepływamy koło wyspy Borkum, koło największej na kontynencie stacy telegrafu Marconiego w Norddeich i po kilku godzinach spostrzegamy pierwszy znak, że jesteśmy u progu Holandyi.

Najpierw jedno skrzydło, potem cały malowniczy przysadzisty młyn z rozmachanemi na wietrze ramionami, a wnet drugi i trzeci wylania się na horyzoncie wód. Tak, to Holandya, której bogactwo tworzą niezmordowani w pracy obywatele przy pomocy... wody, rąk i skrzydeł kilkudziesięciu tysięcy wiatraków. Prawie pod skrzydłami jednego z takich wiatropędów, wyglądających jak olbrzymi ptak, nie mogący wznieść się do lotu, przybijamy do przy-



stani w Delfzyl, maleńkiem, najbardziej na północ wysuniętem miasteczku Holandyi.

Chcąc pisać o tym kraju niepowszednim, dziwnym, wyglądającym inaczej, pracującym i żyjącym odmiennie od całej reszty Europy — trzebaby więcej miejsca, niż go ma podróżujący dziennikarz-sprawozdawca. Kraj to, w którym na łące zbierają siano widłami wprost na żagłowy lub parowy galar, którego maszty sterczą z za kopicy. W tym kraju, którego mapa wodna robi wrażenie gęstej siatki na ryby, jadąc wybrzeżem morskiem, widzi się okręty pływające na cofniętych olbrzymimi łamami falach morza na wysokości trzeciego piętra; na sto kobiet, dziewięćdziesiąt jeździ tutaj na rowerze do szkoły, fabryki, na zakupy do miasta i do kościoła; dzieci siedzą w szkole w pończochach, zostawiając w sieni ustawione w rząd drewniane kierpcie, a starsze kobiety wiejskie, idąc do miasta, kładą od czasu t. zw. cywilizowania się kraju na śliczny tradycyjny czepiec koronkowy, upięty na haubie ze szczerol złotej często blachy, czarny tandetny kapelus, majstersztyk małomiasteczkowej modniarki.

Zresztą Holandya, mimo małego obszaru, posiada dużą różnorodność typów, tak co do krajobrazu, jak co do stroju, sposobu życia, stosunków ekonomicznych i społecznych.

Fryzya, którą przejeżdżam, kraina ogromnych

łąk, poprzerynianych całym ustrojem kanałów, łączących wsie, zbudowane z szeregu chłopskich pałacików, ojczyzna znakomitej rasy bydła, najdojniejszych na świecie krów, słynąca z wzorowego gospodarstwa łąkowego i z olbrzymiej produkcji serów, których na targach w jednym miasteczku Alkmaar sprzedaje się rocznie 8 milionów kilogramów, zasługuje najbardziej na uwagę.

Budując jednak mozolnie tamy, aby wstrzymać napór morza, lub wydrzeć falom grunt pod uprawę rolną, kopiąc kanały lub stawiając wiatraki, lud fryzyjski nie zaniedbywał dziedziny piękna. Najwspanialsze pomniki ludowej sztuki, rzeźby, malarstwa, cyzelerstwa i konwisarstwa, najcudowniejsze zabytki koronek, najpiękniejsze stroje ludowe muzeów w Amsterdamie czy w mniejszych miasteczkach Leenwarden, Groningen itd., pochodzą z Fryzyi.

Poznanie tej pięknej krainy, o szlachetnym typie ludności, cichej, pracowitej i kochającej swoją bogatą przeszłość, rozpocząłem od zwiedzenia Groningen, stołecznego miasta tej prowincyi i jej okolic. Trudność dużą stanowi strona językowa. Każdy z nas, czytając książki czy gazetę holenderską, rozumie trzy czwarte lub domyśla się reszty z niemieckiego; napisy na stacyach „Uitgang“, „niel rooken“, zapowiedź sezonowych wysprzedaży na sklepach „Oproiming“ (Abräumung) itp., także łatwo zrozu-



mieć — ale nie daj Boże chcieć się z pocziwymi Holenderczykami rozmówić w ich języku. Angielszczyzna z przymieszką fińsko-jakutskiej gwary na sosie duńskim — oto wrażenie lingwistyczne, jakie odbiera się, słuchając zasiedziałego na wsi Fryzyjczyka, dającego z całą uprzejmością odpowiedzi na stawiane doń pytania.

Zwiedziłem w Groningen miejskie muzeum, mieszczące arcydzieła malarskie Israela i Mesdaga, kupiłem w myśl tutejszej turystycznej tradycji kawałek kalcedona na miodzie, rozkupywanego przez Anglików, sławnego Groningenkuchen, zgryzłem z trudem drugi lokalny specjał: parę suszonych w ogniu, twardych jak kamień ziarn bobu, zwanych na ironię „Mollebonen“ — i wierny zasadzie, że kraje i obyczaje poznać można lepiej z drabinek prostego wozu, albo na przystankach żółtawej lokalki, aniżeli z okien ekspresa, puściłem się jedną z bocznych linii kolejowych na objazd kilku holenderskich wsi i małych miasteczek.

### *Wystawa w Brukseli, w sierpniu.*

Pierwsza rzecz, interesująca mnie w chwili, kiedy wysiadam z wozu „Chocolat“, czekoladowego tramwaju, który zawiózł mnie w niemożliwie długiej

podróży od gmachu giełdy, ze serca Brukseli, przed zgiełkliwy fronton wystawy, — to pytanie: jaka część wystawy splonęła i czy wiele jeszcze z niej zostało do widzenia. Przeczytałem pilnie bardzo skromnie wydany ogólny przewodnik po wystawie, rozejrzałem się w planie rozłożenia jej, więc dowiem się wkrótce, czy warto było jeszcze tutaj przyjeżdżać.

Przeciskam się przez zgraję wrzeszczących kolporterów i kolporterek widokówek, planów, gazet i t. p., udaje mi się uwolnić z ścisłu natarczywych przewodników, przechodzę przed werandą pierwszorzędnej restauracji wystawowej „Chien vert“ i za chwilę stoję przed świeżymi, prawie dymiącymi jeszcze zgliszczami części wystawy.

Widok przedziwny, niecodzienny. Na tle wspinających budowli, oszczędzonych przez pożar, w otoczeniu przepysznych kwietników, wśród których stoją malownicze rzeźby alegoryczne, biją rozkoszne fontanny, sterczą na przestrzeni kilku morgów czarne szkielety splątanych szatańską jakąś siłą resztek zniszczonych przez pożar pawilonów. Dzika fantazyja w liniach skreślonych w ogniu sześciopiętrowych żelaznych kolumn, z których opadły sztukaterie i splonęło wszystko, co ulegało sile ognia. Czarne sploty żelaznych fragarzy, podobne do szkieletu jakiegoś żelaznego potwora, opierają się tu i ówdzie jeszcze na resztkach niedopalonych; tu i ówdzie wyziera ze



zgliszcz jakiś odłam złoconej bogato główicy kolumn, kawałek posągu, którego kruchy, na miesiące życia wystawy obliczony materiał tem łatwiej uległ zniszczeniu. Z wystających żeber zniszczonego pałacu głównego belgijskiej wystawy zwisają druty połączeń elektrycznych, a na nich bujają na wietrze resztki drogich świeczników, lamp łukowych itp.

Do zgliszczach snują się grupy dopuszczonych tam wyjątkowo interesowanych pogorzalców-wystawców, urzędników, dziennikarzy. Cały teren zgliszcz, zamknięty jest od dnia pożaru kordonem wojska, bo pod stosami niedopalków, gruzów i popiołów leży zapewne dużo jeszcze niezniszczonych przedmiotów dużej wartości.

Przeszedłszy całą przestrzeń pogorzelniska, przekonywam się z planem w rękę, że jakkolwiek spłonęła cała podobno wspaniała sekcja angielska, duża część Francji (miasto Paryż), główny pałac belgijski z apartamentami „salles d'honneur“, a wreszcie część belgijskiego kiermaszu, to to, co pozostało, stanowi jeszcze dziewięć dziesiątych pierwotnej wystawy.

Zacznę od ogólnego wrażenia i wniosków, jakie nasuwa mi na myśl obecny obraz brukselskiej wystawy. Wielkiem szczęściem dla niej było, że błąd, popełniony przez skupienie olbrzymich pawilonów w niedostatecznym oddaleniu i umieszczenie zgieł-

kliwego, jarmarcznego, palnego jak jeden stos trzasek kiermaszu tuż pod bokiem ogromnych kosztownych gmachów i zbiorów międzynarodowych, znalazł poprawkę w stosunkach przyrodzonych terenu, w szczęśliwym kierunku wiatru w czasie pożaru i w dumie narodowej Niemiec i Holandyi, które odsunęły się w poczuciu prawa „splendid isolation“ ze swoimi olbrzymimi pawilonami na dalszy plan terenu.

Wszystkie czynniki, interesowane w urządzaniu wielkich wystaw, winny wyciągnąć z katastrofy brukselskiej drogocenną naukę, że wielkie wystawy muszą mieć szerokie, dostatecznie izolujące rozłożenie, że w pawilonach, mieszczących nieocenione skarby muzealne, nie wolno umieszczać gazowych kuchenek na drewnianych podiach i wśród papierków i pudełek do podgrzewania kiełbasek, czy czekolady, że na takich wystawach urządzać trzeba osobne, dostatecznie silne, sprawne i czujne pogotowie ogniowe. Wszystkiego tego tutaj zaniedbano.

Teraz wypominają sobie błędy: komitet wystawy z jednej, a wystawcy z drugiej strony; partje polityczne, stojące na różnych biegunach w kwestyi odszkodowania robotników i małych wystawców, szkalują się na ten temat w swoich organach, a tymczasem smutny los i doświadczenie Anglii, której spłonęły drogocenne przedmioty muzealne, gotowe



zaszkodzić raz na zawsze sprawie wystaw i obsyła-  
nia ich przedmiotami większej wartości.

Mimo spalenia się części wystawy, która na  
naszą miarę przedstawiała sama dla siebie już  
niedoścignioną wielkość, mimo strąt, idących w dzie-  
siątki milionów, nastrój na terenie wystawy nie ucier-  
piał nic ze swej francuskiej żywości, wesołości. Na  
trzeci dzień po pożarze już jakiś paryski bulwarowy  
śpiewak śpiewał w uliczce „Kermessu“ w dowcipnej  
piosence losy butelek szampańskich, które pękały —  
bez rozkazu garsona w smutny wieczór niedzielnej  
katastrofy.

Frekwencja tłumów nie spadła ani na włos;  
przeciwnie, tydzień po pożarze wykazał mimo deszczu  
ogromną cyfrę 350.000 zwiedzających.

Nielatwego zadania podejmuję się, chcąc pisać  
o wystawie brukselskiej w szczupłych ramach kilku  
szkicowych artykułów. Przedmiot spostrzeżeń olbrzymi,  
przytłaczający ogromem rozmiarów, kalejdoskopowem  
ugrupowaniem części składowych, barw, tematów  
i szczegółów. W niektórych pawilonach istny labi-  
rynt, wymagający wytrawnego turysty wystawowego,  
specjalnie w tej gałęzi trenowanego. Mimo, że ci-  
sną się pod pióro tysiące uwag, poprzestaną na  
chaotycznym może, ale nieuniknionem prześlizgiwa-  
niu się po tematach i ściskaniu treści.

Mam wrażenie, że kazano mi streścić przez

telefon wiedeński w trzyminutowej rozmowie dwuna-  
stołtomową powieść, albo... mowę obstrukcyjnego po-  
sła. Szczęście, że z osiemdziesięciu pawilonów wy-  
stawowych, czterdzieści zawiera wystawę ludzi róż-  
nej barwy, narodowości i języka, jedzących i pija-  
cych w nieustannym ścisku. Wogóle nie pamiętam  
wystawy światowej, czy mniejszej, na którejby tyle  
miejsca, uwagi, kosztu i pamięci poświęcono sprawie  
odżywiania i odtrzeźwiania ludzi.

Nie widzę dalej trudności w uporaniu się sty-  
lem telegraficznym z kilkunastu pawilonami i dzia-  
łami krajów egzotycznych, do których liczę w pierw-  
szym rzędzie śliczny co do stylu, ubogi w treść  
pawilon księstwa Monaco. Nawet historii „krótkich“  
gier nie mogłem w nim odszukać; natomiast zna-  
lażłem trochę perfum, zbiorów oceanograficznych  
księcia Alberta i małą wystawkę teatralnej techniki  
i sztuki dekoracyjnej.

Pawilony Algieru, Tunisu, Chin, rzeczypospo-  
litej Nicaragua, Urugui, tworzą niezwykle barwny  
sztafaż dla reszty wystawy barwnością, fantazją,  
stylem charakterystycznym, odbijającym przyjemnie  
od innych budowli, między którymi są i wielkie nie-  
estetyczne hale. We wszystkich tych egzotycznych  
pawilonach powtarza się ten sam system i cel wy-  
stawy: zwrócenie uwagi na naturalne bogactwa ziemi,  
na piękności przyrody, klimatu i... umieszczenie jak



największej ilości akcji rozmaitych w tych krajach operujących syndykatów i towarzystw akcyjnych — na giełdach europejskich.

W urządzeniu niektórych z tych sekcji widać znów tendencję, skierowaną ku pozyskaniu rąk do pracy, emigrantów. To także „bussiness“, a przecież wystaw nie urząda się tylko dla przyjemności zwiedzających. Najlepiej w tym ostatnim kierunku działać musi zapewne pawilon Kanady, w którym zdumiewająca energia i zdobywczość techniczna mieszkańców święci tryumf w imponujących okazach bogactwa tamtejszej kultury rolnej i przemysłowej.

Hiszpania starała się połączyć piękne z pożytecznym. Ładny swój pawilon, naśladowy wiernie fragmenty sławnej Alhambry w Grenadzie, — zwłaszcza precudne stare fajanse maurytańskie, odrobione w Sewilli i „dziedziniec lwów“ — zapełniła rzeczami z dziedziny starej sztuki hiszpańskiej i okazami nowoczesnej kultury gospodarczej. Naturalnie wina, wachlarze, koronki i biżuterie: wszystko, czego trzeba narodowi kochliwych toreadorów i płomienych tancerek, jest tu bogato reprezentowane.

W pawilonach orientalnych ras panuje tak samo styl, barwa, zacząwszy od twarzy Arabów, stojących tu u bram, a skończywszy na jaskrawych towarach, makatach, strojach i jarmarcznie narzuconych zwiedzającym drobiazgach bazarowych.

Uciekam ze zgielku, panującego w tej części wystawy, z otoczenia nęcących pawilonów Moët Chandon, Champagne Mercier i innych doskonałej marki, pewnie jeszcze lepszej w wystawowym wydaniu i zmierzam do poważnych, europejskich gmachów.

### *Haga, w sierpniu.*

Szwedzi rozpoczęli pierwsi jeszcze przed laty czterdziestu poważną walkę z opilstwem, jedną z największych chorób społecznych. Ich znakomity system gotenborski, podjęty z samorzutnej inicjatywy społecznej i poparty przez czynniki państwowe, osiągnął olbrzymie wyniki.

W Szwecyi zwalcza się pijaństwo przez odebranie szynków z rąk prywatnych i ujęcie ich procederu w ścisłe karby prawie aptekarskiej dyscypliny.

Holendrzy, podobni do swoich północnych sąsiadów zrozumieniem higieny moralnej i zbiorowym rozumem społecznym, pracują także od dawna z zapalem nad zwalczaniem opilstwa.

Stworzyli na ten cel wielkie narodowe stowarzyszenie związkowe ludowe, t. zw. „Volksbond“, liczący dziś 23.000 członków i wydający w tyłu egzemplarzach swój związkowy organ w głównej siedzibie Związku w Utrechcie.



Podstawową ideą „Volksbondu“ i głównym środkiem działania organizacji jest propagańda pracy domowej, jako środka umoralniającego, — pracy nie tyle dla zarobku, ile dla przyjemności, dla rozrywki po trudach głównego zajęcia zarobkowego.

„Volksbond“ głosi zasadę, że praca, podjęta dla własnego zadowolenia, w kierunku wybranym przez wrodzony popęd, skłonności, czy uzdolnienia artystyczne, wykonywane przy ognisku domowym, po powrocie od pracy zarobkowej, przymusowej, narzuconej przez twardą konieczność, jest lub stać się może lekarstwem na wiele chorób i ran społecznych, a przede wszystkim jest doskonałym środkiem przeciwdziałającym kłęsce opilstwa.

Nie zasklepiając się w zbyt jednostronnem działaniu, „Volksbond“ niezależnie od tej głównej akcji i szerzenia pilności domowej t. j. „Huisvlijt“, używa także innych środków do osiągnięcia tego samego celu; stwarza tanie mieszkania dla warstw robotniczych, zakłada ludowe kasy oszczędności, kawiarnie ludowe, stawia po ulicach kioski i kantyny z ograniczonym podawaniem trunków, otwiera publiczne czytelnie, biblioteki, szkoły gospodarstwa domowego, kursa gotowania, konkursy kwociarskie (zdobienie mieszkań ubogich), urządza boiska gimnastyczne, sportowe zabawy i t. p.

Główną jednak uwagę skierowuje na propa-

gandę „huisvlijtu“ a wyrazem wyniku tej akcji jest tegoroczna wystawa pilności domowej „Huisvlijt“ Tontoonstelling w Schweningen, znanem wielkiem kąpielisku morskiem tuż obok Hagi.

Tło dla tej wystawy wybrane idealnie: dużą, rojącą się czterdziestutysiącami gości z całego świata miejscowość kąpielową, tuż obok oficjalnej stolicy państwa, podczas równocześnie trwającej światowej wystawy w Brukseli.

W dużym, poważnym stylowo budynku mieści się znaczna pod względem ilościowym treść tej wystawy.

Na każdego z nas, przyzwyczajonych widzieć skromne co do technicznego urządzenia i pozbawione nieraz z konieczności kosztownej sukienki artystycznej, nasze wystawy w kraju, a nawykłych paść zazdrośnie oko widokiem zbytku, wystawionego na Zachodzie, wystawa holenderskiego „Volksbondu“ działa uczuciem lekkiej „Schadenfreude“.

Skromność, wskazana ideą organizacji, urządzającej wystawę, zaszła aż w granicę brzydoty, niemal prostactwa w zaaranżowaniu i ustawieniu okazów, brak zupełny choćby skromnej dekoracji, niezbędnej dla pokrycia nie zawsze artystycznych stołów, półek, przejść i t. p., a przede wszystkim pewna bezkrytyczność i nieco za daleko posunięty libera-



lizm w przyjmowaniu okazów, cechuje tę wystawę, nazwaną nieco za śmiało „międzynarodową“.

Gdybym był w parę dni później nie zwiedził wspaniałego oddziału niderlandzkiego na światowej wystawie w Brukseli i nie widział bogatego działu przemysłu ludowego i domowego Holandyi, prawdziwych arcydzieł smaku, linii i powagi twórczej w zakresie sztuki stosowanej, byłby mi po wystawie haskiej pozostał na długo niesmak i uczucie zawodu

Trzy czwarte okazów „huisvlijtu“ stanowią naiwne owoce bezmyślnego zabijania czasu, bez jakiegokolwiek cechy piękna, czy też artystycznej tradycji. Dużo jest tam mniej lub więcej udatnych okręcików żaglowych, wykonanych prawdopodobnie przez ojców rybaków dla ich grzecznych dzieci, zbyt wiele różnej wielkości i pierwotnego przeznaczenia flaszek, wyłowionych zapewne przez tychże samych rybaków z morza, wypełnionych znaną zagadką: domku, okrętu i t. p., czarodziejskim sposobem umieszczonego wewnątrz flaszki, pełno dywaników ze szmatek i odpadków kuśnierskich; w osobnym pawilonie na tle najlichszych malowideł, pozawieszanych na ścianach, produkuje jakiś maniak teatrzyk maryonetkowy, sklecony żmudnie w pięciu latach z gmatwaniny kółeczek i drucików, a mający przedstawiać sąd króla Salomona.

Pełno takich więcej niż naiwnych owoców pilnego próżnowania.

Ratuje honor wystawy kilka bardziej interesujących działów, między innymi n. p. wyniki agitacji na rzecz krzewienia pracy domowej w... koszarach. Bardzo ładne są wyroby ulubionego w Skandynawii i Niderlandach karbowanego snycerstwa; wystawił je I. pułk piechoty w Assen; interesujące są, wykonywane na wystawie w oczach zwiedzających barwienia tkanin systemem indyjskiej sztuki „batik“, okazy wyrobów dzieci murzyńskich w koloniach holenderskich, zbiorowe wystawy kilku zakładu sierót, klasztorów i jednej czy dwóch specjalnych szkół pilności domowej.

Międzynarodowość wystawy doznała bardzo skromnego poparcia przez udział jednej instytucji angielskiej: „Scottish home Industrie Association“ (hafty i słabe koszykarstwo), parę drobiazgów, nadesłanych przez jakąś uspołecznioną seniorem z Madrytu, kolekcję koronek austriackiego związku przemysłowo-domowej pracy kobiet w Wiedniu i więcej niż skromnych paru drobiazgów z Włoch i Japonii.

Czuć, że włożono za mało starań pod względem agitacji i reklamy na rzecz wystawy, której niezwykle szlachetny cel zasługiwał i u nas na zainteresowanie i udział.

Natomiast inna strona organizacji wystawy,



a mianowicie dział odczytów i konferencji na tematy, leżące w programie „Volksbondu“ i wystawy dopisał w zupełności. Niemal codziennie odbywa się na wystawie odczyt lub wykład którejs z powag w zakresie praktycznej polityki ekonomicznej z różnych stron świata. Ja trafiłem na wykład organizatora i sekretarza wystawy dra A. Bocka na temat: „Huisvlijt als Onderdeel van „On huis werk“ (Propaganda pilności domowej jako dział pracy towarzystwa „Mój dom“).

Dowiedziałem się mimo trudności językowych z interesujących wywodów prelegenta, jak ogromną wagę przywiązuje społeczeństwo holenderskie do rozkrzewienia zasady, że zdrowa, szlachetnie pojęta praca fizyczna jest znakomitem lekarstwem dla chorób duszy zbiorowej i powinna stać na pierwszorzędnym miejscu w spisie medykamentów dzisiejszej socjalnej medycyny.

Nie bez uczucia dumy narodowej pomyślałem, wychodząc z odczytu, że nasza Liga Pomocy przemysłowej dąży od lat kilku ku temu samemu celowi.

## Listy z Włoch.

### *Medyolan - Turyn.*

Zawsze zazdrościłem wyboru miejsca zamieszkania obywatelom okolic śródalpejskich — Bielaku (Villach) Tarvis, Celowca, itd. — Mają oni cudowne lato, śliczną śnieżną zimę — z jej wszystkimi nowoczesnymi rozkoszami zimowych rozrywek, a jak im dokuczy zimna plufa wczesnej wiosny lub późnej jesieni, siadają w przelatujący co pół dnia lepszy lub gorszy „express“ i w parę godzin, zrzuciwszy w marcu zarzutkę letnią, spacerują w kąpieli słońca, w atmosferze ciepła — woni i rozkosznych krajobrazów włoskiej Kampanii.

I mnie przychodzi chętką wysiąść na pierwszej lepszej stacyi za Pontebbą — by ogrzać się w tej boskiej aurze.

Na kilku stacyach za Udine spotykamy już obrazki rodzajowe z dzisiejszego życia Włoch. — Duch i ruch wojenny widać na każdym kroku. —



Tu grupa powołanych pod broń żegna się z płaczącymi małkami, żonami i dziećmi. Myny buńczuczne; któryś krzyknął; „a basso i turchi“! „Evviva Italia!“ powiewają kapeluszkami kalabryjskimi i czapkami, w stronę najbliższego z dziesięciu tysięcy pomników Garybaldiego na tej ziemi.

Chłopy obławowani pismami ilustrowanymi wykrzykują: „la guerra illustrata“! „fotografie della guerra! „ultime notizie“! — starsi kameloci kolejowi wywołują tytuły pism codziennych, które podróżni chwytają chciwie, czytają je, stojąc na stopniach wagonów, siedząc w przedziałach i dyskutują zaraz na temat ostatnich sukcesów wojny.

Mimowoli przejmuję mnie ta atmosfera wojenna i kupuję zapas bibuły. Dziewięć dziesiątych każdego dziennika zajmują sprawy wojny. „La situazione militare a Tripoli“ — „la prima scuola italiana inaugurata a Bengasi“; ogromnie szczegółowa kronika wojenna, naturalnie przedstawiająca operacje wojenne jako jeden szereg zwycięstw na nieszczęśliwych Turkach i Arabach.

Jest też i naśladownictwo tradycyjnego rosyjskiego „jednego kozaka“. Przeczytałem parę dzienników i przyszedłem do przekonania na podstawie wyczytanych cyfr, że wojna skończy się za parę dni, bo „il nemico“ zostanie tysiącami zmieciony i zginie z kretesem z powierzchni niegościnnych pustyń try-

politańskich. Trzeźwiejsi obywatele włoscy, z którymi w podróży rozmawiam, kiwają poważnie głowami i nie podzielają optymizmu prasy i kół rządowych.

To też rząd i partya wojenna nie szczędzi trudu i pieniędzy, aby podtrzymać zapał do wojny i polityki zaborczej w koloniach.

Tymczasem dojeżdżamy do Medyolanu. — Nie mogę wytrzymać, aby nie wstąpić do stolicy Lombardyi, słynnej nie tylko z przepięknego tumbu, naj-słynniejszej opery, wspaniałej galerii pasażowej, ale i z wielu innych pięknych, nowszych zdobyczy, odradzających się Włoch.

Co kilka lat zaglądam do Medyolanu w przejeździe i buduję się rozmachem, z jakim Włosi starają się okazać, że umieją szanować nie tylko stare pamiątki ery klasycyzmu, ale i stwarzać arcydzieła nowoczesnej kultury. Pod względem systemu budowy i regulacji miasta, urządzeń higieny życia miejskiego, Medyolan wiezie prym w szeregu wielkich miast europejskich, pod względem rozmachu przemysłowo-handlowego przeszedł w ostatnich latach najśmielsze nadzieje i dzięki temu Lombardya staje w przemyśle do konkurencji z Niemcami, Anglią i Francją. Imponującymi są wyniki na polu zużytkowania sił wodnych. Wszystkie wodospady, potoki i rzeki południowych stoków Alp ujęte zostały przez inżynierów i przedsiębiorców włoskich. Prawda, że liryzm



i poezya lombardzkiej „campagnii“ straciły przez po-  
ciągnięcie na wszystkie strony lasu masztów żelaz-  
nych i sieci drutów, niosących siłę stutysięcy koni  
na odległości dziesięcio i dwudziesto-milowe, ale  
za to miasta Lombardyi mają najtańszą siłę moto-  
ryczną dla swoich fabryk, najtańsze tramwaje, elek-  
tryczne automobile, elektryczne wyciągi w każdej  
kamienicy, itp. inne u nas tak drogo opłacane urzą-  
dzenia życia codziennego, coraz trudniejsze do osią-  
gnięcia dla przeciętnego śmiertelnika.

Kiedy już mowa o śmiertelności ludzkiej, to  
niech mi będzie wolno zwrócić uwagę zacnego dy-  
rektora tramwajów lwowskich, że w Medyolanie od-  
bywają się pogrzeby tramwajami elektrycznymi, nie-  
tylko bez żadnej ujmy, ale podobno z dużą korzyścią  
i ułatwieniem dla normalnego ruchu tramwajowego

Następny list rozpocznę od weselszego tematu.

### *Turyń.*

Któryś z ekscentrycznych lordów angielskich  
zażądał raz podobno od swego księgarza, aby mu  
do najbliższej podróży turystycznej, zamiast rozwle-  
kłych Bedekerów i innych obszernych „guide'ów“  
dostarczył przewodnika po całej kuli ziemskiej, w któ-  
rymby o każdej zasługującej na zwiedzenie okolicy

mieścił się opis... w jednym wierszu druku. Natural-  
nie księgarz nie mógł spełnić życzenia, bo takiej  
książki nikt jeszcze nie napisał — choć, biorąc rzecz  
na seryo, każda z okolic, każde z miast ma nietylko  
dla angielskiego pospiesznego globtroffera, ale i dla  
przeciętnego turysty jeden lub parę takich głównych  
„gwoździ“, których wzmianka starczy za wszystko  
inne. Są podobno turyści angielscy, którzy zwiedza-  
jąc np. po raz pierwszy Wiedeń, jadą prosto z po-  
ciągu do kościoła Augustynów, oglądają grobowiec  
dłuta Canovy, ów szczyt nastroju tęsknoty cmentar-  
nej, zaklęty ręką mistrza w marmur, i odjeżdżają  
z powrotem na kolej. W Turyńie taki sybaryta tu-  
rystyczny powinien pojechać prosto z dworca przez  
via Done strada di Moncallieri — wsiąść na ma-  
leńką funikularkę, przypominającą dziecinne kolejki  
i wyjechać za dziesięć centymów na Monte dei Ca-  
pucini, gdzie się znajdzie na słynnej Vedetta alpina.  
Takiej drugiej wspaniałej wachlarzowej panoramy  
Alp nie ma w Europie.

U podnóża wśród srebrnej wstęgi wijącego się  
w zakrętach Padu rozłożyło się jedno z najładniej-  
szych miast włoskich, zasiane setką kopuł wież,  
szczytów monumentalnych gmachów, kościołów i pa-  
łaców. Linie szerokich jak rzadko gdzieindziej bul-  
warów i ulic, wpadając w obszerne place, strojne  
w wspaniałe pomniki, a nad tem wszystkim hory-



zont dalszy, błękitnawy, wstęga lazurowego nieba, dopiero nad tą wstęgą jakby z mgły wyrasta fantastyczny, koronkowy wachlarz Alp, dołem szarawobłękitny, a dalej śnieżny, eteryczny, zlewający się niespostrzeżenie z nieskalanym błękitem nieba.

Można całymi godzinami stać i patrzeć na ten czarujący widok, łączący przedziwnie w jednej linii obraz niebotycznych, niedostępnych olbrzymów skalnych, skutych w mroźne pęta lodowców, wrażenie wiecznej zimy, ścinającego krew w żyłach chłodu, z tłem cieplarnianej aury, majowych woni i kąpiącego się w słońcu i barwach letnich ruchliwego miasta.

Na dłuższą parogodziną choćby wędrówkę po Turynie zostaje jeszcze dużo pięknych i interesujących rzeczy do zwiedzania. W każdym większym włoskim mieście, a więc i w Turynie jest naturalnie i Palazzo reale, każdy z nich to skarbiec muzealny — zacząwszy od ram klasycznej architektury, zachowanych ze szlachetnym pietyzmem, a skończywszy na arcydziełach sztuki włoskiej i sztuki całego świata, zbieranych przez udzielnych panujących, którzy mieszkali w tych zamkach przed zabraniami ich przez dynastję sabaudzką, ze znanstwem i rozrzutnością wschodnią.

Ilekroć patrzę na te istne magazyny białych kruków, bronzów, rzeźb, porcelany, na wagę dziś

już nie złota, ale na wagę prawie radium, tych Rubensów, Michałów Aniołów i Raphaelów, wiszących w pustych, zimnych zamkach, zamieszkiwanych przez rodzinę królów włoskich parę dni w roku, albo i rzadziej — mimowoli staje mi w oczach nasz zacny wiceprezydent Lwowa, dr. Rutowski, i jego dobry duch, dr. Czołowski. — Nie ręczę, czy jeden z nich, mimo wrodzonych zasad etyki — dobrego wychowania i kultury — gdyby tak można do zbiorów przyszłego Muzeum i Galeryi Lwowa... tak choćby jedno płócienko... jedną bagatelkę... choćby nie zaraz Monnę Lizę... Ale fe! odpędzam szatana pokusy i brzydkich myśli, i mijając Mole Antonelliana, bardzo ciekawy, bardzo wysoki (167 metrów), ale i nieładny zabytek średniowiecznej architektury — dawniej bożnicę, a dziś Muzeum miejskie mieszczący — jadę dalej automobilem doskonałej marki Italia, którego najżywotniejsze „tef“, „tef“, dziwnie odbija od atmosfery starożytnej tej części miasta.

Mijam most, naturalnie Wiktora Emanuela, bo we Włoszech, w każdym mieście, siedmdziesiąt rzeczy nosi imię odrodziciela i oswobodziciela zjednoczonych Włoch, i znajduję się na ciekawem cmentarzystwie — na cmentarzu stumorgowym, na którym Turyn pochował przed dwoma laty... swoją międzynarodową wystawę. — Żyła krótko, rok jeden, jak każda wystawa światowa; jaką była za życia, nie



wiem, bo na niej nie byłem, ale czem była, zanim na świat przyszła, i co po niej na ziemi zostało, to widziałem teraz. Arcyciekawy widok łachmanów i strzepów, jakie zostają na drugi rok po każdej najświetniejszej nowoczesnej sezonowej wystawie.

Owe wspaniałe pawilony, imponujące stylem, wielkością, liniami marmurowych ścian — błyszczące w nie wystawy orgią złocień i strojne w malowidła, nieraz naprawdę piękne i artystyczne, teraz oblaźle z gipsu szczerzą do ciebie ironicznie zęby, wystawiają cynicznie zioobra drewnianych szkieletów, skleconych na prędce i sztucznie ubranych ścian. Olbrzymia przestrzeń parku wystawowego, zasiana dwustu rozlatującymi się trupami takich pawilonów, z pomiędzy których niejedyn kosztował po milionie — nawet na mnie, pamiętającego pozostałości z naszej krajowej wystawy, zrobiła nadzwyczajnie przykre wrażenie.

Urządzajmy wystawy, bo one są doskonałym środkiem ożywiania pędu wszelkiej kultury, ale w interesie idei wystaw nie zostawiajmy długo po nich takich cmentarzysk, jakie można teraz oglądać w Turynie, albo stawiajmy na wystawy budynki trwałe i konserwujmy je starannie. Tak mamy zamiar postąpić na przyszły rok we Lwowie, stwarzając staniem miasta pałac kryształowy dla przyszłorocznej wystawy miast i dla przyszłych innych wystaw.

*Quod felix, faustum, fortunatumque sit!*

### *Turyń - Genua.*

Nie całe Włochy mają klimat włoski, tak, jak nie wszędzie w Afryce można piec jaja na piasku rozpalonym w słońcu. — Kiedy w Wenecyi uroczą donna spaceruje po piazza San Marco w koronkowej chusteczce, jej niedaleka sąsiadka z okolic między Turynem a Genuą — ziębnie nawet w futrze w wagonie kolejowym, pędzącym nas przez pasmo gór, oddzielających Liguryę od Sabaudyi i Lombardyi. — Za to Genua, a zwłaszcza jej południowe okolice mają już klimat szczerze południowy i tu zaczyna się ów raj ziemski słońca, lazuru nieba, fiołków i innych rzeczy, na których wzmiankę i Tobie kochany lwowianinie robi się cieplej, mimo śniegu i chłodu marcowego.

Nie lubię Genuy za jej brzydki, ciasny wjazd koleją wśród brudnych kamienic, którym mimowoli zaglądać muszę z okna wagonu w najmniej poetyczne wnętrza i ubikacje, — nie lubię jej za to wszystko, co ma wielkie miasto portowe, za gwar, ścisk, brak kultury w zachowaniu się przechodnia, za tę więcej szarą niż barwną gmatwaninę ras, języków, upstrzoną tłumem postaci więcej niż podejrzanego wyglądu, — włóczęgów całego świata, wy-



sypanych z wnętrza jakiegoś oceanowego transportowego parowca na bruk genueński.

Zostają na nim — bo się mieszają bezkarnie w tłum różnobarwny — zlewając się z nim niespostrzeżenie.

Genua to wielkie zlewisko towaru wszelkiego rodzaju i gatunku.

Temu przypisać należy może, że nie wielu podróżujących dla przyjemności, dla zdrowia na południe — na Riwierę — wstępuje nie na dłużej, jak od pociągu do pociągu do Genuy.

Tym razem przemogłem w sobie niechęć i wstąpiłem do metropolii włoskiego handlu i ruchu morskiego i to na kilka dni. — Nie żałuję trudu i czasu, bo poznałem także piękne strony stolicy Liguryi a ma ich jednak sporo.

Ze wzgórza ogrodu zoologicznego u stóp klasztoru Kapucynów spojrzałem na szare morze domów o charakterystycznych popielatych dachach — wśród których odbijają trzy złocone bizantyńskie kopuły nowej olbrzymiej giełdy, — świątynia przeznaczona dla bożka Mamony dodała blichtrowej barwy temu morzu szarego kamienia i marmuru. Porównawszy panoramę, widzianą z góry z planem miasta, rozpocząłem wędrowkę. Genua ma śliczny nieduży placyk „*Agua verde*” tuż obok dworca głównego, ozdobiony ładnym pomnikiem Kolumba, który

się tu urodził, stąd ciągną niedługie, wąskie główne ulice *Via Balbi*, *Via Roma* i *Via Garibaldi*, przechodzące od placu di Ferrare w wspaniałą nowoczesną szeroką ulicę *Venti settembre* — złożoną z szeregu sześciopiętrowych olbrzymich pałaców, hoteli i t. d.

Ulica ta, to prawdziwie szczyt kultury wielkiego miasta. Po obu stronach na długości kilometra ciągną się podziemia arkadowe, sięgające drugiego piętra. Posadzka w tych podziemiach, dających pyszne schronienie w deszcze — marmurowa, plafony mozaikowe albo z rzeźbionych snycersko boazeryi, a w wielu pałacach malowana fresko przez niepoślednich widać malarzy. — W arkadach tych mieści się po obu stronach pięćset sklepów o szybach olbrzymich, portalach wspaniałych i towarach „*sans réproche*”. Naturalnie kwiaty, biżuterie i słodczyce, ułożone i wystawione z paryskim smakiem, dominują nad innymi towarami.

Na jednej ulicy w trzydziestu miejscach bije łuna świateł reklamowych trzydziestu kinoteatrów.

Zachorował Lwów na kinoteatry, bo ich ma może o dziesięć za dużo, ale chyba Włosi dostali szału ostrego tej manii. Trzy czwarte ludności Włoch je, odpoczywa, marzy, słowem żyje — może i nocuje w kinematografach. — Naturalnie na dziesięć punktów programu — ośm ich podaje temat „*la*



guerra italo-turcha“ w najróżnorodniejszej odmianie i rodzaju. Nawet prawdziwe bitwy, zdjęte podobno na gorąco, można tam oglądać. Sąsiad mój z jednego z takich przedstawień zaręczał mi nawet, że rysa, widoczna na filmie, pochodzi od kuli arabskiej, chciałem go spytać, czy od armatniej, ale bałem się urazić uczucie pałtryotyczne pocziwego garibaldiczyka.

Podobno rząd daje subwencje kinoteatrom, przedstawiającym zdjęcia z Trypolisu — zwłaszcza te, które podają wierny obraz różnych troskliwych urzędzeń i dobrodziejstw kultury włoskiej, zaszczerpanej armatami w Trypolisie, a więc budowę szpitalów, kolei, opiekę nad dziećmi i t. p.

Na uczucie pałtryotyzmu wojowniczego oddziałują także różne wzruszające sceny pożegnania odjeżdżających na pole walki oddziałów, pogrzeby poległych bohaterów i t. p. Minęły widać czasy powstawania nastrojów wojennych na sam odzew: „do broni“ — i wojna domaga się żywszej reklamy, plakatu, komiwojażerów i t. p. — wszystko się komercyalizuje na świecie i polityka zaborcza ima się tych środków niezgorzej od bankiera zachwalającego nową emisję akcji.

Najbardziej interesującą stronę Genuy stanowią jej wspaniałe galerye obrazów, mieszczące się w dwóch pałacach na Via Garibaldi, a to w Palazzo rosso

i Palazzo bianco, ofiarowanych miastu przez prawdziwą dobrodziejkę Genuy, księżnę Galliera markizę de Ferrara z domu hrabinę Brignole sale. Prócz kilku tysięcy arcydzieł starych mistrzów i nowszych dzieł malarzy całego świata, mieszczą te muzea bogate zbiory prześlicznych cennych przedmiotów sztuki w drzewie, brązie, ceramice i t. d.

Księżna Galliera prócz tych muzeów ofiarowała miastu dwanaście innych pałaców na szpitale, domy przytułku, szkoły, mąż jej, ks. Galliera dał kilkanaście milionów lirów na budowę nowego portu handlowego w rodzinnem mieście. Dała im coprawda Opatrzność dużą widać fortunę, ale też i nie poskąpiła szlachetnych porywów współczucia dla potrzeb swego społeczeństwa. Syn tej rzadko ofiarnej pary, choć właściciel sporego jeszcze majątku, pozostałego mimo hojności rodziców, obrał zawód poważny i jest profesorem literatury i języka włoskiego w uniwersytecie w Paryżu.

Wreszcie nie mniej interesującą specjalność Genuy stanowią przepyszne klatki schodowe w kilkudziesięciu starszych pałacach tutejszych pałtrycyuszów, budowanych w czasach, kiedy Genua była niezależną rzecząpospolitą i konkurowała skutecznie z Wenecją, swoją rywalką na morzu.

Najładniejsze klatki schodowe widziałem w Palazzo Durazzo-Palavicini, istną zagadkę techniki,



olbrzymie schody z jednolitego marmuru o śmiałej, rzuconej przez trzy piętra linii łukowej, bez żadnego filara lub podpory.

Podobno właściciel pierwszego pałacu, mimo zaręczeń architektki, przez całe swoje życie nie bez lęku stapał po stopniach tych schodów.

Mineły setki lat, ów magnat genueński dawno w grobie, a schody stoją dumne i piękne.

### *Fiesole, 18. marca.*

Czy to tylko uprzedzenie do krajowej zimy, do kapryśnego klimatu wodnisto-lodowato-błotnistej aury naszej, czy też naprawdę w naturze naszej budzić się zaczynają atawistyczne reminiscencye i tęsknota za utraconym rajem.

Faktem jest niezbitym, że coraz więcej i częściej uczuwamy długość zimy i coraz częściej marzymy o ucieczce pod słoneczne niebo.

Towarzystwa akcyjne dla urządzania europejskich podróży powietrznych będą mieć, za to można ręczyć, dużą klientelę z pośród mieszkańców naszych dzielnic, o ile zobowiążą się przenosić nas prędko i nie drogo n. p. z lwowskiego Wysokiego Zamku na Lido, nad brzegi Lago di Garda, lub gdziekolwiek w tutejsze strony. Dziś to trwa jeszcze

za długo, mimo niezłych „treni direttissimi“ i „treni di lusso“, pędzących z granicznych stacyi włoskich przez równiny Lombardyi, Toskany ku coraz cieplejszym okolicom włoskiej ojczyzny.

Od szeregu lat próbowałem o tej porze t. j. w pierwszej połowie marca, szukać na południu słońca i ciepła. Ma się go dużo na francuskiej Riwierze, ale to ciepło podane w obramowaniu banalnego blichtru, w otoczeniu, przypominajacem na każdym kroku buduar paryskiej kokoty, zbrzydnie wnet najmniej pruderyjnemu podróżnemu.

Najlepsze nawet perfumy tracą wartość miłej woni. jeśli się człowiek zacznie dusić w apłecznym melanzu dwustu, naraz podanych rozmaitych zapachów. Bardzo dużo słońca, rozkoszne ciepło, suche, bez kropli deszczu ma się o tej porze jedynie nad brzegami Nilu. Tam zreumatyzmowany i zgichtowany organizm prażyć można aż do idealnego skutku, ale jazda tam niestety długa i kosztowna; do Sycylii na rozkoszne brzegi zatoki mesyńskiej także nie dużo bliżej, więc dla szukających ciepłego klimatu bliżej zostają albo miasta nad morzem, albo jeziora włoskie.

Nad temi ostatniemi marzę już jednak nawet w kwietniu, i nie dowierzałem już tak łatwo czarującym obrazkom przekolorowanego nieba na reklamowych prospektach.



W tym roku wybrałem Florencję na dwutygodniowe wygrzanie się po zimowych wędrówkach i postojach w więcej niż chłodnych salach rozmaitych moich zawodowych rozrywek sezonu zimowego. Wybrałem Florencję także i dla jej znaczenia w przemyśle domowym.

Florencya jest kolebką i siedliskiem najstarszem kapelusznictwa słomkowego w Europie, a że wkrótce zacznie się we Lwowie nowa serya kursów pleśnictwa słomkarskiego i wyrobu kapeluszków letnich, więc chciałem niejedno podpatrzyć tutaj i jak się da, przenieść na teren naszej pracy.

Od wczoraj rana dziękuję Opatrzności za ten projekt i możliwość jego urzeczywistnienia.

Przedpołudnie spędzam w mieście, zwiedzam fabryki, kantory, pracownie, dla odmiany, aby duch nie zmarniał, w atmosferze „businessu” wpadnę do „palazzo Pitti” lub do Uffizii”, aby spojrzeć na któreś z arcydzieł, na Madonnę della Sedia, na Floreń Ticianą, na portret Madame de Vigér Lebrun i t. p. a popołudnia całe spędzam w istnym morzu słonecznej kąpieli na werandzie „d'albergo Aurora” w rozkosznej Fiesole.

Mam przed sobą bajeczną panoramę toskańskich dolin, przeciętych srebrną wstęgą; to Arno wiję się wśród wzgórz zielonych, aby w ciasnym sztucznym korycie minąć co prędzej filary „ponte

Vecchio”, rozwinąć znów za miastem swoje ramiona i objąć niemi bujną i szmaragdową już kampanię.

Do drugiej stronie mam smukłą kampanilę tujszego kościółka w otoczeniu smętnych cyprysów, dalej w górze sylwetę klasztoru Franciszkanów, w którym w tej chwili dzwonią na wieczorne pacierze.

Mam otoczenie różnorodnych turystów, zmieniających barwą strojów, krojem toalet i kolorytem zachowania się tło chwilowych obrazków, jak w panoramie. Opodal pod murem siedzą dwie zakonnice w popielatych habitach. Przed nimi leżą koronki i hafty, przyniesione tu z jakiegoś pobliskiego klasztoru. Na pozór zatopione w trzymanyh w rękę modlitewnikach, nie tracą z oka mimo to nikogo z przechodzących; naturalnie najwięcej oglądają te roboty sierót i ochronek Niemki, a najczęściej kupują Francuzki, Angielki smukłe snują się dostojnie wśród nas: poznać je z daleka po kolorycie toalet, po Bedekerach, odbijających od szarych sukien czerwonymi plamami. U podnóża wzgórz, na których leży Fiesole, wiję się serpentyną linia tramwaju; jak zwinne jaszczórki pokazują się na niej i nikną na zakrętach małe pociągi, wiozące tutaj ciągle nowych turystów. Pomiędzy dłuższymi i powolniejszymi robakami pociągów elektrycznych przemykają się zwinne automobile, ledwie dolatujący tu do szczytu



góry odgłos ich pędni, jak trzepot skrzydeł chrząszcza, potęguje złudzenie, że to latające po ziemi owady.

W tej chwili prawdziwy bąk zabrzęczał mi koło nóg w trawie. Jak tu ciepło! ile tu słońca!

Codzień przed odjazdem z powrotem do miasta zaglądam do leżącego, tuż obok ryneczku fiolskiego, lokalu miejscowej nieustającej wystawy wyrobów ze słomy; to „great attraction“ dla każdego tutejszego turysty i turystki, dla mnie temat do rozmyślań nad rozszerzalnością pomysłowości i pracowitości ludzkiej.

Tysiąc przedmiotów ze słomy, a każdy inny — jeden piękniejszy od drugiego. Sceptyk lub wierzący tylko w trwalsze, bardziej materialne twory ludzkiej ręki, kiwałby lekceważąco ręką i powiedziałby ze wzgardą: słoma, słoma i słoma, a do mnie mówią te dziwy pomysłowości i cierpliwości tokańskiej robotnicy głosem innym, i wołają: praca, praca i jeszcze raz praca!

Szczegółom tej wystawy i tego interesującego odwiecznego przemysłu domowego Toskanii poświęcę w tych dniach osobny list.

### *Florencya, w marcu 1913.*

Jesteśmy u początku wielkiego tygodnia; w bazylice S. Lorenzo wspaniały orszak prałatów i kanoników, okrytych narzuconemi na fiolety futrzanemi pelerynami z tradycyjnemi palmami oliwnymi w rękach, zaczął już szereg wielkopostnych procesyi.

Ciepłe promienie wiosennego słońca przekradają się po przez barwne witraże okien kościelnych skrząc się tęczą migotliwą na kamieniach szlacheńskich w pierścieniach biskupów i kosztownych oprawach mszałów i psalterzy.

Gałązka palmy oliwnej „ulivo benedetto“ nastroja duszę na ton pokutny, a mimo to, a może właśnie dlatego, myśl zwraca się mimowoli sześć wieków wstecz, ku tym bujnym, błyskotliwym czasom, w których te same mury bogatej, ludnej Florencyi, zawsze żadnej piękna w każdej jego postaci, rozbrzmiewały w pierwszych dniach wiosennych gwarem szalonej wesołości i zabawy.

Myśl i pamięć wraca na przekór nastrojowi wielkopostnemu ku opisom tłumnych, barwnych karnawałów florenckich z czasów Medyceuszów.

„Il carnasciale mediceo“, to dla Włocha dzisiejszego jeszcze ten sam niezmienny synonim szlachetnego napięcia nastroju karnawałowego na naj-



wyższy ton aryzmu, sztuki bawienia tłumów przez panującego, dbałego o codzienne szczęście swego ludu, to pojęcie szlachetnego epikureizmu zabawy.

Lorenzo il Magnifico, uwielbiany przez lud swój tyran, artysta, filozof, epikurejczyk i niezrównany mecenas sztuki, do walki z niszczącym jego dzieło artystyczne mnichem, rzucającym klątwę na lud i księcia za ich żądę coraz to nowych zabaw i rozkoszy, — do walki z porywającym słowem natchnionego ascety — wysyłał w dniu zapust coraz to piękniejsze, coraz wspanialsze „carro carnealesco“ wozy symboliczne, kapiące od złota, strojne w żywe kwiaty, hodowane w olbrzymich cieplarniach, wozy, w których tonały w bukietach róż postacie najpiękniejszych kobiet. Najpiękniejsza muzyka, śmiech i zalotne spojrzenia, rzucane w tłum, dopełniały nastroju wesela i uciechy.

„Arante bella giovinezza  
Che si fugge tutta via,  
Chi vol esser lieto, sia,  
Di doman non c'è certezza!“

Taką pustą i swawolną piosenką inaugurowano pochód karnawałowy po ulicach Florencji ówczesnej.

Równocześnie z piorunującym, do pokuty i abnegacji nawołującym słowem Savonaroli odzywać

się zaczyna wśród tego gwaru zabawy z innej strony zgrzyt sceptycyzmu, ponure szmery opozycji przeciw rządowi pieszczącego swój lud despoty. — Nicolo Machiavelli zaczyna psuć nastrój zabaw i uciech, czuć w tłumach początki wrzenia i groźne pomruki.

„Se il popolo mangia e ride, non si rivolta“, filozofuje Lorenzo, i z tem większym przepychem, z tem większą rozrzutnością urządza swojemu ludowi coraz huczniejsze i tłumniejsze karnawały, z tem większym zapałem podejmuje dzieło odrodzenia sztuki z więzów martwego zimnego klasycyzmu.

Najlepsi malarze, architekci i rzeźbiarze dostarczają pomysłów i wykonują szczegóły techniczne tych karnawałowych uciech, poeci piszą pieśni a muzykom sam Lorenzo podaje tematy wesołych piosenek.

W czasie najhuczniejszej zabawy książę esteta schodzi ze swego wspaniałego pałacu przy „via Longa“, miesza się w tłum masek, sam śpiewa piosenki swawolne, a rozweselony parafrazuje nawet ustępy z uwielbianej przez się Boskiej Komedyi, transponując jej ponury ton na melodyę pustoty i wesela.

Na złowrogie wyrzuty lekkomyślności i rozrzutności pieniędzy na tę szaloną zabawę, lud odpowiada śpiewką:

„E chi vuole ogni cosa abbia denari!“



Z domów rodzicielskich wymykają się dziewczęta porwane wesołości tłumnego orszaku, nucąc na swoje usprawiedliwienie:

„Perche tenerci ognor tanto serrate?”

W ślad za nimi i studenci umieją wysliznąć się z zaklasztornej klauzury, aby połączyć się z orszakiem karnawałowym i śpiewają pod adresem swoich rówieśniczek:

„Lasciando ir lo studio e suo' dottori  
„Attenderemo a far con voi gli amori!”

Młodzi i starzy, — biedni i bogaci łączą się w szalonej ucieście i wesołości, — której tło pozostawało zawsze w sprawie estetycznej, piękna barw, gestu szlachetnego i harmonii.

Przyszły potem inne czasy, spiski i rewolucje domowe zniszczyły spokój i dobrobyt miasta, wojny przegrane podkopały wolność, Florencia stała się z udzielnej republiki — kością gry politycznej, rzuconą z ręki do ręki, a wreszcie pojęciem geograficznym w morzu jednolitej wielkiej Italii. — Dawne karnawały florenckie przeszły do pięknych wspomnień, do tradycji i już więcej nie odżyły.

Lud tutejszy z dumą mówi o tem, że karnawały medycejskie, to co innego, niż błazeńskie cyrkowe szopki, wskrzeszone sztucznie, spędzane pod

przymusem, za marną zapłatę dla ubawienia gości hotelowych w Nizy, Wenecyi i w Rzymie, „per far guadagnare gli albergatori”!

Florenckie „Carnasciali“ z czasów medycejskich, to coś o wiele lepszego, to fragment z historii sztuk pięknych, to urywek z dziejów odrodzenia.

Ten sam zmysł kultury artystycznej, który nabrał te zabawy na ton wyższy ponad przeciętną uliczną swawolę, który tworzył na ich cel śliczne melodye, lekkie, ale pełne finezyi wierszyki, malownicze i pełne gustu obrazowe alegorye, pochody i grupy, ten sam ogólny polor estetyczny stworzył w owym czasie niedoścignione później nigdzie i przez nikogo arcydzieła poważnej sztuki, dla których obejrzenia ściągają tutaj corocznie tysiączne rzesze głodnych stawy duchowej turystów z całego świata.

Florencia miała zawsze w swoim zachowaniu się gest artyzmu i ukochania sztuki, dlatego historia rozwoju malarstwa, rzeźby czy architektury, wracać musi co krok do dziejów tego sanctuarium sztuk pięknych, do zbiorów tutejszych, do pałaców niezrównanych Ricardich, Pittich, do przebogatego Bargello i t. d.

O każdej rzeczy pięknej, o każdej zwłaszcza pamiętacie z czasów, kiedy ludzi stać było na tworzenie rzeczy artystycznych, bez względu na koszt jej materiału, na koszt użytego czasu, nie można



mówić bez refleksji na temat całkiem prozaiczny, na temat pytania: co to kosztowało, jaką to dziś przedstawia wartość?

O nieobliczalnej wprost monetarnej wartości zbiorów florenckich można nabrać pojęcia, zestawiając ceny, płacone przez muzea amerykańskich miliardów za okruchy arcydzieł „wykradanych” z Włoch przy użyciu największych wysiłków z powodu bardzo ostrego od kilkunastu lat ustawodawstwa przeciw wywożeniu dzieł sztuki, z wartością jednego tylko choćby salonu w jednej z tutejszych galeryi czy muzeów.

Tak n. p. sławna „camera d' argento”, skarbiec w Palazzo reale, zawierający kilkadziesiąt przedmiotów szczerozłotych: relikwiarzy, waz, kielichów, a między innymi pięćdziesiąt koszów złotych na owoce Benvenuto Cellini'ego, roboty Donatelli'ego, Gian Bolognii i t. p., przedstawia podobno wartość pół miliarda franków.

Ile naszym szlachetnym twórcom polskich muzeów trzebaby „flustych” budżetów krajowych, aby zebrać się na kupienie choć „dziurki od klucza” takiej jednej florenckiej camery. Niestety, schodzimy zawsze na poziom tej samej kwestyi: „najpierw dobrobyt, a potem kultura!”

## Z wycieczki w okolice Florencji.

*Marzec, 1913.*

Florencja leży w malowniczej dolinie, o bujnej, wspaniałej roślinności; dolinę przecina lśniąca do słońca srebrem i opalem wstęga rzeki Arno.

Dokoła miasta, rozłożonego na dużej przestrzeni, dzięki rozumowi przodków, którzy chcieli potomkom oszczędzić trudów stwarzania osobnych miast ogrodowych i przetkali miasto tysiącami małych i większych ogrodów, kilkoma tysiącami morgów placów szerokich, zadrzewionych ulic (t. zw. viale w odróżnieniu od większych ulic „via”), winnic i plantacji publicznych, rozsiadły się malownicze wzgórza, zasiane miniaturowymi miasteczkami i wsiami.

Każde wzgórze za miastem ma swój urok odrębnej malowniczości, ma odrębny charakter, a składa



się nań oprócz odrębnej konfiguracji terenu, różnorodność panoramy, stworzonej ręką ludzką przez budowle malownicze, prawie nigdy banalne, przez gaje i aleje cyprysów, pinii, przez spokojny ton murów, wdzięczne linie okratowań ogródków, starych cmentarzysk i zaniedbanych, ale tembardziej malowniczych pałaców, will i t. p.

Dzięki temu nie może się nudzić we Florencji nawet ten, kto syt rozkoszy obcowania ze sztuką i jej przebogatymi zbiorami, — chce odetchnąć pełną piersią, powietrzem tokańskiej kampanii, bo ma w każdej stronie miasta, śliczne widoki i dłuższe lub krótsze, bliższe i dalsze wycieczki.

O częstych moich wycieczkach do Fiesole, o przepysznej panoramie ze szczytu tego wzgórza i z któregokolwiek punktu tej miejsciny cichej i pracowitej pisałem już.

W ostatnich dniach poznałem kilka innych, bliższych i dalszych okolic miasta. Nie widziałem brzydkiej, nieinteresującej, wszędzie mi spływał w duszę jakiś błogi spokój, urok ciepła, słońca, woń kwitnących gajów i wrażenie bogactw, jakimi przyroda tujejsza darzy mieszkańców tej ziemi.

Tramwajem wyjeżdżam za miasto, mijam monotonne, koszarowe dzielnice fabryczne, wąskie, szare, bezbrzeżnie długie uliczki, w których widnieje szarzyzna bytu i życia proletaryatu, mijam szeregi

ogrodów, winnic, dalej dzielnicę willową i w pół godziny staję w małej mieścinie, graniczącej z przedmieściami Florencji, w Galuzzo.

Wczesne poobiedzie, mieścina drzemie, praca w domkach słabnie o tej porze, ruch na ulicach mały, tylko kobiety, siedzące grupkami na chodnikach i w sieniach domów zajęte pilnie ręczną robotą. Wszystkie robią to samo. Za fartuszkciem zgrabnie wpięte wązkie, cieniutkie, żółte słomki; co sekundę niemal chwyta robotnica jedną słomkę, aby ją wpleść z bajeczną wprawą i zgrabnością w plecionkę wążutką, przerabianą w rękach. Kilkadziesiąt wsi i miasteczek tokańskich żyje do dziś dnia z wyrobów tych florenckich plecionek, tych „trecci“, z których szywa się następnie w fabrykach kapelusze słomkowe.

Staję co parę kroków i podglądam robotnicom na ręce. — Niema mowy o dojrzeniu ruchów, a tem mniej o możliwości uchwycenia techniki tej pracy.

Pięćset lat wieku liczy ta gałąź przemysłu domowego w Toskanii.

Dziewczynka trzyletnia już uczy się od starszych sióstr, a w dziewiątym roku już jest wyborną „trecciaiola“. Trzy czwarte każdego dnia przez większą część roku pracują tak kobiety na świeżem powietrzu, na ulicy, w polu, w czasie wolnym od zajęcia na roli.



Jakież to błogosławiony jak i zdrowy fizycznie i moralnie przemysł, który pozwala kobietom zarabiać lekką pracą, prawie zabawką, w słońcu, na powietrzu, bez opuszczania ogniska domowego.

Wyszedłem za miasto, skierowując się w stronę rysującej się ostro na widnokregu sylwety klasztoru w Certozie.

Kręcym, bielejącym od kredowego pyłu gościńcem, minąłem ostatnie domki Galuzzy, spotykam ciężkie dwukołowe woły, silne, zbudowane na dzieścikroć większe ciężary od naszych chłopskich wózeków podlwowskich, a ciągnięte przez niedużego konika, lub muła, dzwoniącego za każdym ruchem głowy od napastliwej muchy; słońce świeci przepysnie, śląc ziemi ożywcze ciepło, tchnienie pierwszej wiosennej miłości wszechzycia.

Za chwilę jestem u podnóża góry klasztornej. Zbliżam się do furty, w której pokazuje się niebardzo zapraszająco na mnie spoglądająca, dobrze wiekowa postać niewieścia.

Proszę o otwarcie bramy.

— „No signore qui l'ingresso proibito! Bisogna dimandar permissione dell'altra parte“.

Poddaję się niewygodnemu wyrokowi i pnę się w górę ku drugiej bramie z wiarą, że będzie dla mnie łaskawszą. Tymczasem spoglądam na kontury klasztoru, odbijające szarą gmatwaniną murów, wy-

kuszy, loggii, zamkowych baszt od nieskalanego błękitu nieba.

Od strony południowej i zachodniej cały kontur budowli klasztornych poszarpany w kilkadziesiąt wieżyczek i małych baszt. Każda baszta o dwóch miniaturowych piąterkach tworzy dla siebie całość wraz z ogródkiem, uczepionym na kształt ptasiego gniazda w jej zagłębieniu. To mieszkania mnichów, Kartuzów, jednej z najsurowszych reguł zakonnych. Stromą drożyną, wijącą się wśród murów, dostaję się wzdłuż nużącej monotonią długiej alei — do drugiej bramy. Dowiaduję się, że tędy wejście właściwe dla pielgrzymów, tamto dolne dla wozów. Nastrój gniewny, w jaki wprowadza mnie ta niewiele tłómacząca informacja, ulatuje z chwilą, gdy pogodna twarz sędziwego zakonnika ukazuje się w bramie i sympatyczny starzec ofiarowuje mi się z całą uprzejmością za przewodnika.

Idziemy małą grupką, bo pod murem przyłączyła się do nas strwożona niezwykłym miejscem i obawą niewpuszczenia za mury klasztoru para suchych, niemłodych Angielek.

Mimo surowej reguły kobietom w towarzystwie mężczyzn wstęp dozwolony. Wchodzimy w głąb zimnych, posepnych murów, kroki stukają głuchym echem, odbijając się o sklepienia krętych kruzganków.



Mijamy mały ogródek i stajemy w drzwiach kościoła. Cisza. Głos zakonnika, objaśniającego nam historię klasztoru, kościoła, rzeźb i obrazów, suchy, monotonny, postać starca o długiej, siwej brodzie, spływającej po białym jak śnieg habicie, dostraja się do tej ciszy. Stąpamy cicho po lśniącej posadzce z ciemnego marmuru; małe okna, umieszczone wysoko pod sufitem, rzucają tylko skąpe światło do nawy kościelnej. W półcieniu wyrastają kontury wielkiego ołtarza, wspaniałe stalle, z ciemnego dębu figury świętych, obrazy zszarzałe w ciągu wieków.

W posadzce, na płytach z brązu i marmuru płaskorzeźby, przedstawiające figury spoczywających pod nimi dygnitarzy zakonu i rycerzy, zasłużonych w obronie klasztoru przed wrogami. Kościół otoczony labiryntem kaplic, nisz i krużganków. Idziemy dalej. Nie spotykamy żywej duszy. Angielki, mimo wrodzonej odwagi, przysuwają się do nas bliżej. W jednej z kaplic bocznych otwiera się za filarem jakieś tajemnicze wejście — staruszek spogląda pytająco na nas, czy zechcemy zejść do podziemi, — śnać nie wyglądamy mu na żadnych głębszych wzruszeń. Schodzimy po niewygodnych schodach w dół, tracimy resztę światła, ogarnia nas zimny półcień, potem zupełny zmrok i zaledwie po chwili oko może dojrzeć szereg sarkofagów i wnęk, w których leżą

od setek lat pobożni wyznawcy tej ascetycznej reguły klasztornej.

Tu już nie cisza, ale martwość podziemia, grobowy bezdźwięk, świątynia mroków, przybytek spokoju i prawdziwie wiecznego odpoczynku w grobowcach, usuniętych w dal od wszelkich marności świata i ludzi. O ileż tu ciszej i spokojniej, aniżeli na ludnych cmentarzach wielkich miast. Z zadumy budzi nas starzec, potrząsając pękiem kluczy; idziemy dalej — w jednej z kaplic na płycie grobowej czytam napis: „Poniałowski“ „C'era un benefattore d'el convento“ — objaśnia mnie zakonnik, widząc zajęcie moje tą płytą; nie zdradzam mu, co to nazwisko mówi w tej chwili do mnie.

Mijamy długi korytarz i stajemy w dużym, czworobocznym ogrodzie, otoczonym prześliczną kolumnadą z szarej „pietra serena“. Na środku studnia w ogrodzie wśród cyprysów; kwiaty, to jedyna barwa i jedyne objawy życia wśród tej pustelni.

Z arkadowych krużganków, biegnących dookoła ogrodu — kilkadziesiąt drzwi prowadzi do tyłuż cel zakonnych. Staruszek otwiera nam jedną. Łóżko twarde, zasłane workiem wiór drzewnych, stolik marny, krzeselko słomą wplecione, kłęcznik i krzyż na ścianie, to całe umeblowanie.

Z celi prowadzi korytarzyk ku murom zewnętrznym, zakończony małą basztą. W tej baszcie sze-



rokie okno z cudownym widokiem na dolinę Arna i błyszczące w zachodzie słońca krzyże wież kościołów Florencyi. — Posadzka w tym korytarzyku wydeptana, ściana pod oknem starta od habitu modlących się tutaj codziennie braci zakonnych. Staję w tym oknie, zatapiając wzrok w dal. Jak przepyszny kontrast; w obramowaniu zimnych, martwych murów klasztornych maluje się w dali, jak obraz z bajki, czarowna, różowo-złota panorama barwnych wzgórz, otaczających lśniąca w zachodzącym słońcu koronkę Florencyi. Jak wymarzone tło do dumań ascetycznych nad marnościami świata i jego pokus.

Mimo to czas wrócić do tych marności, — bo i one mają swój urok.

### *Florencya, w marcu.*

Kwiat lilii szkarłatnej ma w herbie to miasto ukwiecone, kwitnące, bo kwiatem szkarłatnym było przez długie wieki dla narodów, pragnących ukonienienia na łonie sztuki i chcących dotknąć ożywczego źródła prawdziwego piękna ustami zeszlęmi od szarzyzny życia i walk codziennych.

Sam urok, wspomnienie przykuwało serca wędrowców ziem dalekich do murów jej.

„Come per fame uom' s'innamora!“ tak sławi tę

ukochaną, choć utraconą ojczyznę, największy jej syn, Alighieri.

Minęły wieki, setki potęg ludzkich, geniuszów berła, miecza, pióra, pędzla i dłuta, przeszło przez historię świata od szczytów władzy nad umysłami ludzkości aż do upadku w proch zapomnienia, a takie świątynie piękna i harmonii. jakim jest to miasto kwiatów, świecą tym samym blaskiem w ciemnych odmětach dziejów przeszłości.

„Firenze e partuto“ mówią z dumą jej obywatele, a mają prawo do tej zarozumiałości, bo niema na świecie muzeum bogatszego, niema galeryi szanującej się, niema wielkiej ksiąźnicy, przechowującej z pietyzmem arcydzieła średnich wieków, gdzieby nie było choć okruchów myśli, choć kilku śladów ręki wielkich talentów, urodzonych lub dojrzałych w tych średniowiecznych Atenach sztuki i nauki.

Jak ciekawe pole do studyów nietylko na temat historii samej sztuki, nietylko dla dziejów architektury, rzeźby, malarstwa i sztuki stosowanej przedstawiają zbiory i pamiątki zezaurowane w niezrównanie bogatych muzeach, galeryach i pałacach tego miasta!

Jak interesujące badania związków przyczynowych między przejawami ustrojów społecznych i polityczno-prawnych, a rozwojem sztuki i nauki w dziejach tutejszej republiki. Jak oryginalne światło pada



na zagadnienia co do wyższości różnych form rządzenia się państw i narodów ze świeczników, którymi epoka możnych, a nie zawsze w dzisiejszym tego słowa znaczeniu kulturalnych Welfów, Gibellinów i Medyceuszów oświecała drogi swoje; te same krwawe pochodnie przyświecały przy narodzinach geniuszów: Petrarcki, Brunelleschi'ego, Giotto'ego, czy Galileusza, którymi podpalano stos przy całopaleniu zwłok na śmierć za ideę umęczonego Savonaroli.

Ci sami genialni w odczuciu i zrozumieniu wartości piękna i sztuki dla szczęścia ludu Cosima de Medici, Lorenzo il Magnifico, czy inni tej generacji, pieszczący swój lud aksamitnem otoczeniem tworzonych za ich zachętą i przy ich poparciu arcydzieł, równocześnie z niemniejszym artyzmem władali kunsztem pałacowych intryg przy pomocy trucizn, sztyletu i więzienia, dla utrzymania się przy władzy i posiadania bogactw bezgranicznych.

Jak bezmiernie bogatą była twórczość tamtych pokoleń, jak bezprzykładna różnorodność ich twórczych talentów, kiedy mimo barbarzyńskich całopaleń całej piramidy obrazów, ksiąg, rysunków, kosztowności, wszystkiego, co rozpieszczało zmysł piękna i służyło kultowi ciała, stosu arcydzieł sztuki jako „anatemów“ w r. 1407 na Piazza della Signoria — pod wpływem nauk Savonaroli, zostało ich jeszcze tyle,

że obdzielić się mogły niemi wszystkie stolice krajów, wszystkie muzea cywilizowanego świata.

Jakie kontrasty jaskrawe musiały składać się na strukturę dusz i serc tych książąt-artystów, urodzonych w kolebkach złotych — i złotogłowiem zasłanych, skoro ci sami ludzie, którzy odczuwali najsubtelniejsze granice piękna linii, harmonii barw i kształtów, umieli odróżnić prawdziwe arcydzieło od przeciętnego rzemiosła, umieli stwarzać w sobie i w otoczeniu swoich książęcych dworów nastroje górnych lotów ku czystej, boskiej miłości dla sztuki, równocześnie tarzali się w płaskich, zażartych walkach domowych — których dzieje wypełniają niemal całą epokę średnich wieków historyi tego miasta.

Dla badacza psychologii tłumu, dla udowodnienia bezgranicznej przypadkowości jego odruchowych czynów — ileż materiału w dziejach Florencji, której lud krzyczał w ekstazie religijnego nastroju w czasie teokratycznych rządów Savonaroli: „Viva Christo! viva Firenze!“, aby niedługo potem płaść w szale radości wokoło stosu, na którym padł ten prorok-asceta.

Każde miasto, liczące swój byt od średnich wieków, jest cmentarzyskiem pomników wielkości i płytkości, genialności i barbarzyństwa natury ludzkiej — bo na murach każdego z nich wypisały dzieje przeszłych wieków swoje krwawe wspomnie-



nia; tutaj, w tem uroczem mieście przesłaniają bezmierne skarby, pozostałe po tej szlachetnej stronie dziejowej przeszłości, maskę ponurą dzikości i barbarzyństwa.

Obiecowałem sobie, przyjechawszy tutaj, że będę zwiedzał galerie i muzea jedynie na deser, po filisterskich, materialistycznych poszukiwaniach w sferze przemysłu i handlu.

Trudno mi dotrzymać postanowienia; zostawiłem na później studia nad pracowitością dzisiejszych pokoleń — najpiękniejszy gest dzisiejszego florenckiego galantuomo — jak marnie wygląda na tle karyatydowych postaci i potężnych ich ruchów, zakutych po wieczne czasy w zimne, a tak wymowne marmury pomników i grobowców. Na parę dni zapomniałem o interesującej tutejszej „industria della paglia“, o bardzo gustownych, tutaj wyrabianych, „capelli floretti a larga falda“.

Na jedno odstępstwo od kultu przeszłości pozwałam sobie co drugi dzień; jadę za miasto zaraz po obiedzie lub wcześniej z rana do Cascine, wspaniałego tutejszego parku narodowego. Z pastwiska, przeznaczonego pierwotnie na cele wielkiej serowni, (złąd nazwa parku) powstał przed stu pięćdziesięciu laty olbrzymi park, mający milę obwodu, ujęty w dwa ramiona spływających się tutaj rzek Arno i Mugnone.

Osobne drogi dla samochodów i powozów, szerokie na dwadzieścia metrów, a utrzymane przepyszenie, osobne drogi dla cyklistów, osobne dla jeźdźców i pieszych, ciągną się wśród leśnych party starodrzewia i łąk na obszarze razem tysiąca blisko morgów.

W tej chwili, grzejąc się w rannem słońcu na jednej z ławek tego rozkosznego parku, błogosławię w duszy szlachetnych założycieli jego i marzę — kiedy to w Polsce podmiejskie zaśmiecone lasy zamieniać zaczniemy na takie parki. Koszt nie mały takiego urządzenia, ale idąc krok za krokiem w szeregu lat, możnaby i takie zbytki szlachetne u nas stwarzać, trzeba tylko kiedyś zapoczątkować je — w godzinie szlachetnego porywu do naśladownictwa zachodniej, starszej kultury.

*Rzym, 30. marca.*

Imiona miast mają swój własny ton, mają dźwięk, który mówi do duszy; tak jak z kwiatów, możnaby z imion miast składać słowa, składać mowę piękną, prozaiczną lub poetyczną, natchnioną lub bezdźwięczną, w miarę ich właściwości i charakteru.

Rzym, Roma! kiedy wymawiam to imię, kiedy



je czytam znów po paru latach na szarej ścianie dworca delle Terme, słyszę dźwięk spizu, dźwięk wykopanej gdzieś w prastarym grobowcu wielkiej, rzadkiej monety z wrytem na niej jakimś wielkim imieniem, na którego odgłos drżały narody trzech części świata.

Rzym — „Roma, aeterna sedes sanctitatum“ — ma dźwięk dzwona spizowego, którego głosu słucha dziś więcej milionów dusz, niż ich miał najpotężniejszy z cesarów.

Vivos voco! — żywych milion woła to miasto corocznie w swoje progi ze wszystkich ziem świata, dając biesiadę duchową chrześcijanom i niechrześcijanom, wiernym i niewiernym, bo niema duszy ludzkiej, tak wrogiej romanizmowi, tak zmartwiałej w masonizmie, w której świętość, niezniszczalność i potęga wiary, bijąca z każdego kamienia, z każdej piędzi tej ziemi, nie zatliłaby płomyka duchowej kontemplacji, zadumy i podziwu dla siły, jaką przedstawia idea chrześcijańska; — niema szczepu, ani narodu na kuli ziemskiej, którego kwiat inteligencji nie marzyłby o poznaniu tego wielkiego cmentarzyska ludzkich dzieł, światowych wielkości, pięknych w swoim zniszczeniu, wspaniałych jeszcze w swoim upadku w gruzy i ruiny.

Z wiosną, ze zbliżającym się okresem Wielkiej Nocy, rośnie napływ pielgrzymów i tych, którzy

szukają wrażeń nie tylko dla zmysłu piękna romaniskiej kultury i sztuki.

Rzym o tej porze staje się tembardziej stolicą świata, bo gości w swych murach ćwierć miliona wędrowców, pulsuje życiem prawdziwej metropolii świata — napełnionej wielojęzycznym tłumem, ubiera szaty godowe, otwiera na oścież wszystko, co ma do pokazania pięknego, historycznego i dla przyszłych pokoleń od zagłady uratowanego.

Ale, jak każda chwila nadzwyczajna, tak i ta ma swoją odwrotną stronę. Gwar, łoskot, niemożliwy wir życia wielkiego miasta, ciasnota w hotelach, drożyzna i spotęgowany zmysł eksploatacji, której chcąc nie chcąc poddać się musi tłum żądnych Rzymu forestierów, to strona ujemna.

Najtrudniejsze pytanie, jakie zadać sobie musi każdy z nas, przyjeżdżających do Rzymu, nie na miesiące, ale na parę dni, to pytanie, jakie wybrać na tych parę dni dania z olbrzymiego „menu“ rzeczy godnych widzenia. Aby Rzym „widzieć“, trzeba poświęcić rok czasu, mawiał nam jeszcze w gimnazjum profesor, zapalony romanista, aby go „poznać“ nie wystarczy jednego życia ludzkiego, pisał któryś z najlepszych naszych znawców Italii. Rzym, to jedno olbrzymie mauzoleum dziejów, składające się z tysiąca muzeów, cmentarzysk, grobów przeszłości



bujnej, których każdy kamień, każdy szczegół ma treść, starcząca na napisanie książki.

Z ambarasu bogactwa ratuję się programem zwiedzenia tym razem więcej kościołów, niż muzeów, wyjazdu do Tivoli, w góry albańskie i poświęcenia jednego wieczoru teatrowi Constanzi, największej tegorocznej, sezonowej atrakcji opery „Melenis”.

Zaczynam od głowy, od św. Piotra; pod sklepieniem tej świątyni myśl korzy się, gniew przed majestatem nadziemskim, odpoczywa po zgiełku w olbrzymich liniach niebotycznej kopuły, wzrok gubi się w genialnych konturach filarów, w gigantycznych postaciach pomników.

U grobu księcia Apostołów migoce sznur lampek, jak dyadem złocistych brylantów, w kaplicy del Choro odprawia się w tej chwili uroczyste, z wielkim aparatem ceremonii, Messa di s. Meluzzi, przy akompaniamencie wspaniałego, sławnej scuola gregoriana, chóru watykańskiego. Tłumy pątników, wlewające się bezustannie czterema bramami, rozsypują się, jak roje mrówek, po olbrzymich przestrzeniach kościoła; w bocznej nawie, większej od całego kościoła Panny Maryi, przy dziesięciu konfesyonałach spowiadają księża w dziesięciu językach świata. Każdy z nich ma w tym tygodniu prawo wielkiego penitencjarza, rozgrzeszania najcięższych grzechów

dotknięciem zatkniętej nad konfesyonałem... „ruta penitentiaria”.

Bożych grobów w naszym pojęciu w tutejszych kościołach niema; kaplice, w których odprawiają się ceremonie złożenia Chrystusa do grobu, tylko nieco więcej od innych oświetlone i trochę kwiatami przybrane. Wędrowki wiernych po kościołach trwają przez cały tydzień wielki do dziesiątej godziny wieczorem. Zwiedzić pięć, przepisanych tradycją religijną kościołów tutaj nie trudno; w jednej, małej uliczce tuli się ich pod mury dobudowanych kamienic po kilka. Część mniejszych, starych kościołów już zburzona, albo zamieniona na magazyny lub mieszkania — tylko resztki konturów i tu i ówdzie krzyż zardzewiały, nad szczytem atyki zapomniane, zdradza pierwotne przeznaczenie przybytku modlitwy.

Czy Włosi dzisiejsi są „jeszcze” nabożni, nasuwa się mimowoli pytanie. — Mam uczucie, patrząc na ich zachowanie się w kościele, że nabożność ich, bo religijnymi bym ich nie nazwał, ma jakiś podkład ciekawości, gapienia się na otoczenie, na barwne ceremonie, a mniej petyzmu, korzenia się przed majestatem Boga. — Może się myłę — może to tylko nastrój wielkanocny — i rozrządzenie, spowodowane nawałem myśli i troski, aby udała się „pasqua” i „l'agnello pasquale”.



Rzymianie święcą Wielkanoc o wiele skromniej od nas; jajo, babka lub tort, jedno z arcydzieł szkaradnej, niesmacznej kuchni i kunsztu cukierniczego Włoch i kawałek jagnięcia, — zresztą dużo, bardzo dużo Frascati, vino dei Castelli lub Chianti, wystarcza im do zaspokojenia wielkanocnego głodu, a zwłaszcza pragnienia.

Lepszą za to ucztę dają gościowi zgłodniałemu i spragnionemu muzycznych rozkoszy. — Małe ich teatry dobre — wielkie ich operowe stagione, to dla nas nawet, zepsutych doskonałym lwowskim teatrem, niedoścignione, niebotyczne wyżyny sztuki i muzycznych rozkoszy.

Trafiłem wczoraj na premierę najnowszej kreacji na polu młodej, włoskiej muzyki na „Melenis“ Riccarda Zandonai, nowej gwiazdy, wschodzącej na firmamencie muzycznej twórczości Włoch.

W sprawie wspaniałego teatru Constanzi, na szczerzłotej tacy krezusowych wstępów (loże pierwszych pięter po 200 lirów, najtańsze krzesła 8 lirów) można podać najlepszą potrawę artystyczną, albo podać rzecz nawet średnią tak, że zrobi wrażenie wielkiego dzieła. Do takich należy też najnowsza opera Zandonai.

Libretto słabe — sklecone z poematu Ludwika Bouilheta przez dwóch włoskich kucharzy pp.: Cado Zangariniego i „omen-nomen“ Massimo Spiritissi-

miego, opiewa krótką, smutną, ale nie nową historię kobiecego serca i nieodwzajemnionej miłości. Melenis, koryncka hetera, rozmiłowuje się na śmierć w pięknym retorze Marziu.

Marzio kocha jednak beznadziejnie inną, a to córkę edyla Marcella; spotkawszy w tabernie podmiejskiej kochliwą Melenis, ulega na chwilę jej przepastnym wdziękom, aby jednak wnet w chwili tryumfu, odniesionego w obliczu cezara Commodusa na arenie cyrkowej otrzymawszy w nagrodę inną ubóstwianą przez się dziewicę, odepchnąć tamtą, przedmiot chwilowego szału.

Melenis zdeptana ściele dla siebie z róż łoża śmierci u wejścia do willi narzeczonych i przebija się sztyłem u progu utraconego szczęścia.

Do takiego cukierkowego tematu dać muzykę bardzo piękną, bardzo bogatą w treść, to rzecz niełatwa. Opera też ta, podana w teatrze innym, nie tak bogatym w aparat techniczno-sceniczny — przy innej orkiestrze, słabszymi siłami, nie znajdzie powodzenia. Muzyka młodego kompozytora, który dał już światu dwie opery; „Conchitę“ i „Il Grillo del focolare“, spotyka się z dużym uznaniem; krytyka tutejsza chwali świeżość pomysłów, kunsztowność instrumentacji, śmiałość momentów lirycznych, dostosowanych do epoki libretta i może właśnie dla



wielkiej prostoty i archaicznej formy niezwykle pięknych i subtelnych.

Pisma najpoważniejsze nazywają Zandonai: „il artista forte, sicuro, nobilissimo, dal quale l'arte nostra ha immensamente a sperare“.

Na mnie — może dlatego, że na punkcie muzyki włoskiej jestem „passatystą“, zwolennikiem dawnych linii muzycznych, dłuższych, w stylu łatwiejszym do percepcji dla ucha, do utrwalenia w pamięci, Melenis jest za „modern“, za krótkie ma frazesy, zbyt prędkie w niej przeskakiwania najładniej rozpoczętych symfonii, całość robi wrażenie ciągłego rwania się prześlicznej, jedwabnej tkaniny. Taki fragmentaryzm to podobno futuryzm sztuki muzycznej, — ja wolę piękną przeszłość od niezrozumiałej, zagadkowej teraźniejszości lub przyszłości.

Natomiast w proch padam przed sposobem wykonania, w jakim teatr Constanzi podał nam „Melenis“. Orkiestry ze stu solistów pod batutą Edwarda Vitale słucha teatr w niektórych miejscach z zapartym oddechem. „Melenis“ śpiewała Linna-Pasini, Marzia, tenor Giovanni — oboje bajecznie; inscenizacja stylowa z aparatem znakomitych chórow, bez których n. p. akt drugi, w którym występują rzesze chrześcijan, śpiewające hymn męczeński, i plebs rzymski, domagający się „circenses“, nie dałby się pomyśleć, balet stylowy grecki, bardzo

subtelnie wpleciony w akt drugi, wszystko razem wspaniałe, ale też i łatwe do zrozumienia w teatrze, który może pomieścić 2500 osób i wysprzedany daje 20.000 lirów dochodu.

Może i my kiedyś do tego dojdziemy, a mamy prawo, bo muzykę i teatr umiemy cenić i kochać.

### *Tivoli, w kwietniu.*

Bezpośrednio prawie za murami wiecznego miasta rozpoczyna się szeroka płaszczyna rzymskiej kampanii.

Szare, słońcem spalone pastwiska, o lichej, nieurodzajnej glebie, prawie bezdrzewne, bezmiernie smutne. ożywia tu i ówdzie stado nierogaczyny, lub brudnych owiec — i pasterz ich, leżący w „dolcissime far niente“ w słońcu. Charakter właściwy nadają okolicy rozrzucone zwaliska, resztki murów świątyń, grobowców, odwiecznych, pogańskich i późniejszych, niemniej zaniedbanych i w gruzach leżących pamiątek pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Przez obszary takiej kampanii, gościńcem, wiodącym ku górcom albańskim, sunie z nami sapiąc, trzęsąc i dymiąc niemiłosiernie tramwaj parowy do Tivoli.

Z dala bieleją szczyty Monte Cavo, nieszczę-



snego, wymęczonego przez poetów Soracte, przyprószone śniegiem, a wyżej w mgłę całkiem białe szczyty Abruzzów. W tyle błyszczą do słońca krzyże czterystu rzymskich kościołów wśród szaroczerwonego morza budynków, a nad wszystkimi króluje kopuła św. Piotra.

Po godzinie jazdy kończy się bezdrzewna, smutna równina, teren wznosi się, góry zbliżają i widnokrąg ożywiają winnice, lasy oliwne i zaludnione, podgórskie grupy domów i małych „villino”. Mijamy stację Villa Adriana, zostawiamy na później zwiedzenie ruin siedziby wielkiego podróżnika, mecenasa sztuki greckiej i twórcy najwspanialszej, dziś w gruzach leżącej starorzymskiej cesarskiej willegiatury.

Pociąg nasz miniaturowy wspina się teraz z całym wysiłkiem ku szczytom góry, na którym leży Tivoli; po obu stronach okna mamy las oliwnego starodrzewia; przypominają się mimowoli tematy drzew Siemiradzkiego — te pnie barczyste, skrzycone kurczowo w walce ze spiekotą i jałowem podglebiem; każde drzewo splecione i jakby zastygłe w fantastycznym jakimś tańcu, w orkanowej wichurze południowych burz.

Jeszcze parę zakrętów serpentynowej linii tramwaju i stajemy u celu, w samym rynku starorzymskiego lotniska, ulubionego przez rzymski patrycyat

dla chłodu i prześlicznej panoramy, otwierającej się na Rzym i dolinę Tybru.

Pierwsze wejrzenie w uliczki miasteczka, brudnego, jak wszędzie pod włoskim niebem, prócz wzierających tu i ówdzie resztek dawnej świetności w postaci przymurków, odrzwi, tu i ówdzie prześlicznej, starej fontanny, nie daje przedsmaku spodziewanego uroku. Dopiero, kiedy się wyjdzie za miasto, w stronę panujących nad niem skalistych, nagich gór, odsłania się widok na urocze zbocza i na głębie leżącego u stóp miasta, olbrzymiego jaru, przeciętego fantastycznymi załomami i kotlinami, w których spieniony Anio, wypływający tu z pod ziemi, w prześlicznych kaskadach szukał sobie od wieków ujścia.

Dookoła jaru rozsiadły się zapraszającym łańcuchem hotele i jadalnie w amerykańsko-międzynarodowym stylu. Jedne skorzystały z pamiątek przeszłości, czepiając się ruin starożytnej świątyni Sybilli, inne zamieniły grotty Syreny lub resztki świątyni Neptuna na zmodernizowane werandy kawiarni i barów. Nic trwałego na ziemi. Pod kolumną koryncką, w miejscu, gdzie czarnooka kapłanka zapalała płomyk święty na cześć „Juno sospita” Vesty, albo Fortuny virilis, stoi dziś wypróżniony kosz z napisem: „Heidsick tripple sec”, albo wisi plakat, zachwalający „Vermuth de Cincano” i wygolony „in



american style“ kelner podaje „Entrecot's lub filet à la maitre d'hotel“.

Mimo pietyzmu i współczucia dla sprofanowanej mitologii i starorzymskiej sztuki, dobrze wejść na werandę jednej z tych „fashionable“ restauracji, bo z nich rozciąga się najlepiej malowniczy widok na przesłiczne wodospady Ania. Jeszcze lepiej wyjść całkiem za miasto i obejść wokoło jar drogą, wiodącą krawędzią górną kotliny t. zw. via delle Cascatelle; w pół godziny ma się przed sobą widok, jak rzadko gdzie malowniczy, z podkładem najpiękniejszej muzyki, szumu spienionych dwudziestu wodospadów, wplecionych srebrnymi wstęgami w rozpadliny góry Monte Catilla, na której leży Tivoli. Pierwszy z nich, największy „la granda cascada“, tryska z pod ziemi bogatym łukiem, a spadając w stumetrową przepaść, rozbija się u jej dna o skały, tworząc przesłiczne mgławice wodnego pyłu, mieniące się co chwila przelotnymi tęczkami.

W chwili, kiedy stoję zapałtrony w ten uroczy widok miliardów kropelek rosy, rozbitego w mgłę wodospadu, staje za mną duży samochód z kilkoma podróżnymi. Po wyglądzie samochodu poznać, że wóz dobrej marki i w dobrej kondycji. Z wozu wyskoczył młody człowiek i wyborną angielszczyzną objaśniał widoki poważnemu jakiemuś gentlemanowi,

damie starszej i suchemu, brodatemu ich towarzyszowi.

Gdyby nie swąd benzyny, kurz, ruszony z gościńca samochodem, których nie adoruję w wędrowce pieszej, byłbym nie zwrócił uwagi na to spotkanie. Później dopiero w hotelu powiedziano mi, jak niezwykłą istotę oczy moje oglądały przypadkowo. Samochodem tym obwoził burmistrz rzymski, pan Nathan, Pierpont Morgana po okolicach Rzymu.

Jak już wiecie z telegramów, były to ostatnie dni życia bawiącego w Rzymie amerykańskiego miliardera, który zmarł w tych dniach po krótkiej chorobie.

Gdybym znał osobiście „sindaca“ Rzymu, p. Nathana, dowiedziałbym się od niego, czy Morgan pytał się, ile sił końskich przedstawiają wszystkie wodospady Ania w Tivoli i czy nie proponował utworzenia z nich jakiejś rentownej „water-work“.

Początek już zrobiony — w miejscu, gdzie stały wille Quintiliusza, Varusa i Maecenasa — stoją fabryki żelaza i centrala elektryczna, zużywające wodę, która przed wiekami szumiąc w wodospadach wśród czarujących grot i gajów, dawała natchnienie Horacemu, Vergilemu i całej plejadzie twórców klasycznej poezji.

Idę dalej drogą, wiodącą naprzeciw wodospadów, spotykam dwa skromne kościółki, w jednym,



poświęconym św. Antoniemu z Padwy, cała ściana obok ołtarza zawieszona wotami wiernych, zwolenników patrona wszelkiej zguby, przypadków i nieszczęść. Między nimi naiwne obrazki domorosłych talentów malarskich, przedstawiające sceny szczęśliwego ocalenia w nieszczęściu i potrzebie. Tu lejący z rusztowania cieśla, tam chłopiec w zabawie z ganku przez towarzyszków strącony; wśród obrazów wiszą też i ubranka dziecinne krwią splamione, kule wyjęte z wygojonych ran i t. p. Niema wotów bogatych, niema serc ze złota lub srebra, ale jest to samo odczucie wiary, może serdeczniejsze, szczerze.

Przed zachodem słońca śpieszę w dół ku ruinom willi Adriana. Przedtem jeszcze wpadam na chwilę do willi d'Este, przepięknej, ale rozpaczliwie zaniedbanej kreacji renesansowej architektury pałacowej i ogrodniczej. Dzieło Pietro Ligoria, natchnionego architekta, wykonane z polecenia kardynała Hipolita d'Este, syna Lukrecji Borgii; willa ta, stworzona w połowie XVI. wieku, musiała w swoim czasie należeć do cudów techniki artystycznej.

Dziś już tylko dwieście zaniedbanych, bijących w przedśmiertelnym wysiłku fontan, resztki bajecznych, grających melodyjnie wodotrysków, które, spadając, poruszały mechanizm muzyczny, cudowne trzystoletnie cyprysy i obrosłe mchami do niepoznania tułowie faunów, satyrów i nimf marmuro-

wych, w obramowaniu przepysznej, amfiteatralnej panoramy, fantastycznego parku, świadczą o bogatej przeszłości, a oszczędnej bardzo teraźniejszości, która nie chce, czy nie umie utrzymać takich przepięknych przybytków sztuki, korzystającej z cudów przyrody.

Słońce złożyło już ostatecznymi promieniami poszczerbione zwaliska term, nymfów i kolumn, pozostałych z czterdziestu czarujących budynków, z których składała się przed osmnastu wiekami wspaniała siedziba imperatora Adriana, kiedy błądziłem wśród ruin.

Anglicy i Amerykanie z nudnymi „guidami“, klepiącymi jak papugi banalne, tysiąc razy przedrukowywane objaśnienia, poszli już stąd, dopiero teraz można odetchnąć i utonąć myślą w morzu dalekiej, zamierzchłej przeszłości tych murów. Trzeba spokoju, aby odtworzonymi w myśli postaciami filozofów greckich, nadwornych poetów, pretoryanów, niewolników i muzyków zaludnić te ruiny, ubrawszy je poprzód w rozsypane dawno w gruzy, lub wywiezione stąd do muzeów całego świata — pomniki i rzeźby.

Bez tej fantazyj i nastrojem wywołanej iluzji „Villa Adriana“ pozostanie dla zwiedzającego dużym polem cmentarzowych, zimnych ruin.



## Livorno — Piza.

30. marca.

Dworzec centralny delle Terme przepelniony, pierwsze grupy cudzoziemców, przybyłych na święta ad limina Apostolorum — czyli, jak je tu powszechnie nazywają, „karawany“, wyjeżdżają albo w dalszą podróż po Włoszech, albo wracając już na północ.

Na stosach kufrów, przygotowanych wzdłuż peronu do załadowania, uczyć się można geografii przynajmniej trzech części świata i poznać nazwy pięciuset międzynarodowych hoteli.

Wśród stosu kufrów, pudeł i kuferków wiezie „fachino“ jakiemś wygodnemu Anglikowi bagaż do najdroższego pociągu: dużą wannę, leżak bambusowy; widać pasażer ten nie dowierza nawet największej nowoczesnej kulturze hotelowej i wiezie dla lepszej jeszcze wygody część swojego „at home“. Wreszcie załadowano i nas nie lepiej od ciepłych kufrów do długiego na pół mili pociągu.

„Pronti!“ — jedziemy ściśnięci jak sardynki, zegnając Rzym, kąpiący się w złotawych promieniach rannego słońca.

Zaraz na zachód za miastem rozpoczyna się coraz równiejsza płaszczyna nadmorska, bagnista, niezdrowa mimo przecięcia siecią małych i jednym większym kanałem.

Gdyby Rzym należał do Niemców lub do Amerykanów, tłumaczy mi siedzący obok w przedziale jakiś genueński kupiec — jużby sprowadzili oni Tybrem morze, a Rzym miałby wielki splawny kanał i port dla dużych nawet okrętów. Najbliższy, o kilkadziesiąt kilometrów od Rzymu oddalony port w Civita vecchia, obok którego w tej chwili przejeżdżamy, prócz okrętów wojennych i handlowych, nie widuje innych w swojej przystani. Wyjeżdżamy wreszcie z monotonnej, malarycznej tokańskiej równiny t. zw. Maremmy, pędzimy coraz bliżej brzegów morskich. Z dala pokazują się już kontury wyspy Elby, na której wielki cesarz odbywał pierwszą swoją karę za lekceważenie sił Europy.

Jeszcze parę stacy, Ortabello, miasteczko na wysuniętym w morze języku, malowniczo wśród iagunów leżące, Grosseto — jakaś schludniejsza miścina z bardzo ładnym kościołem. Znów zbliżyliśmy się ku morzu.

Wyteżywszy wzrok, widzę na widnokręgu ma-



jaczącą w dali linię wysokich gór, ubielonych śniegiem. Domyślałam się, że to szczyty Monte Rotondo i M. d'oro, panujące nad kolebką wielkiego Korsykanina, a zarazem miejscem wygnania wielkiego stoika, wychowawcy i powiernika cesarza Nerona. Na Korsykę uciekać musiał filozof Seneka, głoszący abnegację w teorii, a nie gardzący rozkoszami życia w praktyce, przed zazdrością Messaliny, która nienawidziła go za to, że wołał od przekwitłej róży, świeży pączek, Julię, siostrzenicę cesarza Klaudyusza.

Ale wracamy z wycieczki w nigdy nie starzejącą się tajemnicę „cherchéz la femme“, bo pociąg zwalnia biegu i staje przed dworcem w Livorno.

Chciałbym zobaczyć drugi z rzędu po Genuńskim port handlowy Włoch, jedno z niewielu całkiem młodych miast włoskich, nie mających pamiątek dziejowych, miasto stworzone przez odradzające się Włochy.

Wystarczą na to aż nadto dwie godziny, które miałem do rozporządzenia od pociągu do pociągu. Pojechałem szerokimi, doskonale asfaltowanymi ulicami, mogłem z góry założyć się o porcję makaronu lub o tuzin ślimaków, t. zw. frutti di mare. zjadanych tutaj na surowo na ulicach portowych, że najszersza ulica będzie się nazywać via Vittorio Emanuele, najładniejszy plac piazza Garibaldi, drugi trochę mniejszy plac piazza Mazzini, że najładniej-

sza w mieście promenada nosi nazwę viale Regina Margherita, że zobaczą nieuniknione w miastach nowoczesnych Włoch pomniki wymienionych co dopiero bohaterów.

Nie liczyłem natomiast na pomniki czysto prowincjonalnych wielkości, dwóch Ferdynandów toskańskich, na bardzo ciekawe urządzenie wodociągów z olbrzymim, przy pryncypalnej ulicy położonym zbiornikiem, który się tutaj nazywa: „la granda cisterna“, bo magazynuje po prostu zwyczajną studzienną wodę, pompowaną z gruntów podmiejskich.

Nie liczyłem także na jedną, mniej przyjemną, niespodziankę: że zawieszony z wielkimi nadziejami dobrego objadu, zgłodniały jak niedźwiedź parku lwowskiego, do pierwszorzędnego tutejszego Grand-hotelu, będę przyjęty z honorami, że postawią przedemną wspaniałe nakrycia i jedną czysto włoską, białą suchą bułeczkę, że będę czekał godzinę na podanie obiadu, przegryzając bułeczkę, aby się dowiedzieć w końcu z ust zaambarasowanego na prawdę cameriera, że: „...le maitre d'hotel est sorti prenanf les clefs“ i że niestety nie ma już w kuchni nic do dyspozycji.

Najszybszym koniem, jaki był w mieście, kazałem się odwieźć na dworzec, złapałem jeszcze na szczęście pociąg, odjeżdżający i za godzinę spacerowałem już po Lung'Arno regio w Pizie.



Mam wrażenie, że Piza jest nie tylko jednym z najstarszych, najbardziej interesujących, ale i jednym z najładniejszych miast włoskich.

Obok przepysznego położenia nad brzegami dążącego już ku morzu Arna, obok zaszanowanej przedziwnie patyny, nie przeszkadzającej zupełnie utrzymaniu miasta w skandynawskiej prawie czystości, ma to miasto jakąś odrębną dystynkcyę, jakąś szczególną godność w ruchach i w atmosferze życia jej mieszkańców.

W walkach ciągłych i emulacyi z Genuą i Florencją uległa fizycznie, ale w dziedzinie sztuki i piękności jej zabytków pozostała Piza na wyzynie księżęcej dumy i godności.

Kto z nas dzieckiem nie zachwycał się już prześliczną koronką stojącej gdzieś w staroświeckiej serwantce miniatury tutejszej „torre pendente”. Babki i ciotki nasze, chcąc ukoić jakąś boleść dziecięcą, stawiały nam lampkę lub świeczkę w tej miniaturowej odbicie pochyłej wieży tutejszej i oko nasze podziwiałoby z zachwytem przedziwną harmonię kolumn i loggi, nie mogąc pojąć, czemu z tą harmonią linii arkadowych kłócić się musi krzywizna pionu budowy.

Ileż to razy później w szkole profesor rysunków lub geometrii, chcąc nas oduczyc przesadnego hołdowania krzywiznie lub zbytniego oddalania się

od równowagi w rysunku, wspominał z ironią to wieki przetrwałe dzieło Bonannusa i Tommassa Pisana.

W tej chwili stoję zapatrzony w urągającą wszelkim pionom architektów świata, ale i dumną ze swej krzywizny kampanilę. Wspaniałe sylwety katedry, chrzcielnicy (il Battisterio) i krzywej kampanili, odbijające mozaiką białych i szarych marmurów na ciemnym błękitcie nieba, tworzą przepyszny zespół, zostający na długo w pamięci.

Jutro przypatrzę się bliżej Pizie i jej innym jeszcze osobliwościom i napiszę, co widziałem w następnym liście.

### *Piza — Viareggio — Ferrara.*

W Pizie i okolicy pracuje przynajmniej pół tysiąca rzeźbiarzy, naturalnie nie samych Michałów Aniołów, Donatellów lub Bandinellich, ale też nie można ich zaliczać tylko do rzemieślników, bo tworzą całe stosy rzeczy dobrych i doskonałych kopii, sprzedawanych w kilku tutejszych wielkich magazynach.

Marmur kararyjski mają w pobliżu, wzory nie-doścignionej piękności na każdym kroku, rozmach i zamiłowanie sztuki w każdej żyłe, a co najważniej-



sze, mają całe legiony cudzoziemców bogatych, kupujących dzieła sztuki bez względu na ich cenę. Widziałem wczoraj księgę zamówień i wysyłki takiego dużego tutejszego salonu rzeźb.

Od Japonii do Birmingham, od Sewilli do Irkucka, Moskwy, a nawet i Warszawy ciągnie się sieć klientów i odbiorców.

Niektóre kopie wyborne — mogą śmiało zdołać bardzo szanujące się muzea i pinakoteki, zupełnie bez ujmy dla ich celów, może z mniejszą ujmą, aniżeli je zdobią niepewne oryginały, lub nie zawsze pierwszorzędne roboty różnych uczniów wielkich mistrzów.

Wczoraj spędziłem kilka godzin w katedrze, w chrzcielnicy i w sławnym Campo Santo — cmentarzu, na który przed dziewięciuset laty arcybiskup Ubaldo Lanfranchi kazał zwieźć kilka okrętów ziemi świętej z góry Golgoty. Przepyszne freski ścian tego najpiękniejszego z cmentarzy chrześcijańskich należą do najlepiej stosunkowo zachowanych malowideł na świeżej wyprawie. W Battisterii usłużny organista, pod wpływem odpowiedniego „mancio“, urządził mi ciekawy popis harmonijnego echa, grającego kilka minut w łukach kopuły i załomach ścian.

Prześliczny jest mały gotycki kościółek Santa Maria della Spina, uczepiony jak zabawka na bulwarowych murach Lung'Arna. W falach rzeki prze-

glądają się zarysy kościółka, nazwanego tak od przechowywanej w nim relikwi ciernia (spina) z korony Chrystusowej.

Trafiłem na niezwykle inteligentnego i rozmownego dorożkarza, obwozi mnie od rana po mieście, zastępując w zupełności zawodowego guida. Ma tę jeszcze nad tamtym wyższość, że o wszystkim, co dotyczy Pizy, jej przeszłości, jej sztuki i wielkości w dziejach, mówi z miłością, z ogniem zapалу, który wkłada w opowiadanie bez spekulowania na większą zapłatę. Pokazał mi najładniejsze ze starych tutejszych pałaców, dostojne mieszkanie dawnych patrycyuszów Agostinich, Lanfraduccich, pałac Lanfranchich, podobno przez Michała Anioła projektowany, a upamiętniony przez to, że mieszkał w nim kiedyś wielki twórca „Child Harolda“ wraz z ostatnią w jego romantycznym życiu towarzyszką hrabiną Guiccioli del Gamba.

Przejechaliśmy kilka kilometrów długą promienią Passegiata, cienistą, doskonale utrzymaną aleją spacerową, ciągnącą się za miasto wzdłuż brzegów Arna. Żałowałem, że nie było już czasu pojechać do San Rossoro i zwiedzić sławnej królewskiej stajni i mleczarni, dla której stać ma na stajni dwa tysiące rasowych krów. Może raz przecież byłbym we Włoszech napił się uczciwego mleka, za którym można się tutaj rzetelnie stęsknić.



Spieszę się, bo chciałbym jeszcze złożyć krótkie odwiedziny leżącemu obok Dizy, a uśpionemu teraz jeszcze w półśnie zimowym Viareggio. W pół godziny po tem postanowieniu spacerowałem już wzdłuż plaży długiej na kilometr ulubionej przez Włochów, a nie pogardzanej też i przez naszych rodaków.

Jechałem uprzedzony, że włoska plaża, tak, jak włoska ulica, włoska kuchnia, powiedzmy śmiało nawet jak włoska niewiasta, ma pozory piękna, może mieć nawet styl, linię, barwę nie trudną do pożyczenia od złotych promieni, wiecznie uśmiechniętego słońca i ciągle pogodnego lazuru nieba, ale w gruncie rzeczy, przy bliższem obejrzeniu wyjdzie zawsze na jaw pewne wrodzone uprzedzenie do wody, szczotki i... mydła. Nie zawiodłem się, wystarczyła jedna przypadkowa obserwacja. Widziałem całe pociągi galarów, ciągnionych przez parową łódź, którą w obrzydliwym, brudnym, idącym przez miasto kanale spławnym napelniano nieczystościami i mułem, czerpanemi przez cały sezon zimowy pracującym tu bagrem, a które wypłynąwszy na nieprzyzwoicie małą odległość, tuż naprzeciw plaży, wylewały swoją brzydką straszliwie zawartość w morze.

Winszuję rozkosznej kąpieli gościom tutejszym za dwa miesiące. Mnie tu nie zobaczycie! Poza tem, plaża Viareggio ma jeszcze inne specjalności.

Na dwadzieścia budek kąpielowych przypada jeden duży kinoteatr, jest ich tutaj coś trzydzieści, a więc nawet więcej, aniżeli we Lwowie. Wszystkie w tej chwili ciemne i milczące, skryły swoją czarującą piękność za brudne, pstre parkany, tylko resztki nie zerwanych wichrem i nie splukanych deszczem sążniowych plakatów, wykrzywione na nich znane tragiczne fizioognomie papierowych bohaterów i bohaterek zdradzają, jakie rozkosze duchowe czekają gości tutejszych. „Lasciate onni speranza, voi qui entrate!“ miałbym ochotę wypisać im na pożegnanie na pierwszym lepszym parkanie, A non rivederci!

Zdążam już powoli ku północy, ku słonecznym, jak mi piszecie łanom uwolnionej z zimowego puchu ojczyzny.

W powrocie zawadziłem raz jeszcze o Florencję, jeszcze jeden pokłon zasłużony składam jej czarującym pięknościom. Poznałem tym razem wrzście dyrektora Muzeum narodowego w pałacu Bargello, dr. de Nicola. Próbowałem wysondować go, czy nie byłoby środka jakiegoś, aby czy w drodze wymiany, czy za jakąś inną rekompensatę zdobyć od nich siodło złociste króla Jana III, stojące w Bargello prawie anonimowo w małej zbrojowni w parterze. Przyrzekł mi nadesłać przedewszystkiem do Lwowa opis genezy i curriculum vitae tego siodła. Są trudności wielkie dla takich „legalnych“ emigra-



cyi pamiątek muzealnych włoskich, ale bywają wypadki, w których parlament rzymski udziela wyjątkowego pozwolenia.

Mam nadzieję, że mi się uda choćby rozpocząć tylko kampanię o zdobyciu tego przedmiotu, czuję, że mnie poprą gorąco zacni twórcy lwowskiego Muzeum króla Jana. — Jadę dalej.

W Ferrarze zatrzymałem się pół dnia. Wystarczyło czasu, aby obejrzeć stojący wśród rynku ponury, ciężki Castello. Musiałem darować sobie odwiedzinę więzienia nieszczęśliwej Parisiny, ściętej przez zazdrosnego męża margrabiego Mikołaja d'Este w lochach tego zamczyska, bo w dniu mego pobytu spuszczone wodę z rowów, otaczających zamek i pobyt już nie w lochach, ale w całym obrębie zamku wymagał wielkiego bohaterstwa i... dobrze naperfumowanej chusteczki.

Za to odwiedziłem romantyczne mieszkanie i pozostałości po wielkim poecie włoskiego odrodzenia. Byłem w domu Ariosta, widziałem biurko, na którym pisał „Szalonego Rolanda“ i ogród, w którym szukał ciszy i wytchnienia po burzliwej młodości.

Widziałem palazzo dei Diamanti, tak nazwany dla oryginalnej swojej zewnętrznej szaty, z kamieni szlifowanych na kształt dyamentów, w jego olbrzymich salach dużą galerię lepszych i gorszych twór-

ców włoskiej, a najwięcej lokalnej sztuki malarskiej. Najwięcej tu płócien Dosso Dossi'ego i Garofala. Poświęcał im obok innych skarbów sztuki swoje wspaniałe dzieło Chłędowski. — W Ferrarze pustki. „Pochi forestieri!“ żalą się tutejsi obywatele na każdym kroku.

Za kwadrans stracą we mnie ostatnią ofiarę apetytu na dziś.

### *Monte-Carlo.*

Nie będę pisał wiele ani o kasynie, ani o tem, co i kogo tam widziałem. Rzeczy to nie nowe, „à la longue“ tak nudne, jak bardzo obfity obiad, podany zaraz po dobrem, wykwintem śniadaniu. Wiecznie jedno i to samo, tłum szukających wrażeń, widoku tej... ostatniej karty, lub zwaryowanej, białej kulki, wpadającej zawsze nie tam, gdzieby się ją chciało widzieć wpadającą, chrzęstu stosów białych, dużych „pieces“, albo delikatniejszego, szlachetniejszego dźwięku żółtych „louis“, posuwanych po zielonem suknie z szatańską wprawą przez pannów, mających czarne surduły i czarne krawaty, oczy skaczące nerwowo, a na ogół wygląd służących z zakładu pogrzebowego. Dwadzieścia sześć stołów oblepionych ludźmi, z których jedni chcą



koniecznie wygrać, bo po to tu przyjechali, i ci nigdy prawie nie wygrywają, inni nie mieliby nic przeciw temu, gdyby coś wygrali, i ci czasem, wyjątkowo, coś wygrywają — a reszta, to zgraja indywiduów z pod najciemniejszych gwiazd firmamentu kuli ziemskiej, szukających na tym pozłacanym terenie — łatwego zarobku w jakiegokolwiek postaci.

Za to fto kasyna, ramy tego obrazka, wspa-  
niałe, boskie, i o nich nigdy za często myśleć, ani pisać nie podobna.

Gdybym był kaznodzieją, lub spowiednikiem, tobym używał często obrazu tego zaczarowanego wzgórza i rajskiej zatoki u stóp kasyna, jako barwnego przykładu, jako porównania, jak każdy grzech szuka zawsze dla siebie jak najpiękniejszego sztafażu.

Boć nie trzeba być zajadłym purytaninem, aby stwierdzić, że w tym upajającym zakątku grzeszą całe tłumy ludzi wszystkimi zmysłami, danymi człowiekowi przez Opatrzność.

Wzrok ma niezrównane pole do pojenia się widokiem cudowniej harmonii szarych skał, rajskiej flory i czarującego zlewania się błękitu morza z lazurem nieba. Kto chce patrzeć bliżej, ma możliwość podziwiania wspaniałych pałaców, oślepiających oczy biżuterii w oknach sklepowych, najładniejszych kobiet z całego świata, oprawnych w najdroższe i najmodniejsze toalety itd.

Kto lubi dogadzać swemu powonieniu, ma na okół siebie orgię woni najpyszniejszych kwiatów, woń perfum, kradzioną zda się, z zaczarowanych ogrodów Belzebuba; kto woli grzeszyć zmysłem smaku, ma co krok zapraszające okna, którejsz z książęcych restauracyi, — jeżeli nie stać go na obiad za trzydzieści franków w królewskim Hotel lub Café de Paris. O zaspakajaniu reszty zmysłów nie będę pisał, bo jako asekurowany od... wypadków, wiem o tem tylko... z opowiadania.

Biorąc jednak rzecz na seryo, trzeba stwierdzić, że Monte Carlo ma przecież znaczenie jakby akademii, konserwatorium postępu, smaku, przepychu i szyku w rozmaitych dziedzinach życia ludzkiego.

Jabym tu przysyłał na studia naszych budowniczych, stolarzy, tapicerów, naszych ogrodników, kucharzy, naszą służbę, naszych krawców i modystki, słowem cały nasz świat zawodowo-przemysłowy, — z jednym zastrzeżeniem, aby uczyli się smaku, precyzyi i dystynkcyi w swoich „metiers”, ale aby tak bezczelnie nie obdzierali klientów, jak tutejsi ich koledzy.

Sezon t. zw. „wysoki”, a z nim i program wykwintnych rozrywek i atrakcyi dobiega końca. W teatrze sezon operowy się kończy, dają już tylko składowane programy z panią Morel z Paryża i pianistką Ferrari; wystawa psów i piesków zacząwszy od sa-



lonowych i zarękwawych liliputów — skończywszy na czworonożnych Sherlock Holmesach, oddających policji ogromne usługi — skończona przed paru dniami; regaty łodzi odłożone dla niepewnej pogody, zresztą pełno jeszcze koncertów, konkursów elegancyi, batalii kwiatowych i t. p. — W modę zaczynają wchodzić nawet i na swawolnej Riwierze poważne konferencje uczonych i wykłady urządzane przez pierwszorzędne powagi naukowe. Jutro będzie mówił w sali Palais des Beaux-Arts dr. Ohnefalsch-Richter powaga niemiecka, na aktualny na tutejszym terenie temat: „Le culte de Venus à son origine”. Na tych konferencyach bywa prawie z reguły S. A. Serenissime władca tutejszego kasynowego państewka, książę Albert, odrywając się od swoich studiów nad bezdennością głębi oceanu.

Mówią tu na ucho, że z tej niewinnej manii księcia żyje wokoło niego oprócz prawdziwie uczonych oceanowych przyrodników, dużo darmożjadów i blagierów, którzy objawiają więcej talentu dla badania głębin kieszeni książęcej, aniżeli toni oceanowych. Wystarczy i dla nich renta księcia Alberta, który w jednym z ostatnich bilansów swoich miał podobno na czysto sześćdziesiąt kilka milionów rocznego dochodu.

O tem wszystkim, jak wogóle o stosunkach, panujących w księstewku Monaco, trudno dowie-

dzieć się czegoś od tutejszych obywateli. Prasy politycznej w Monaco wcale niema, pisma, które tu wychodzą, piszą tylko o tem, co obywatela najbardziej obchodzi, o życiu towarzyskiem, o teatrze, balach, wystawach, wyścigach i strzelaniu do gołębi. Dyskretniejszych obywateli nie ma żaden inny panujący na ziemi. Twierdzą dobrze znający te stosunki, że powód leży w tem, iż cały ogół obywateli księstwa trzyma sztamę z władcą, a więc z rządem, dla tem łatwiejszego wspólnego... operowania naiwnych turystów z całego świata.

Rozmawiając na ten temat, przechodzimy opodal wspaniałego magazynu jubilerskiego, obok kasyna; na widok jakiejś pary, przypatrującej się z zainteresowaniem olbrzymim butonom i dyadomom po kilkadziesiąt tysięcy franków, odezwałem się na głos do towarzyszącego mi Lwowianina: „O! widzisz, wygrali — a teraz kupuje on dla niej brylanty”. Jakby na komendę obejrzeli się oboje, a pan z szyderczym przekąsem powiada: „a jakże! a jakże! wygrali — tamci — nie my!” Zmykamy czempredzej przed parą rodaków, nie chcąc po nie całkiem trafnym domysle i mimowolnej ironii dolewać gorczy. — Pójdą pewnie odgrywać się.



*(Cap St. Martin. — Cap Ferrat. — Na latarni morskiej).*

Sławna „route nationale“, to wspaniałe korso nadmorskie, ciągnące się wybrzeżem południowej Francji, zaczawszy od Cannes aż do San Remo, na stronie włoskiej — stało się od jakiegoś czasu wprost nieznośne. Oszałamiający, ogłuszający, uniemożliwiający spacer, a tem bardziej oddychanie — ruch samochodów, fruujących jak zwaryowane chrząszcze, dymiących tysiącami litrów spalonej benzyny, pędzących obok pociągów, a tuż za tobą tramwajów, powozów i t. p. — zamieniły ten prześliczny gościniec, tę wstążkę przeciągniętą brzegiem całej Riwieri — w niemożliwą do przejścia miejską arterię komunikacyjną.

Jeżeli chcesz turysto, lub poniewolny gościu, rozkosznej „côte d'azur“, poić się czarem morza, widokiem skał i szumem szemrzących lekko na nich fal, w złotej kąpeli ożywczych promieni południowego słońca, to uciekaj z tak zwanej drogi narodowej na któryś z wrzynających się w morze przylądków — lub pnij się łagodnie przepyszniemi drogami na stoki Alp nadmorskich, liguryjskich, po tak zwanej „route de Corniche“.

Tak też i ja zrobiłem.

Błądząc po wybrzeżu przylądka Cap d'ailes, zamienionego już w pryncypalne, z Nizzą konkurujące, miejsce kąpielowe, minąłem stację kolejową, koszary piechoty i puściłem się w cieniste aleje jakiegoś większego lasu. Nie wiedziałem, że bezwiednie zdążam do najczarowniejszego zakątka wybrzeża lazurowego na Cap St. Martin. Uderzył mnie najpierw wygląd drogi, urągającej swoją czystością i gładkością powierzchni, stanem całym — wszelkiej chęci szukania porównań z drogami w Galicyi. Nic dziwnego; jak wnet stwierdziłem, po drogach tych jeżdżą i stąpają ludzie niecodzienni. Oto wychyla się z za drzew jeden, drugi pałac zaciszny, schowany za grupy najrzadszych drzew i krzewów palm rozłożystych, pinii, mimoz i kwitnących drzew migdałowych. Portale, bramy wjazdowe, ogrodzenia, mówią już do przechodnia, że za nimi są pałace krezusów, jeden wspanialszy od drugiego, ten w stylu staro-greckiej świątyni, drugi skopiowany z pomników architektury Faraonów. Niektóre z tych pałaców, jak n. p. willa pana Douin, milionera paryskiego, przypomina zaczarowane zamki z powieści fantastycznych. Styl, smak i umiejętna rozrzutność, nie licząca się z krociami, aby stworzyć całość skończoną. Idziemy dalej, mijamy cały szereg podobnych siedzib nabobów całego świata cywilizowanego, a nie brak i pałaców maharadzów indyjskich, cywilizują-



cych się w tem wykwiwnem milieu, i za chwilę stoję przed pałacem-willą „Syrnos“, cesarzowej Eugenii, najpiękniejszej niegdyś kobiety na tronie, najniezwyklejszej z żon i matek, spędzającej tu ostatnie lata swego bogatego w zmiany losu żywota. Próbuję dostać się choć do ogrodu; umizgam się do jakiejś niebrzydkiej córeczki „conciergé’a“, lecz spotyka mnie słodka ale stanowcza odmowa; „Non monsieur, l'entrée est absolument interdite“.

Cóż robić, idę dalej — wracam do Beaulieu, aby na drugi dzień wybrać się na inny przylądek, niemniej czarowny, na Cap St. Ferrat.

Na Cap St. Martin podziwia się siłę twórczą pieniędzy w rękach poety-budowniczego, poety-ogrodnika; na Cap Ferrat zdejmuję się nakrycie głowy przed potęgą Stwórcy, przed urokiem pierwotnych, nie tkniętych ręką człowieka sił przyrody, przed powabem spiętrzonych wichrem fal pełnego morza, uderzających potężnie w dzikie, nagie skały — wysuniętego daleko w morze przylądka. — Kto chce marzyć, pisać wiersze na temat uroku morza, kto chce ukraść przyrodzie tajemnicę jej muzyki, aby ją ubrać następnie w formę symfonii, rapsody, czy całej opery — ten niech tu przyjdzie pod wieczór marcowy, kiedy słońce zachodzące kąpie swoje ostatnie promienie na grzbietach fal, kiedy ciepły wicher od Korsyki bierze się za bary z wiatrami

alpejskich lodowców — wprowadzając w taniec odmęty morskie i kłębiąc je w fantastyczne stada o spienionych grzywach.

Koncert ten w teatrze najromantyczniejszym jaki sobie można wyobrazić, bez sztucznych dekoracji, ma nielicznych słuchaczy; — goście Riwiery wolą iść słuchać nadwyreżonych głosów nie zawsze pierwszorzędných śpiewaków — w zadymionych salach jednego lub drugiego Casino municipal, ale tem lepiej, bo jest przynajmniej jedno zaciszne miejsce na tem rozszalałem wybrzeżu, gdzie można odetchnąć i odpocząć.

Błądząc po ścieżynie wśród skał, zszedłem aż na sam cypl przylądka, do stóp olbrzymiej latarni morskiej. Stał mi w pamięci w tej chwili mistrzowski obraz latarni morskiej i życia jej stróżów — pióra naszego genialnego pisarza.

Przychodzi mi na myśl, patrząc na tę olbrzymią wieżę, wysuniętą na dzikiej skale daleko w morze, że dla ludzi bardzo spragnionych spokoju duszy, w dali od świata a równocześnie łaknących silnych wrażeń i kąpiei w czystych, naturalnych uczuciach, płynących z bezpośredniego oddziaływania sił potężnej przyrody — powinno się urządzać pokoje gościnne na latarniach morskich. — Pobyt na takiej wieży, załkniętej daleko w morze, gdzie się jest jedynym punktem stałym wśród szalejącego



naokół żywiołu fal, wichrów i chmur — ma wielki urok, — a kiedy burza rozpęta gigantyczne siły oceanu, kiedy pod odmętami wałących w skały fal niknie podstawa, na której stoi latarnia, traci się z oczu i z myśli łączność z ziemią — ma się boski wspaniały obraz i bogactwo wrażeń.

Dzięki uprzejmości dozorca latarni, starego weterana z wojny pruskiej, mimo spóźnionej pory mogłem wejść i zwiedzić latarnię we wszystkich jej częściach. Duża latarnia morska to nie lada budynek i nie lada jakie urządzenie. Ta, o której piszę, jedna z największych w Europie, składa się z dużego budynku, przeznaczonego na wypadek wojny na pomieszczenie oddziału wojska, różnych urządzeń sygnalizacyjnych, stacyi telegrafu bez drutu, urządzeń ratunkowych i t. p. Wieża czterdzieści metrów wysoka, wsparta na cyklopowych murach, dźwiga właściwą latarnię, do której prowadzą kręte, niemożliwie wysokie i nużące schody. Latarnia sama, to bawidelko, kosztujące przeszło sto tysięcy franków — składa się z dużej lampy, zasilanej gazem naftowym, tworzącym się automatycznie przez ogrzewanie zawartości palnika.

Przez ustawienie odpowiednie kilkuset pryzm ze szczególnie wytworzonego szkła kryształowego, światło, wychodzące z palnika, osłoniętego koszulką Auera, potęguje się do bajecznej siły 150.000 świec.

Cały aparat obraca się od zmierzchu do rana około osi pionowej, a obrót cały trwa w tej latarni pięć sekund. Na ośmdziesiąt kilometrów lśni w promieniu naokół ten potężny snop światła, a sternik zbłąkanego okrętu wita z rozkoszą błysk takiej latarni, liczy czas obrotu i w tej chwili wie, gdzie się znajduje, bo każda latarnia morska ma inny okres obrotu. Jedna latarnia sięga siłą swego światła aż do dwóch sąsiednich, a sieć ta stukilometrowych drogowoskazów morskich opasuje wybrzeża morskie całego cywilizowanego świata. Tylko w razie wojny gasną latarnie na wybrzeżach, narażonych na napady nieprzyjacielskiej floty, duch niszczycielski wojny niweczy i ten dorobek kultury z krzywdą i szkodą dla prawidłowej żeglugi.

### *Z krainy słońca i woni.*

Gdyby nie wiara w Pismo święte, które naucza, że ogród i mieszkanie letnie naszych pierwszych rodziców leżały w delcie Eufratu i Tygru, że tam, a nie gdzieindziej mieścił się raj ziemski, miałbym ochotę tutaj, gdzie obecnie bawię, doszukać się kolebki ludzkości i sceny dla grzechu pierworodnego.



Nie można sobie wyobrazić wspanialszego dla tej idylli sztafażu. Dół dnia pieszo od wybrzeża Napolé, na którym leży urocze Cannes, w głąb Alp nadmorskich, — u stoku śnieżnych u szczytu, a szmaragdowych u stóp gór, w amfiteatralnym wachlarzu, leży kraina przez Opatrzność przeszczodrze obdarowana. Trzydzieści dni tylko pochmurnych w roku, a zresztą jedenaście miesięcy wiosny i niezbyt skwarne lato zażywają mieszkańcy Grasse i okolicy, skąd piszę ten list.

Cała ta przepiękna okolica, a więc tak miasto Grasse, jak i wsie okoliczne St. Vallier, Magagnose, le Bar, Gourdon i t. d., stanowi jeden olbrzymi ogród kwiatowy, kwitnący od stycznia do listopada, obejmujący obszar 60.000 morgów, na których rosną całe łąny fiołków, żonkili, drzew pomarańczowych, jaśminów, róż, tuberoz, lewkonii, hyacenty, drzew migdałowych, w najprzeróżniejszych kolorach i odmianach, wszystkie o bajecznej woni, która w skwarnejsze dni upaja jak haszysz i odurza nas, nieprzyzwyczajonych do tej orgii zapachu.

Dziewięć dziesiątych ludności tej szczęśliwej krainy — a samo miasto Grasse ma jej 20.000 — trudni się bądź to uprawą kwiatów, bądź oddaje się niemniej miłemu zajęciu przetwarzania kwiatów na perfumy i pachnidła dla całego świata.

Kiedy błądziłem, oszołomiony tem bogactwem

kwiatów. jakimś nastrojem świątecznym rozkosznych wrażeń, jakie daje tu każdy krok wśród tych kwiecistych błoni i folwarków, przeznaczonych, zda się, nie dla ludzi, ale dla aniołów w nagrodę za ziemskie cierpienia; kiedy porównałem w myśli zajęcie codzienne i pracę tutejszych ludzi — stworzonych nie lepiej od naszych Maćków i Grzešków — z zajęciem setek tysięcy tych ostatnich w zabójczych, dusznych podziemiach pruskich, czy amerykańskich kopalń węgla, mimowoli robak zawiści i zazdrości odezwał mi się w sumieniu.

Oto tutaj sposobność dla któregoś z proroków teorii przewrotowych, aby pomstować na głupie urządzenia tego świata, zmuszające jednych do pełzania w krecich norach bez promyka słońca, z narażeniem się co dnia na uduszenie lub zaoplenie, kiedy inni, tacy sami, jak my grzesznicy, pławią się w słońcu, woni i rozkoszy, jaką daje obcowanie ciągle z milionem rajskich kwiatów, jak rok długi od rana do nocy.

Jeżeli nastąpi jeszcze kiedyś moda wędrowek narodów, z góry doradzam naszemu zacnemu lordmajorowi miasta Lwowa, aby nas, cośmy już tyle wieków namieszkali się nad Pełtwią, poprowadził śladami Crassusa i jego następcy Raymonda hr. Berangera, nad brzegi wonniejsze „le Loup“, „le Var“, pod szczyty tutejszych Kaiserwal-



dów. W nagrodę za to będzie mógł kazać codziennie zmywać swoje rumaki prezydyalne prawdziwą „double extrait“, wodą różaną lub esencją fiołkową, której tu w sześćdziesięciu fabrykach wyrabiają rocznie tysiące wiader i hektolitrow.

Grasse i okolica, to ojczyzna i fabryka perfum dla całej kuli ziemskiej, względnie środowisko przemysłu, wytwarzającego z kwiatów naturalnych surowce, czyli „les matières premières“ — do fabrykacji perfum dla całego świata.

Wszystkie owe pierwszorzędne paryskie, czy angielskie, wiedeńskie czy warszawskie fabryki perfum muszą zaopatrywać się pośrednio, czy bezpośrednio w surowce swoje w Grasse.

Ciekawym jest ten przemysł tutejszy, reprezentowany przez sześćdziesiąt olbrzymich fabryk, w których tkwi kapitał 200 milionów franków.

Cztery są sposoby wydobywania z kwiatów materii pachnących pod postacią esencji, olejku lub tłuszczu (wieprzowego i wołowego smalcu), napojonego wonią danego kwiatu. Albo się kwiaty prasuje (expression) albo się destyluje w wodzie, albo też odbiera się kwiatom ich zapach przez tzw. macerację czyli zetknięcie kwiatu z tłuszczem, a to albo na gorąco (macération a chaud), albo na zimno (enfleurage). Ten ostatni zwłaszcza proceder jest bardzo interesujący. Pachnące jaskry lub tuberozy do-

stają się na dobę w szklane pudełko na warstwę zwykłego tłuszczu wieprzowego, który ma szczególną własność wchłaniania woni kwiatów. Co dobę zmienia się kwiaty w każdym z tysiąca takich płaskich pudełek i to przez miesiąc lub dłużej, jak długo trwa sezon danego kwiatu. Tak nawoniony tłuszcz przechodzi następnie przez czysty alkohol w odpowiednich mieszadłach i oddaje w zupełności woń temu ostatniemu — tak powstają esencje naróżnorodniejszych kwiatów i woni.

Szczęśliwi ogrodnicy tamtejsi mają zniwa jak rok długi. W połowie stycznia zbierają fiołki, rosnące w cieniu stuletnich drzew oliwnych, a zbiór ten trwa aż do kwietnia i dochodzi w samym Grasse do 300.000 kg. rocznie.

Kwiat mimozy (*mimosa dealbata*) zbiera się od połowy lutego, w kwietniu następuje kwiat pomarańczowy, dający esencję zwaną Nérolis — służącą do wyrobu wody kolońskiej, a w maju zaczyna się gorączkowy sezon najważniejszych zbiorów; jaśminu, róży, tuberozy. Jaśmin zrywa się tylko nocą lub przed wschodem słońca, aby nie uronić najprzedniejszej jego woni. Zbiór róży dochodzi do 2 mil. kg.

Wreszcie jesień późna dostarcza kwiatu akacyi (*Acacia farnesiana*) tak, że zaledwie listopad i grudzień wolne są od prac w polu i w ogrodzie.



Dzięki poparciu, jakie otrzymałem od naszych władz konsularnych, udało mi się zwiedzić dwie największe fabryki w Grasse, mimo, że zwyczajnie otaczają się tutejsi królowie woni — tajemnicą. Nic dziwnego. Każdy z nich ma jednego lub więcej inżynierów-chemików, pracujących ciągle nad ulepszeniem metod i recept — płacąc za najlepsze na wagę... radium.

Tutaj też tłoczą w kilku fabrykach oliwę stołową z najprzedniejszych oliwek — jest kilka fabryk, wyrabiających konfitury z kwiatów i owoców i inne słodczy. Tych ostatnich im nie zazdroścę i radbym dać im na próbę nasze arcydzieła polskiej spiżarni, poznałoby, że i u nas kwitnie słodko cały rok doskonały przemysł, słodzący ludziom życie.

### *Cannes - Marsylia.*

Gdybyśmy w Galicyi wydawali choć jedną piątą na nasze drogi w przepięknych okolicach Podkarpacia, Pokucia i Podhala — z tego, co kosztują we Francyi południowej gościńce i drogi turystyczne, mielibyśmy z pewnością więcej turystów, więcej samochodów, porządniejsze zajazdy — słowem dużo więcej, niż dziś kultury w górach i na dolinach. Francya więcej teraz wydaje na drogi, niż

na nowe koleje żelazne. Benzyna, to godło komunikacji nowej ery — niesie szybciej, obrotniej, niż para lokomotywy; pneumatyki i gumy docierają tam, gdzie szyny nigdy albo nie prędko mogą być położone.

Taką wspaniałą sieć dróg pociągnął rząd na całym wybrzeżu uroczego l'Estérel, w okolicy między Cannes a Tulonem — stanowiącej raj dla turystów, połączenie wybrzeża skalistego, pasma gór lesistych, przeciętych we wszystkich kierunkach uroczymi dolinami, zacisznych wiosek skrytych w kępy bujnej roślinności, nadmorskich kolonii willowych itp.

Skały wzdłuż całego wybrzeża rdzawo-szkarłatne, morze i błękit nieba jeszcze bardziej lazurowe, jeżeli to możliwe, aniżeli na Côte d'azur, — a tło dalsze gór i lasów w łonie soczystego, głębokiego szmaragdu; gra barw przepiękna, zwłaszcza w kąpielu gorących, złoto - miedzianych promieni słońca,

W tej samej chwili, kiedy tonąłem cały w atmosferze tego krajobrazu, — kiedy opływałem w rozkoszy tego bajecznego południa, wy tam, niewinne ofiary kapryśnego Boreasza, zasypani śniegiem po dymniki, wiązaliście zgrabiałymi z zimna palcami porwane przez śnieżycę druty telefonów i telegrafów. — O teoryo geografii, której tak bezgranicznie w szkole ufałem, a która twierdzisz, że Francya



i Galicya należą zarówno do strefy umiarkowanej, jakże daleką jesteś od prawdy, dającej takie kontrasty!

Drogę przez Esterel do Tuluonu byłoby grzechem w tych warunkach odbywać koleją. Za ledwie część uroku tej podróży pozwala objąć okiem, pędzący przez tunele i wiadukty ekspres linii Paris-Lyon-Méditerranée. — Dopiero tutaj, na takiej drodze, zda się porcelaną lub fajansiem płynnym na gładko wylanej, — w tym kalejdoskopie najwspanialszych krajobrazów można się stać „zaciekłym automobilistą“ i sprzedać wszystkie pulmanowskie „aussichtswagony“ i luksusowe ekspresy za jeden dobry, choćby na pół dnia wynajęty samochód.

Ale wszystko ma swój koniec i ta cudna droga kończy się wreszcie w brudnym, zadymionym Tuluonie. Miasto to dziwnie przykre robi wrażenie; czuć w powietrzu zmorę bezdennego, żarłocznego molocho morskiego militaryzmu. W porcie kołysz się w tej chwili kilka czarnych naddreadnought'ów, każdy po 30.000 ton, reszta czuwa w rozmaitych okolicach oceanów nad bezpieczeństwem Francji.

Jakże niepewny jednak los tych twierdz pływających. Zdaje mi się, że czuję zapach dymów, unoszących się nad tulońskim portem po rozmaitych okrętowych eksplozyach, które pochłonęły już tutaj dziesiątki okrętów wojennych, łodzi podwod-

nych i setki marynarzy. Eksplozye prochowe w Tuluonie, to dziś platforma agitacji politycznych we Francji.

Zwiedzać nie mam co w Tuluonie; wojskowych tajemnic mi nie pokażą, choćby mnie nawet interesowały, a innych tu osobliwości nie ma. To królestwo Marsa, pływające w stalowych fortecach. — Jedźmy dalej. — Jesteśmy znów nad brzegami morza, mamy przed sobą szereg wysp Porquerolles, iles d'Hyères, dalej daleko w morze wysunięty, jak dziób orła w locie — półwysp Bec de l'Aigle, mijamy przylądek Cap Sicié, mając z tyłu grzbiety pasma Chaîne de la S. Baume, okryte dziewiczemi lasami kamery francuskiej.

Jeszcze kilka mniejszych, jeden bardzo długi tunel — i za chwilę błyszczą w oddali w promieniach zachodzącego słońca zatoka marsylska między dwoma przylądkami Couronne i Croisette.

Łańcuch wysp i wysepek szarzeje we mgle, a z niej wychylają się w chmurach dymów lasy masztów i kominów okrętowych. To port Marsylii — jeden z największych w Europie — metropolia handlu i ruchu morskiego — złotodajnej, lekkomyślnej i rozrzutnej, a przecież ciągle tak bogatej Francji.

Kto chce wiedzieć, co warta Marsylia, niech się wda w rozmowę po przyjeździe z pierwszym lepszym obywatelem tego miasta.



He, Vous ne connaissez pas encore Marseille? zapyta obcego golarz, czy trafikant marsylski. Pan nie widział jeszcze „la Cannebière“, nie był Pan na Prado? Nie Panie, odpowiadam, ale zato znam wasz Paryż. — Co tam Paryż, mówi, zapalając się Marsylczyk — Panie, gdyby Paryż miał taką ulicę, jak nasza Cannebière, takie bulwary i park, jak nasz Prado, to... dopiero byłby małą Marsylią!

Po takim pełnym dumy lokalnej przygotowaniu idę oglądać te wspaniałości marsylijskie.

Mieszkam w samym sercu miasta, przy owej słynnej Cannebière. — Kto zna pierwszą lepszą ulicę pryncypalną któregoś z europejskich miast portowych, a są one zwykle bardzo ruchliwe, krzykliwe, zaśmiecone, niech pomnoży te wszystkie zalety przez dziesięć, niech wysypie w dodatku na ulicę kilka tysięcy różnobarwnych, egzotycznych typów negrów, berberów, hindusów, arabów, hiszpańskich żydów, korsykańskich, marokańskich i tunezańskich handlarzy domokrażnych, niech doda do tego dużo umundurowanych barwnie przedstawicieli kolonialnych wojsk francuskich — a otrzyma ową sławną Cannebière, arterię główną i dumę Marsylii. — Trzy czwarte towaru tysiąca sklepów tej ulicy leży na stołach, krzesłach, ławkach, na chodnikach przed sklepami i tu na chodniku kwitnie najsilniej handel. — Organy magistratu lwowskiego,

wzbraniające u nas słusznie wywieszania nie zawsze estetycznych, choć bardzo potrzebnych do stroju artykułów — miałyby tutaj sporo do roboty, a nasz stołeczny „arbitr elegantiarum“, zwalczający wywieszki sklepowe, dostałby chyba spazmów, gdyby mu kto obwiesił tak dokładnie pryncypalne ulice, jak to zrobiono tutaj z wspaniałą Cannebière.

Szukając za teatrem, aby skorzystać z wieczoru i poznać społeczeństwo Marsylii w jego „tenu parée“, a polegając na życzliwej informacji jakiegoś przechodnia, omal nie padłem ofiarą czwartorzędnego teatrzyku Variété, dającego zlokalizowane farsy i różne inne domowe potrawy dramatyczne i to w gwarze prowansalskiej. — Doszukałem się wreszcie prawdziwego Grand Théâtre, czarnego, ponurego, koszarowego budynku w jakimś zaułku śródmieścia. W mieście tak bajecznie bogatym, jak niem jest Marsylia, liczącym pół miliona mieszkańców, w drugim z rzędu stołecznym mieście państwa, oczekiwałem wspaniałego gmachu, nie przypuszczając, aby pomieszczono tak nędznie świątynię poważnej sztuki.

Z brudotą, atmosferą szynkownianą teatru harmonizuje więcej, niż prowincjonalny nastrój w międzyaktach a nawet w czasie przedstawienia. Szmer, hałas, za który u nas komisarz policji rozpedziłby szanowną publiczność na cztery wiatry, wrzask, pisk,



trzaskanie krzesłami, nawoływanie roznoszących słodczyce i napoje w przerwach, trwających po pół godziny; w czasie przedstawienia nie wiele kulturalniej. Krew południowa i publika egzotyczna, dopominają się swoich praw. — Za to obsada opery wyborna.

Dawano *Traviatę* i *Le Chalet Scribego* z muzyką Adama. — Chóry doskonałe, balet, choć liczny, nieszczęśliwy. Wychodząc z teatru, zastanawiałem się nad pytaniem, jakaby to nasz Heller niebiańską zafundował nam operę, gdyby... Lwów miał 300.000 mieszkańców i tyle monety, co Marsylia!

Na drugi dzień zamieniłem teren muzyki na włóczęgę w porcie; dałem się naturalnie najpierw wyciągnąć liftem na szczyt gigantycznego transbordera, wiszącego mostu, wysokości ośmdziesięciu metrów nad poziomem morza i stamtąd ogarnąłem wzrokiem cały ten labirynt nowoczesnego mrowiska ludzi, okrętów, olbrzymich magazynów, elewatorów, żurawi żelaznych, dźwigających całe dziesiątki ładunków wagonowych, jak piórka; góry towarów wyladowywanych i wywożonych stąd po całym świecie, dochodzą rocznie do trzech miliardów wartości (za rok 1909). Tutaj zarabiają się miliony, które oszczędna Francja pożycza następnie wszystkim narodom świata.

Po dwóch dniach przypatrywania się, gdzie się

tylko dało, szczegółom ruchu handlowego i przemysłowego, resztę czasu poświęciłem miastu i jego osobliwościom.

Widziałem ową najświetniejszą na świecie promenadę na Prado, bulwarowe ulice i aleje płatnowe o długości razem ośmiu kilometrów, równe, proste i szerokie jak nasza Karola Ludwika; byłem w pięknym parku, mierzącym 120 morgów obszaru i marzę teraz o tem, aby Lwów posiadał kiedyś coś takiego, zamieniając nierentowne lasy zubrzeckie — na duży park narodowy, — zwiedziłem Palais des Longchamps, pałac zbudowany za Napoleona I na upamiętnienie inauguracji wodociągów miejskich, mieszczący teraz muzeum przyrodnicze i galerię miejską.

Nad wejściem głównym wznosi się wspaniała rzeźba Bartholdiego, tryumf Neptuna, z kaskady skalistej wychylające się cztery gigantyczne apisy dodają całej budowie ogromnej siły architektonicznej. Przez chemin de la corniche, bulwar nadmorski wykuty w szczerzej skale kosztem trzydziestu milionów — wróciłem do portu, aby pożegnać miasto najruchliwsze, jakie dotąd widziałem.



## Listy z Holandyi.

*Leeuwarden, 22. sierpnia.*

Nie miałem nigdy wielkiego nabożeństwa, ani szczególnej czci dla wody, w rozmaitem jej zastosowaniu, aż teraz zwiedzając Holandję, przekonałem się, że to żywioł czarodziejski, zamieniający pod pracowitą ręką człowieka — piasek w złoto, — pustynie i bagna w raj mlekiem i miodem, bez przenośni, płynący, — jednym słowem woda, to warunek bogactwa krajów, państw — narodów.

W Holandyi, — kanał duży, — wpadające do niego na różne strony rozchodzące się kanały mniejsze, z tych rozgałęzione kanały małe, obok nich kanaliki, — z tych znów rowy wodą płynące, są takim krajowem narodowem źródłem szczęścia, narzędziem polityki ekonomicznej, skarbem bogactwa i dobrobytu.

Woda, która, jak opisuje Juliusz Cezar, niegdyś zalewała ten kraj Batawów, Morinów i Me-

nepijczyków tysiącem bagnisk i jezior, trujących wyziewem, — ujęto syzyfową pracą w system, stanowiący szczyt potęgi ducha ludzkiego i przedziwnej techniki.

Tam, gdzie napierające fale morskie spiętrzają niebezpiecznie wodę w kanałach u wybrzeży morskich, ustawione szeregiem wiatraki czerpią ją samoczynnie napowrót do morza, czyli „mielą wodę“, jak tutaj mówią; gdzieindziej, gdzie brak wody, lub w czasie odpływu morza, takie same wiatraki przelewają wodę z morza do kanałów; w czasie posuchy zasilają one cały system irygacyjny dla użytku łąk i pól.

Nie ma miasta, wsi, przysiółka, niemal w całym kraju, które nie miałyby swojego kanału, łączącego się pośrednio z morzem.

Chłop wiezie nawóz w pole barką lub galarem, tak samo zwozi z pola siano, kartofle czy zboże, jedzie na jarmark z bydłem na statku — i wodą odbywa ostatnią podróż ziemską na wiejski cmentarz.

Ta najtańsza z komunikacji, ta sieć wodna, ułatwia zadanie rolnikowi, fabrykom, kupcowi, gminom i państwu, obniża koszty produkcji, przeciwdziała spekulacyjnym utrudnieniom aprowizacji miast; kanały chronią kraj od klęsk z powodu wybryków



atmosferycznych i uzupełniają zbawiennie droższą, uciążliwszą komunikację dróg i kolei.

Zatrzymuję się nad temi spostrzeżeniami dłużej, bo dopiero przy ich oświetleniu uwierzyłem do reszty w zbawienność kanałów dla naszego biednego kraju.

Nie mamy morza, będą trudności z utrzymaniem stanu wód w kanałach, ale niech daleki przykład życia gospodarczego w Holandyi, oświeci wapiących niedowiarzków co do wartości kanałów w życiu krajów i narodów.

Jako typową wieś fryzyjsko-holenderską wybrałem Holwerd, godzinę drogi od Leeuwarden.

Wysiadam na czyściutkiej, małej stacyjce i z miejsca widzę, że mój strój globtroterski robi sensację na stacyi, nie widzącej jak rok długi żadnego turysty. Oswajam otoczenie swoje powoli z widokiem rzadkiego gościa, przyglądam się najpierw z zewnątrz domkom, z których każdy robiłby honor naszej dzielnicy lwowskiej „coffage“ w ulicy 29. Listopada.

Okna bez wyjątku o dużych lustrzanych szymbach zbudowane i zamykane, nie jak u nas, ale wysuwane jak w pulmanowskich wagonach pionowo do góry.

W każdym oknie oprócz solidnej story z nieprzemakalnego szyrtingu, zawsze jeszcze firanka,

gardina czyściutka, aż pachnie, okryta piękną, bogatą, koronkową falbanką.

Styl domków tych jednakowy, prawie monotonny; zmodernizowana holenderska fasada szczytowa z czerwonej cegły, białe szparowanej.

Próbuję wchodzić do obejść gospodarskich, do domów, stajen, zaczynam od uprzejmego przedstawienia się, objaśnienia szczerych zamiarów mojej natrętności, staram się nałamywać język do dźwięków holenderskich wyrażen, które wykułem na pamięć; — nic nie idzie. Kiwają głowami stateczni gospodarze i uczepte białe matrony, coś przemawiają do mnie, ale z ruchów, a raczej z braku gestu zapraszającego widzę, że ta część studyów krajoznawczych nie pójdzie tak łatwo.

Za chwilę widzę, że ten i ów, ta i owa szepczą coś do siebie, zbierają się w grupki, aż wreszcie zjawia się na horyzoncie najbliższej uliczki umundurowany jakiś dygnitarz, z pewnością żandarm miejscowy. Zwracam się, przecuciem wiedziony, do niego w niemieckim języku i po wymienieniu kilkunastu zdań widzę, że mój wymowny cicerone rozumie co czterdziesty wyraz niemiecki, a mówi ich z piętnaście z fryzyjska po esperancku.

Mimo to porozumieliśmy się wybornie, podjął się najchętniej ułatwienia mi trudnego tylko na pozór zadania.



Zwiedziłem szkołę — ale jaką szkołę! niedościgniony obraz dystygowanej, estetycznej prostoty w budowie, praktyczności w urządzeniu, nieznanego u nas bogactwa w zastosowaniu środków do nauki pogładowej, czystości niepokalanej w każdym, najbardziej zakrytym, zakątku.

Co najważniejsze, zauważyłem jakąś dziwną ciszę, powagę — mimo, że sale dość przepełnione dziećmi; słuchałem umyślnie pod drzwiami; nauczyciel mówił prawie półgłosem; jak te dzieci muszą lubić, cenić naukę, skoro z takim nabożeństwem siedzą w klasie,

Wakacje w Holandji rozpoczynają się dopiero we wrześniu, na moje szczęście, bo nie byłbym widział szkoły w ruchu normalnym.

Zwiedziłem kilka gospodarstw; widziałem u chłopca na dziesięciu morgach urządzenie obory, stajni, gumna, narzędzi — jak na wystawie rolniczej — widziałem przemysł na obejściu małego rolnika, suszarnię i produkcję torfu na opał dla siebie i na sprzedaż; widziałem chłopskie córki wyrzucające rano nawóz z pod bydła, dojące krowy i te same dziewczęta, w chwilę potem, przebrane w jedwabne bluzki i kapelusze ze strusiami piórami, siadające na rower, aby pojechać do miasta na zakupno.

Widziałem gospodę wiejską, o salce czyszczej-

szej niemal, jak lokale naszych klubów turfowych, z bufetem bez kropli wódki, ale zato z zastawą niklową do kawy i czekolady, lśniącą jak te u nas na wystawach sklepowych na placu Maryackim. Widziałem w tej „karczemce“ wsi holenderskiej czyściutki bilard, obciążony co parę miesięcy sukmem, stół założony kilku dziennikami i pismami ilustrowanymi i widziałem jeszcze jeden rzadki, cudowny przedmiot... ustawę o karaniu opilstwa, w takich samych ramach czarnych jak u nas, wiszącą na ścianie i... wykonywaną na prawdę.

Zwiedziłem parę mieszkań, kilka kuchni i pokoi mieszkalnych. Wszędzie prawie kominki marmurem obramowane, sprzęty staroświeckie, rzeźbione w dymionej dębinie, bez wyjątku dziedzictwo z dziada pradziada, egzemplarze niemal muzealne, łóżka w szafach rzeźbionych, zajmujących całe ściany. Kute w żelazie świeczniki stylowe, bogate serwisy cynowe, dzbany miedziane, kunsztowne zegary ściennie, wszystko na tle przedziwnej czystości, smaku w ustawieniu i urządzeniu.

Ścisnęło mnie nieraz w tej wędrówce za gardło, na myśl o porównaniu z życiem narodu, który ma więcej ziemi, więcej rąk, nie gorszą tradycję, nie mniejsze dary od Boga — tylko — tylko...

Trzeba iść dalej, będzie czas na rozmyślenia w domu.